

Krzysztof Łoziński

Pięć tysięcy kilometrów przez Indie i Nepal

Wprowadzenie od autora



Ulica Main Bazaar - Delhi, fot. Agnieszka Glinkowska (Łozińska)

Pretekstem do napisania tej książki była moja podróż po Indiach i Nepalu, ale tylko pretekstem, bo tak naprawdę jest to książka o obu tych krajach z perspektywy reportera a zarazem człowieka, który był w nich wielokrotnie na przestrzeni długiego czasu, ponad 30 lat. W grudniu 2005 odbyłem wraz z Agnieszką, wówczas jeszcze Glinkowską, a obecnie już Łozińską, podróż po Indiach i Nepalu. Dla mnie był to 12 pobyt w Indiach i 8 w Nepalu. Dla Agnieszki w obu przypadkach pierwszy.

W książce opowiadam nie tylko o tej podróży w zawrotnym tempie, z wieloma przygodami, ale i o krajach, ich historii, kulturze, polityce... Z założenia nie korzystamy z biur podróży, przemieszczamy się autobusami, najczęściej typu government bus (odpowiednik PKS-u z czasów Gomułki), pociągami drugą klasą, riksami. Dzięki temu poznajemy wielu interesujących ludzi, różnych stanów i zawodów. Dzięki temu mogę opisać w tej książce Indie i Nepal widziane od dołu, z poziomu ulicy, zwykłego pociągu i autobusu, hotelu za 5 dolarów za dobę i restauracji, które polski SANEPID natychmiast by zamknął. Taka Azja wygląda zupełnie inaczej niż widziana z luksusowych kurortów, klimatyzowanych autokarów czy korytarzy w ambasadach. Chcesz poznać kraj – zrezygnuj z przewodnika i wygody.

Czy można znać Indie?

Podobno znam Indie, bo byłem w tym kraju już 12-ty raz. Podobno znam też Nepal, bo byłem tam 8 razy. Tylko czy te kraje można znać?

Indie to kraj, do którego można posłać stu ludzi na rok i każdy z nich po powrocie opowie co innego. Co więcej, każdy z nich powie prawdę. Po prostu jest to kraj tak ogromny i tak różnorodny, że każdy widzi w nim zupełnie różne rzeczy.

Pierwszy raz byłem w Indiach w 1979 roku, gdy kierowałem wyprawą w Himalaje Kaszmiru. Problemem Indii był jeszcze wówczas głód. Już nie taki głód, jak w pierwszych latach niepodległości, ale jeszcze zdarzało się widzieć ludzi umierających z głodu wprost na ulicy. W kraju wcale nie brakowało żywności. Po prostu biedacy pracujący za jedną rupię dziennie (wówczas dolar kosztował 8 rupii) jedli raz na 3 dni i to jedli mało. Większość z nich nie miała stałej pracy, zatrudniali się dorywczo na jeden dzień. Byli cały czas mocno niedożywieni. Jeśli coś im się nie powiodło, przez kilka dni nic nie zarobili, wypadły im dwa kolejne posiłki, to już nie mieli sił, by pracować. Wpadali w błędne koło, z którego mógłby ich uratować już tylko cud: mniej pracy - mniej jedzenia - mniej sił do pracy - jeszcze mniejsze szanse na pracę. Pewnego dnia człowiek mieszkający na ulicy już się rano nie budził.



Tkalnia jedwabiu, Agra. Fot Krzysztof Łoziński

Co by nie mówić o polityce gospodarczej Partii Kongresowej, o wszystkich błędach klanu Gandhich, to trzeba im przyznać jeden wielki sukces - wyprowadzenie Indii z głodu. A później sukces reform premiera Rao - praktyczną likwidację bezrobocia. Jeśli ktoś mówi, że to mało, to nie rozumie Indii.

W moim spojrzeniu na Indie mam dystans czasu - 37 lat od pierwszego pobytu do dziś. Co się zmieniło? Bardzo dużo, choć pozornie bardzo mało. Gdy patrzę na swoje zdjęcia ulicy Main Bazaar w Delhi sprzed 37 lat, to niby wszystko wygląda tak samo, ale to tylko pozory. Indie są dziś jednym z najszybciej rozwijających się krajów świata. Lata polityki izolacjonizmu gospodarczego Indiry Gandhi i związanego z nią zastoju gospodarczego dawno minęły. Dzisiejsze Indie to ogromny przemysł już nie tylko włókienniczy i odzieżowy, choć nadal on istnieje, ale i olbrzymia produkcja motoryzacyjna, hutnicza, elektroniczna. W Indiach, w Bangalore, znajduje się dziś największy obok amerykańskiej Doliny Krzemowej ośrodek informatyczny, istne zagłębie nowoczesnej technologii. A jednocześnie po Pahargnju w Delhi nadal chodzą krowy, głównym środkiem lokomocji jest riksza a większość produkcji odzieżowej powstaje w warunkach manufaktury. To kraj wielkich sprzeczności. Kraj, który ma zarówno parę milionów „świętych mężów” sadhu, którzy nigdy nie pracowali i nigdy nie chodzili do szkoły, jak i największą liczbę informatyków. Mało kto wie, że ponad połowa informatyków świata to Hindusi.

Czy można znać Indie? A które Indie? Indie ludzi szyjących na ulicy kołdry wprost na ziemi, riksarzy zarabiających pedałowaniem, czy Indie inżynierów z koncernu Tata projektujących nowoczesne samochody, informatyków, grafików, projektantów, których spora część pracuje przez Internet w amerykańskich firmach? Nie ma jednych Indii i nie ma jednej wiedzy o Indiach.

To, co rzuca się w oczy w dzisiejszych Indiach, to wszechobecny tłum. My, mieszkańcy Europy, jeśli nie byliśmy w Chinach, Indiach, Indonezji, Pakistanie, nie wiemy, co to jest tłum. Delhi liczy dziś, w 2016 roku, ok. 22,6 milionów mieszkańców (w czasie naszej podróży liczyło 18 milionów.). Jest to rozlazłe miasto moloch, rozciągnięte na obszarze o średnicy dziesiątek kilometrów. Kilkanaście lat temu lotnisko, Indira Ghandi Airport, znajdowało się za miastem. Teraz znajduje się w mieście. Gdy o drugiej w nocy wyjechaliśmy z lotniska 30-letnią taksówką marki Ambassador (a może Consul, lub Premier - mylą mi się te stare pobrytyjskie konstrukcje) od razu wjechaliśmy w arterię ogromnego ruchu. O drugiej w nocy sunęliśmy między setkami riks, ciężarówek, autobusów ulicą o szerokości dwóch Marszałkowskich (dwie jezdnie, cztery pasy ruchu w każdą stronę). W żadnym z polskich miast nie ma takiego ruchu nawet w godzinach szczytu. Tymczasem my jechaliśmy w tym tłoku pojazdów przez blisko godzinę do centrum.

Tłum

Gdy byłem pierwszy raz w Indiach, w 1979 roku, ludność tego kraju liczyła 680 milionów. Dziś liczy 1.267 milionów. Przez 37 lat przybyło w Indiach 587 milionów ludzi, z czego 450 milionów przez ostatnie 25 lat. Prognozuje się, że za 15-20 lat Indie prześcigną Chiny i będą najludniejszym krajem świata.

To, co rzuca się w oczy w dzisiejszych Indiach, to wszechobecny tłum. My, mieszkańcy Europy, jeśli nie byliśmy w Chinach, Indiach, Indonezji, Pakistanie, nie wiemy, co to jest tłum. Delhi liczy dziś, w 2016 roku, ok. 22,6 milionów mieszkańców (w czasie

naszej podróży liczyło 18 milionów.). Jest to rozlazłe miasto moloch, rozciągnięte na obszarze o średnicy dziesiątek kilometrów.



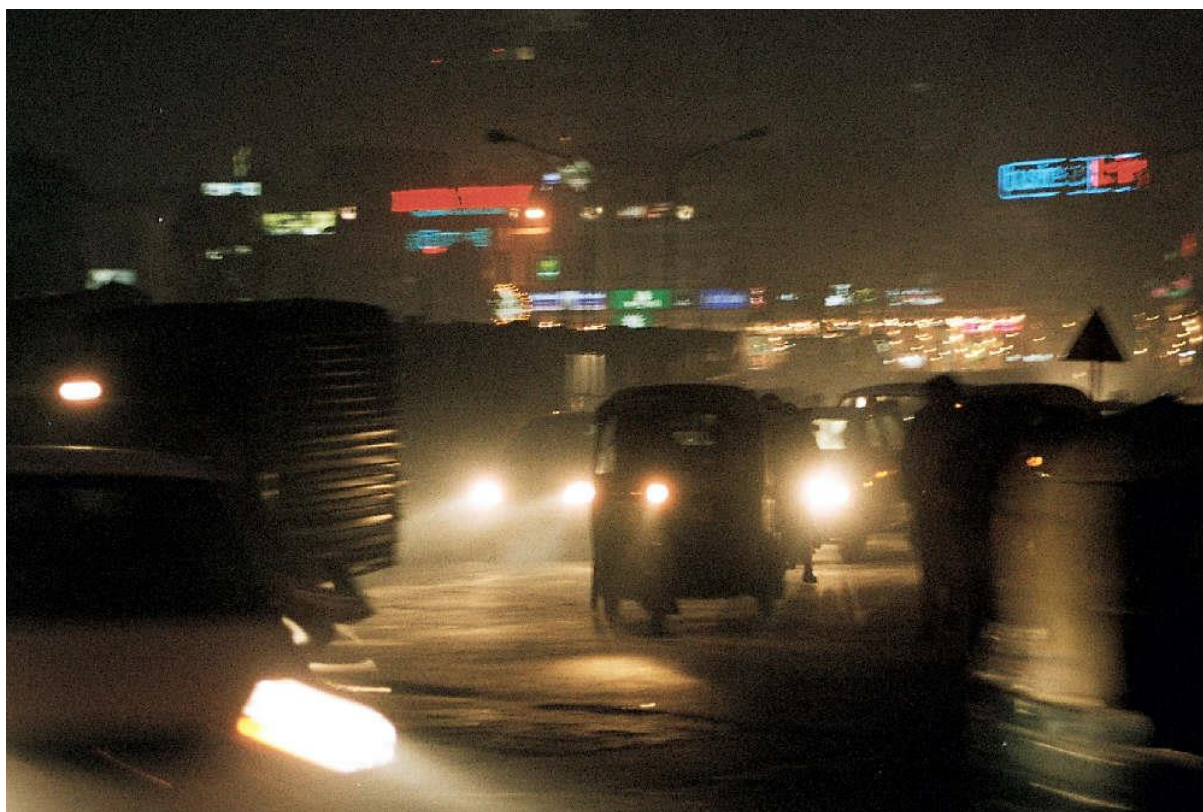
Wszechobecny tłum, Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński

Kilkanaście lat temu lotnisko, Indira Ghandi Airport, znajdowało się za miastem. Teraz znajduje się w mieście. Gdy o drugiej w nocy wyjechaliśmy z lotniska 30-letnią taksówką marki Ambassador (a może Consul, lub Premier - mylą mi się te stare pobrytyjskie konstrukcje) od razu wjechaliśmy w arterię ogromnego ruchu. O drugiej w nocy sunęliśmy między setkami riks, ciężarówek, autobusów ulicą o szerokości dwóch Marszałkowskich (dwie jezdnie, cztery pasy ruchu w każdą stronę). W żadnym z polskich miast nie ma takiego ruchu nawet w godzinach szczytu. Tymczasem my jechaliśmy w tym tłoku pojazdów przez blisko godzinę do centrum.

Pamiętam jeszcze słowa polskiego konsula sprzed 37 lat, Jana Wawrowskiego, który powiedział mi tak: „W Indiach 200 tysięcy ludzi to jeszcze nie tłum. Gdy na demonstrację uliczną zwołaną przez którąś z partii w Delhi, czy Kalkucie, przychodzą 2 miliony, to prasa pisze o niewielkim zainteresowaniu ludności demonstracją”. Ludzie są w tym kraju wszędzie. Gdy leci się nad Indiami samolotem w nocy, to wszędzie widać światła. Nie ma prawie przerw między miejscowościami. Gdy jedzie się drogą, to cały czas jest teren zabudowany. Wieś to właściwie tylko mniej gęste miasto. Kupowanie szybkiego samochodu w tym kraju nie ma sensu, bo z powodu tłoku na drogach i tak nigdzie nie da się jechać szybciej niż 50-70 km/godz. Tu po prostu nie ma gdzie się rozpędzić.

Próżno w Indiach szukać samotności. Gdy idziesz w krzaki za potrzebą, to tam już trzech siedzi. Nie możesz iść za dom (nawet na wsi) bo za nim jest kolejny dom. Szukasz samotności na wzgórzu, ale gdy tam wejdiesz, zastaniesz już 50 osób. Działka w mieście bywa droższa od domu, bo działka rozumiana jest nie jako ziemia tylko jako miejsce. W centrum Delhi, Kalkuty, Bombaju człowiek nie idzie, tylko się przeciska. Większość sklepów

ma wymiary, które w naszym pojęciu nadają się tylko na nieco większą szafę. Jakież 1,2 na 3 metry. Właściciel rano wystawia większość towaru na ulicę przed sklep, bo tylko wtedy może do niego wejść.



Ruch uliczny w nocy, Connaught Place, Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński

Przeludnienie jest w tym kraju potężnym problemem. Bardzo szybki wzrost gospodarczy jest w dużej części zjadany przez niemal równie szybki wzrost liczby ludności. Indie są krajem demokratycznym, więc nie mogą stosować tak drastycznych metod regulacji urodzeń jak Chiny. W Indiach państwo nie może stosować przymusowych aborcji nawet w 8 miesiącu ciąży. Tu walczy się z nadmiernym przyrostem za pomocą edukacji i agitacji. Był czas, gdy mężczyznom rozdawano radia w zamian za sterylizację, ale poziom życia się podniósł i dziś radio tranzystorowe to już niewielka atrakcja.

Problem nadmiernego przyrostu ma też w Indiach nieco inne źródła, niż w Chinach. W Chinach chodzi o to, że córka po ślubie odchodzi całkowicie do rodziny męża i nie jest dla rodziców żadnym zabezpieczeniem na starość. W kraju, gdzie nie istnieją emerytury, trzeba mieć syna, by na starość w ogóle przeżyć. Co więcej, tylko syn może odprawiać konfucjańskie modły za dusze przodków przed domowym ołtarzykiem. Stąd robi się dzieci tak długo, aż będzie syn, a jeszcze lepiej dwóch.

W Indiach źródło problemu jest inne. Jest nim tradycyjny system zatrudniania ludzi (obecnie ten system już odchodzi w przeszłość, ale, zwłaszcza na prowincji, ciągle jest żywy). Chodzi o to, że zatrudnia się jednego, a pracuje cała rodzina. Co więcej, zatrudnia się codziennie na jeden dzień. Stałą pracę mają tylko wybrańcy. W praktyce wygląda to tak: Przedsiębiorca budowlany robi wykop pod budynek. Rano przychodzi tłum chętnych biedaków do pracy, a on pyta: ile masz dzieci? Ten, kto ma więcej dzieci, jest lepszy, bo za jedną płacę pracuje więcej ludzi. Teraz pada drugie pytanie: ile masz łopat i misek? To znaczy, ilu mężczyzn lub chłopców, nawet kilkuletnich, może kopać, a także ile kobiet, lub

dziewczynek, może wynosić ziemię w miskach na głowie? Przy takim systemie zatrudniania nie warto mieć mało dzieci.



Wąska uliczka w Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński



Instalacja elektryczna, Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński

Do indyjskich miast ściągają masę przybyszów ze wsi, którzy szukają pracy. Każdy z nich ma jakieś narzędzie, piłę siekierę, młotek a czasem tylko kij. Kobieta może mieć miskę, w której może coś przenieść, albo miotłę, którą może coś zamieść. Ci ludzie wychodzą rano na miasto i szukają okazji by coś przenieść, coś przeciąć, coś zamieść i w ten sposób zarobić kilka rupii. Mieszkają wprost na ulicy owinięci w jedną szmatę stanowiącą cały ich majątek. Ci, co się już czegoś dorobili, mieszkają całymi rodzinami w namiotach z folii i śpią wprost na ziemi. Mają już jeden garnek, w którym gotują na ognisku z zebranych śmieci. Obok ich namiotów sunie ulicą sznur pojazdów. Obok samochodów indyjskich koncernu Tata (te nowe modele są całkiem przyzwoite) jadą toyoty i mercedesy.

Bo nie ma jednych Indii. Są Indie biednych kobiet ze wsi, których zajęciem w mieście jest lepienie placzków z krowich odchodów (na opał) i są Indie klasy średniej za kierownicą mercedesa.

Polski hydraulik miałby co robić

I nie tylko hydraulik, bo także elektryk. O ile oczywiście jeden i drugi nie padliby wcześniej na zawał na widok tutejszej instalacji. W większości indyjskich miast prąd doprowadzony jest liniami napowietrznymi. Wprost na ulicach stoją słupy z gigantyczną plataniną nie izolowanych przewodów, począwszy od głównych, grubych niczym stalowe liny, do

poniższych pojedynczych drutów. W Varanasi widzieliśmy, jak elektryk podłącza do prądu kolejny budynek. Facet na bambusowej drabinie wsunął się delikatnie między nie izolowane druty, uważając by żadnego nie dotknąć, a miał je wszędzie: za plecami, od rękami, nad głową i uzbrojony tylko w izolowane kombinerki łączył druty na okrętkę. Oczywiście wszystko pod prądem. Zawód elektryka przypomina w Indiach zawód sapera.

Oczywiście ta nieprawdopodobna płatanina drutów jest szalenie zawodna. Małpa na to skoczy, ptak usiądzie i zwarcie gotowe. Dwa, trzy razy dziennie w Delhi, Varanasi, Amritsarze, Kalkucie wysiada prąd. Oczywiście nie w całym mieście, tylko w dzielnicy, ale to na jedno wychodzi. Natychmiast przed wejściami do niemal wszystkich budynków pojawiają się małe benzynowe agregaty prądotwórcze. Miasto wypełnia jednostajny warkot a powietrze zasilane jest setkami metrów sześciennych spalin.

Podobnie wygląda instalacja w budynkach. Ciągłe gdzieś ze ściany wystają jakieś druty, zrobione są jakieś prowizorki, ciągle coś „not working”. Klimatyzacja jest, ale „not working”. Bojler jest, ale „not working”. Gdzieś w ścianie między dwoma puszkami zrobiło się zwarcie. Ktoś, parę lat temu połączył te puszki na zewnątrz drutem i tak już zostało. Przewróciło się - niech leży.



*Elektryk, pracując pod prądem, wykonuje nowe podłączenie, Varanasi.
Fot. Agnieszka Glinkowska (Łozińska)*

Podobnie wygląda instalacja wodociągowa. Odkąd jeżdżę do Indii, nie pamiętam pokoju hotelowego, w którym gdzieś nie lałaby się woda, nie przeciekał jakiś kran, nie kapło z jakiej rury. A ten kraj w porze suchej (czyli przez 7 miesięcy w roku) cierpi na ogromny deficyt wody.

Z czego to wynika? Wcale nie z biedy, bo w lepszych hotelach (oczywiście nie w takich, w jakich nikt o zdrowych zmysłach nie mieszka) jest analogicznie. Naprawienie tego wszystkiego, przy niskich kosztach pracy, kosztowałoby grosze. To wynika z pewnej mentalności „przewróciło się, niech leży”. I jeśli mówić o barierach, jakie ma ten kraj na drodze do nowoczesności, to ta mentalność jest jedną z poważniejszych. Jak można wyobrazić sobie nowoczesne przedsiębiorstwo w kraju, gdzie ciągle wysiada prąd?

To myślenie ma zresztą i inne skutki. Hindusi są dość solidni, jeśli chodzi o umowy, to znaczy generalnie ich dotrzymują, ale nie panują już zupełnie nad tym, co robią podwykonawcy. Agencja turystyczna (złożona z jednego faceta z komputerem) sprzedaje nam bilet na autobus do innego miasta. Autobus ma być „tourist bus”, „luksusowy”, „video coach” i „aircondition”. Płacimy za to wszystko a na drugi dzień, gdy już jesteśmy przy autobusie, to okazuje się, że jest to stary wysłużony autobus Tata (40 km/godz.), brak uszczelek w oknach między szybami (cugi chodzą jak cholera), „video absend, aircondition not working”. W dodatku okazuje się, że ten „tourist bus” nie jedzie do tego miasta, tylko do miasteczka 20 kilometrów wcześniej, a stamtąd jest „government bus”, ale jutro. Wściekli jak osy, bo zapłaciliśmy za całą drogę w dużo lepszych warunkach, musimy na te brakujące 20 kilometrów wynająć taksówkę.

To jest właśnie ta sprawa pewnej mentalności, którą trudno zmienić. Ten facet, który sprzedaje bilet, chce dobrze, ale inni robią jak zwykle. Pewne rzeczy są w Indiach trudne do przewalczenia, bo bardzo głęboko siedzą w ludziach. Autobus ma być wyłącznie „tourist”, ale kierowca i tak weźmie po drodze kilkudziesięciu pasażerów z tobołami. Na stacji jest rozkład jazdy, ale pociąg i tak będzie „jak przyjedzie”.

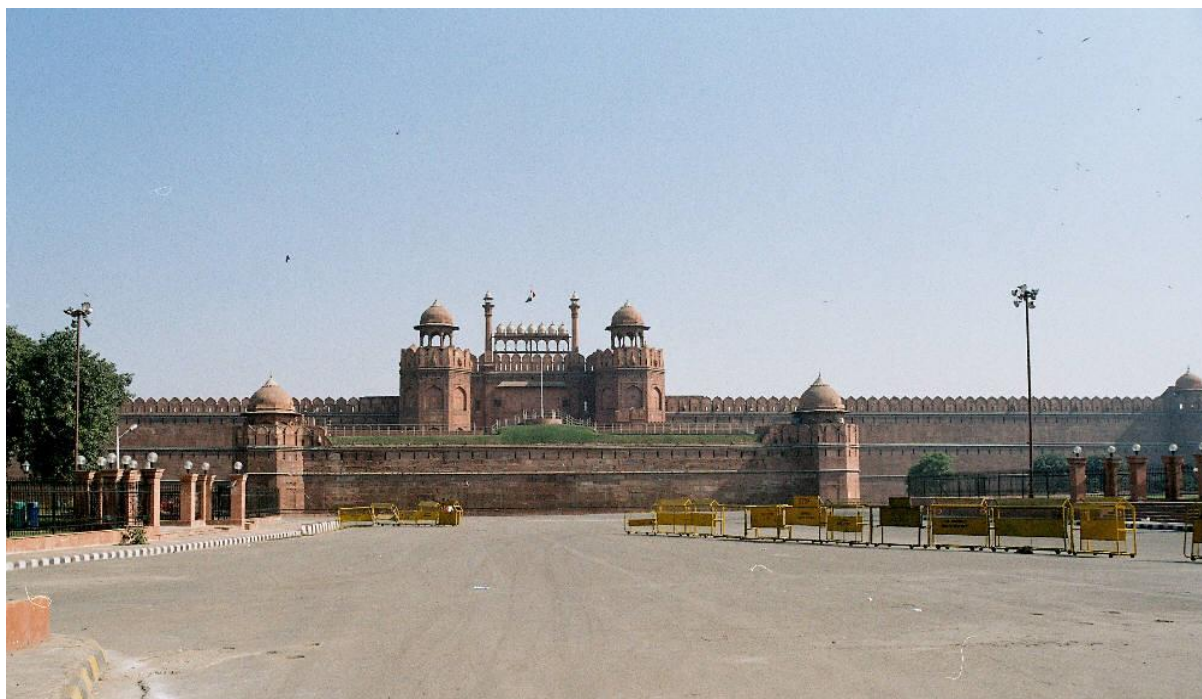
Pamiętam jak wiele lat temu wynająłem ciężarówkę dla naszej wyprawy w Kaszmir z Kishtwar do Galhar (tam kończyła się droga). Umówiłem się z kierowcą, że tą ciężarówką na jechać tylko nasz bagaż i my. No i co z tego? Jeszcze nie wyjechaliśmy z Kishtwar, gdy już wlało na pakę 200 ludzi, nasz bagaż znalazł się na samym spodzie a my jechaliśmy w potwornym tłoku. Cóż, takie są Indie. Tym ludziom nikt nie wytłumaczy, że nie mają wlaźć na ciężarówkę jadącą w ich kierunku.

A jaki jest na to wszystko sposób? Taki sam jak na rekiny - polubić. To jednak piękny, przyjazny i bardzo ciekawy kraj. A że trochę niewygodny? I tak go lubię.

Wybieramy się w wielką podróż

Moim marzeniem od lat był powrót do Indii, do kraju, z którym związana jest spora część mojego życia (byłem wcześniej w Indiach 11 razy). Paradoksalnie jeździłem do Indii wielokrotnie za czasów PRL-u, gdy wyjazdy zagraniczne z Polski były trudniejsze niż dziś, a w wolnej Polsce ciągle nie miałem, a to czasu, a to pieniędzy. Efekt był taki, że mam w odwiedzaniu Indii 16 lat przerwy (międzyładowania w Delhi i przesiadki do Kathmandu parę lat temu nie liczę). Ale z tego powodu wyprawa może być tylko bardziej ciekawa. Jak zmieniły się Indie w okresie, gdy zmienił się cały świat? Upadł Związek Radziecki i komunizm w Europie, do powszechnego użycia weszły komputery, pojawił się Internet,

telefony komórkowe i telewizja satelitarna. Ciekawa jest dla mnie sama obserwacja tej zmiany. No i od mojego ostatniego pobytu przybyło w Indiach 450 milionów ludzi.



Delhi, pałac cesarski. Fot. Krzysztof Łoziński

Agnieszka, która towarzyszyła mi w tej podróży, bywała już w wielu krajach, ale zawsze z renomowanym biurem podróży. Mamy więc od samego początku pewien konflikt wyobrażeń o świecie i sposobie podróżowania (na szczęście oboje mamy zdolność ustępowania, więc nigdy nie mieliśmy konfliktu prawdziwego). Planowanie zaczynam od delikatnego przekonywania Agnieszki do mojego sposobu zwiedzania świata. Gdy mówię, że w Indiach najlepiej jeździ się autobusem na dachu, bo i przewiew i widoki, widzę w jej oczach panikę. No dobrze, można i jechać w środku. Warto jednak wziąć grzałkę...

- Jak to grzałkę? To ja mam sama robić sobie herbatę? A od czego room service?

Bardzo delikatnie staram się wytłumaczyć, że po mojemu hotel w Indiach, to jest trochę co innego, niż hotel w egipskim kurorcie, bo po pierwsze nie jedziemy do kurortu. Nie bardzo widzę zrozumienie. Rezygnuję więc z powiedzenia, że warto też wziąć ze sobą dwa prześcieradła i koce, a hotel nie ma ani jednej „gwiazdki”, bo obawiam się, że w ogóle odmówi podróży. Powoli, powoli jednak przekonuję ją, że biuro podróży i luksusowy hotel to najlepsza metoda, by w egzotycznym kraju nic nie widzieć i nic nie rozumieć, że rezerwowanie hotelu jest całkowicie zbędne itp.

Przekonywanie kobiety do mojego trybu zwiedzania świata to ciężka praca. Zwłaszcza gdy wcześniej mieliśmy zupełnie inne koncepcje. Ja bym do kurortu z biurem podróży (basen, kort, bar na plaży i zabawy w „kulki game”), albo do jakiegoś „spa”, nawet wołami nie dał się wciągnąć. Tłumaczenie bardziej zaawansowanych spraw, na przykład tego, że preferuję namiot na lodowcu ponad hotel w Hurgardzie, na razie sobie odpuszczam. Kiedyś i do tego dojdziemy.

Agnieszka musiała przeżyć w pierwszych dniach pobytu niezły szok (każdy, kto jest pierwszy raz w Indiach przeżywa szok), ale jest bardzo dzielna i zupełnie nie dała tego po sobie poznać. Dziś jest chyba całkiem przekonana do takiego sposobu zwiedzania świata.



Pojazd „wołowy” na rogu Main Bazaar i Nehru Bazaar. Fot. Krzysztof Łoziński

Pewnym problemem jest dla nas obojga wiek, bo oboje u pierwszej komunii byliśmy dość dawno. Uważam, że jesteśmy młodzi, bo zgadzam się z Jerzym Hanuszkiewiczem, że starość to kwestia decyzji. Jak ktoś uważa się za starego, to i jest stary, a liczba wiosen ma drugorzędne znaczenie. Dlatego ja mam prawie 58 lat i jestem młody, bo myślę jak młody i postępuję jak młody (dziś, gdy przygotowuję książkę do druku, mam już 68, ale nadal jestem młody, bo tak uważam). Czasem tylko mój organizm o tym nie wie i sprawia mi różne dowcipy.

No tak, ze zdrowiem są pewne problemy. I dlatego ta podróż to pewien eksperyment. Czy ludzie mający dorosłe dzieci mogą podróżować po egzotycznych krajach lokalną komunikacją, niemal w nieznane (bo bez żadnych rezerwacji) i jeść w lokalnych restauracjach miejscowe potrawy? Oczywiście tak. A jak się choruje, to trzeba się leczyć i jechać dalej. Ot i wszystko.

I tu mała dygresja. Przypomniła mi się pewna wymiana zdań w prasie z jednym z byłych PRL-owskich dyplomatów, który chciał mnie na łamach gazety pouczać, jak wygląda Azja, bo bardzo mu się nie podobało to, co pisałem o Chinach. Odpowiedziałem mu wówczas tak: „Świat się nie składa, Szanowny Panie, tylko z ministerialnych korytarzy i pięciogwiazdkowych hoteli. Aby znać Azję, to trzeba trochę po niej pochodzić piechotą lub pojeździć rowerem. Trzeba czasem pomieszkać w takich miejscach, gdzie rano przed spuszczeniem nóg z łóżka trzeba najpierw sprawdzić, czy nie ma węża, a przed założeniem butów wyrzucić z nich skorpiony lub pająki.” I to jest właśnie kwestia odmiennych koncepcji zwiedzania świata. Bo czy mieszkając w pięciogwiazdkowym hotelu można przeżyć na przykład taką przygodę: W czasie jednej z wypraw poszliśmy razem z kolegą popływać w rzece. Dopłynęliśmy do piaszczystej wysepki na środku leniwego nurtu. Na wysepce rosło trochę krzaków, które zasłaniały widok na drugą stronę. Gdy przez nie przeszliśmy, zobaczyliśmy po drugiej stronie kilka wylegających się w słońcu krokodyli. I wówczas uświadomiliśmy sobie, że my jeszcze z tej wysepki musimy przepłynąć z powrotem do brzegu. To jednak zupełnie co innego pływać po rzece wycieczkowym statkiem, a co innego *sote*, czyli „na żywca”.

No tak, ale my tym razem będziemy tylko w miastach. W indyjskich miastach nie ma tygrysów, krokodyli i innych podobnych atrakcji. Są za to inne atrakcje i dlatego wybraliśmy zwiedzanie świata „na żywca”.

Lądujemy w Delhi

Leciliśmy Al Italią, przez Mediolan. Atrakcją podróży miał być boeing 777, chyba w tym czasie największy i najnowocześniejszy samolot świata. Rzeczywiście jest w nim Internet, można w czasie lotu telefonować, oglądać telewizję, grać w gry komputerowe. Tyle, że za wszystko trzeba płacić kartą, więc lepiej poczekać parę godzin aż się wyląduje. A po za tym, to jest ciasno, siedzenia są niewygodne (co przy wielu godzinach lotu daje w kość), pilota do oglądania filmów i gier projektował tak zawzięty miłośnik rebusów, że do końca nie zdołałem go pokonać. Włosi, jak to Włosi, są bałaganiarze, więc samolot odleciał z 1,5 godzinnym opóźnieniem i był nabity po brzegi (chyba nie było ani jednego wolnego miejsca). Było w nim bardzo dużo hinduskich dzieci, które nie mogły 8 godzin lotu usiedzieć spokojnie. Jednym słowem „wesoły autobus”.

I rzeczywiście samolot jest ogromny i dlatego nie może latać z Warszawy, bo ten nasz kurnik dla mikrusów udający międzynarodowe lotnisko by go nie obsłużył (było to przed oddaniem terminalu II).

W Delhi lądujemy po północy i bierzemy taksówkę na Paharganj. Kolega, który prowadzi sklep indyjski w Warszawie, polecił mi hotel „Roxy”, który miał być tani (250 rupii za pokój dwuosobowy - w przeliczeniu ok. 20 złotych; 1\$ = 45 rupii indyjskich lub 75 rupii nepalskich). Docieramy do hotelu po drugiej w nocy i od razu okazuje się, że jest kłopot. W hotelu „Roxy” chcą za pokój 700 rupii i ponoć tańszych pokoi nie mają. Oczywiście jest to czyste cwaniactwo, bo mają. Ziemowit Wirski, który mi ten hotel polecił, stale jeździł od Indii, bo sprowadzał stamtąd ciuchy do sklepu, był w Indiach 60 razy i nie miał takiej przerwy jak ja. Jednym słowem Ziomek wie, co mówi, a ci cwani goście w hotelu chcą nas po prostu orznąć, bo jest druga w nocy i myślą, że nie mamy gdzie pójść. Ale „nie ze mną te numery Bruner”.

Każemy taksówkarzowi zawieźć się do innego hotelu, puszczając mimo uszu uwagę, że nigdzie nie ma miejsc. To oczywiście kolejna próba szukania frajerów. Na samej ulicy Main Bazaar jest więcej hoteli i miejsc noclegowych, niż w całej Warszawie, więc niech mi nie trują. Przed wyjazdem robiłem u Ziomka wywiad o warunkach w Delhi, nie dlatego, że nie znam Indii, bo znam, tylko dlatego, że nie byłem tu 16 lat i wiele rzeczy mogło się zmienić. Ale niech sobie te łepki nie myślą, że nie umiem się poruszać po Indiach.

Drugi hotel jest okropny, brudny, w budowie, wszędzie pełno cementowego pyłu. Chcą za pokój 650 rupii, choć on na pewno na tę cenę nie zasługuje. Ale trudno, płacimy za jedną noc. Prześpimy tu do rana a rano znajdziemy jakiś hotel po normalnej cenie. Jestem wściekły na tych facetów z „Roxy”. Gdyby Ziomek mi ich nie polecił, to bym od razu pojechał do „Vishala” lub „Viveku”, czyli jednego z tych hoteli, w których normalnie się w Delhi mieszka bez kombinowania. 650 rupii to też nie majątek, jak na hotel, bo w końcu to jest 45 złotych za dobę, ale po co przepłacać?

Ładujemy się do pokoju, na drugie piętro po schodach, bo winda „not working”. Pościel jest brudna (jakże by inaczej), z kranu leci woda na podłogę (normalka). Ale przynajmniej jest ciepła woda i można się umyć. To jedna ze zmian na lepsze, jaką dostrzegam po 16 latach nieobecności. W każdym hotelu jest ciepła woda. W 1989 roku, gdy byłem tu ostatnio, nie było jej w niemal żadnym. No tak, ale wówczas pokój dwuosobowy z łazienką kosztował 2 dolary na dobę a nie 5 lub 6. Zresztą ta zimna woda w Indiach, tak naprawdę też jest ciepła, tylko trochę mniej ciepła. Pamiętam, jak jedna z koleżanek, lecąca ze mną na wyprawę w Himalaje, kilkanaście lat temu, spytała: „czy w Indiach jest ciepła woda?”. Odparłem: „wyłącznie”.

Ale wróćmy do naszego hotelu za 650 rupii. Jakoś trzeba w tych warunkach przetrwać. Na szczęście kupiliśmy jeszcze na Okęciu butelkę whisky. Parę łyków „wesołej wody” pozwala znieść każde warunki. No i ponoć zwalcza amebę (tak twierdzą miłośnicy whisky, ale ameba nic o tym nie wie).

Rano wychodzę na poszukiwania innego locum i znajduję zaledwie 200 merów dalej. Pokój nie jest dużo lepszy, choć jest wyraźnie czystziej i kosztuje 350 rupii. Ujdzie w tłoku. W końcu będziemy teraz w Delhi tylko dwa dni.

Jak to jest z tym Delhi?

Jak się właściwie nazywa to miasto? Delhi czy New Delhi? Czy może Dilli? Albo Naya Dilli? Wszystkie te nazwy można spotkać na mapach i w adresach.

Stolica Indii z całą pewnością nazywa się Delhi (po angielsku) lub Dilli (w hindi). Miasto o nazwie New Delhi nie istnieje i używanie takiej nazwy jest oczywistym błędem geograficznym. Koszmarnym już błędem jest to, co zrobili autorzy naszej niemieckiej mapy - umieścili na niej obok siebie dwa miasta: Delhi i New Delhi. Dają czytelnikowi słowo honoru, że istnieje tylko jedno miasto i nazywa się Delhi.

A skąd się wzięło to New Delhi? Historia jest dość skomplikowana. Delhi powstało z połączenia w jedno miasto kilku miast wcześniejszych, z których najstarszym było Lal Kot (dziś południowa część miasta). W 1192 roku generał Qutb-ud-din-Ajbak zajmuje Lal Kot i ustanawia Sułtanat Delhijski, jednocześnie zostając sułtanem, czyli nowym władcą. Delhi, zwane w języku hindi Dilli, co znaczy „serce” a przenośnie „stolica”, zostaje nową metropolią

na czas trzech kolejnych dynastii islamskich. Sto lat później Timur, zwany w Europie Tamerlanem (od Timur lane - Timur kulawy) zajmuje Delhi i kładzie kres sułtanatowi.



Sklep z antykami na ulicy Janpath. Są to oczywiście zupełnie nowe antyki, czyli podróby. Fot. Krzysztof Łoziński

W 1516 roku, władca Kabulu (dziś Afganistan) Babur (znany też jako Babar) ustanawia w Indiach nową dynastię Wielkich Mogołów (nie mylić z Mongołami). Stolicą Mogołów zostaje Agra, miasto położone 250 km na południe od Delhi. Babur był jednym z timurydów, środkowoazjatyckich władców przypisujących sobie drogą uzurpacji pochodzenie od Timura, który z kolei też drogą uzurpacji podawał się za potomka Temudżina (Dżingishana). Jeden z kolejnych władców z dynastii Wielkich Mogołów, Szahdżahan, przenosi w 1648 roku stolicę ponownie do Delhi. Pojawia się wówczas określenie Naya Dilli („nowa stolica” - dosłownie „nowe serce [kraju]”), które ma odróżnić Delhi od starej stolicy - Agry. Prawdopodobnie to określenie zostaje przetłumaczone na angielski jako New Delhi. Jednocześnie Delhi zaczyna być nazywane Szahdżahanabad (miasto Szahdżahana).

Ale to nie koniec nazewniczego galimatiasu. W czasach Indii brytyjskich stolicą została Kalkuta, ale po stu latach administracja brytyjska przenosi się do Delhi, które ma znacznie dogodniejsze położenie, niemal w sercu kraju obejmującego wówczas także dzisiejszy Pakistan, Afganistan i Bangladesz. Brytyjczycy postanawiają rozbudować i unowocześnić miasto. Architekci Edwin Lutyens i Herbert Baker przeprojektowują jego południowe dzielnice i wówczas ponownie pojawia się nazwa New Delhi używana nie dla samego miasta, ale jako określenie jego nowej wizji. Jednocześnie dla starej dzielnicy Szahdżahanabad położonej wokół pałacu cesarskiego Wielkich Mogołów zaczyna być używana nazwa Stare Delhi. Czy jednak jest to stare miasto i nowe miasto? Nie. Nowe Delhi obejmuje bowiem także najstarszą część miasta - Lal Kot. Nowe Delhi nie jest bowiem tak naprawdę dzielnicą a raczej wspólnym określeniem nowocześniejszej części miasta, które w całości nadal nazywa się po prostu Delhi.

I teraz dochodzimy do ostatniej części układanki. Mieszkańcy nowocześniejszej, lepszej, części miasta zaczynają pisać w adresach New Delhi zamiast Delhi, bo to podnosi ich prestiż, wskazuje na lepszą dzielnicę. New Delhi nie jest jednak dzielnicą a raczej konglomeratem trzech dzielnic - Connaught Place, Sansad Bhawan i Chanakyaपुरी. Stopniowo jednak wielu mieszkańców Delhi chce się zaliczyć do „lepszych” i podnosi swój prestiż pisząc w adresie New Delhi. Efekt końcowy jest taki, że adres New Delhi można znaleźć równie dobrze w odniesieniu do miejsca mieszczącego się w samym sercu Starego Delhi, gdzie zresztą znajduje się stacja kolejowa New Delhi Station. Dla miasta zaczynają funkcjonować równolegle dwie nazwy, choć formalnie tylko jedna z nich jest prawidłowa.

Ale to jeszcze nie wszystko. W ostatnich latach zaczyna odżywać nacjonalizm hinduski. Władze coraz chętniej zaczynają używać nazw w języku hindi (Indie mają dwa języki urzędowe - angielski i hindi). Delhi powraca do hinduskiej nazwy Dilli, Bombaj do starej nazwy Mumbai, Kalkuta (nazwana tak przez Anglików do nazwy wcześniejszego miasta Kalikat) zaczyna być pisana jako Colkutta, a Madras dostaje całkiem nowo wymyśloną nazwę Chenay (starej nazwy nie miał, bo go wcześniej nie było). Nawet nazwa kraju, India, wraca do starej nazwy Bharat. Dziś mamy już pełny galimatias nazewniczy, bo wszystkie te nazwy używane są równolegle, czemu sprzyjają dwa języki urzędowe. I tak na wagonach jednego pociągu możemy znaleźć tabliczki: „Dilli - Mumbai”, „Delhi - Bombay”, „Dilli - Bombay” i „Delhi - Mumbai”. Trzeba mieć łeb jak słoń, by nie zdurnieć. I musimy bardzo uważać, bo inna nazwa jest w rozkładzie jazdy, inna na peronie, a co będzie na wagonie, tego najstarsi kolejarze nie wiedzą.

To samo jest z nazwą kraju. Dwa największe koncerny naftowe Indii nazywają się: Bharat Petroleum i Indian Oil. I nie bądźmy zaskoczeni, gdy w Bombaju-Mumbaju obok Bramy Indii - Gate of India - znajdziemy księgarnię Bharatija Bookstore (Idnyjska księgarnia) a sto metrów dalej drugą Indian Pustak („Indyjska książka”). Bo oto właśnie obserwujemy kolejne zjawisko Indii - język „hindglisz” - specyficzną mieszaninę słów angielskich i hindi, w której słowa angielskie wymawiane są w dodatku tak, że nawet Anglik nie zawsze rozumie. Nie zdziwny się więc, gdy dla określenia, że coś jest niemożliwe usłyszymy „no posibel” (piszę fonetycznie), albo że coś kosztuje „small maney”. Co gorsza możemy usłyszeć „small paysa” (mało płacić - drugie słowo w hindi), albo „kitna price” (tym razem, pierwsze słowo w hindi).

Bywają też określenia, które dosłownie trudno przetłumaczyć, np. „ciapaty business”, co oznacza kiepski interes. Ciapaty to takie placki jak naleśnik robione z samej mąki zwanej *ata* i wody. Gdy dwóch gości stoi na ulicy i smaży ciapaty, to jest to właśnie „ciapaty business”. Co najlepsze takich dwóch facetów ma nad swym straganem szyld z nawą firmy. Na przykład: „Sharma & Pharma Corporation” albo „Asioka and Sons”, a firma ma taki obrót jak u nas babcia sprzedająca na ulicy pumeks.

Ładniejsze Delhi

Poranek pierwszego dnia był paskudny i wiem, że musiał zrobić na Agnieszce przykre wrażenie. Przeprowadzka z hotelu do hotelu po ulicach Paharganju ze wszystkimi atrakcjami tego miejsca, śmieciami, dziurami w asfalcie niczym w Warszawie, krowimi plackami. Jest jeszcze rano, więc ruch jest niewielki. W Delhi ruch zaczyna się około 9 rano, a część sklepów otwierana jest dopiero około 10-tej. Przynajmniej tak jest w grudniu, gdy ranki są jeszcze chłodne. Ciągnęliśmy za sobą przez te wszystkie brudy i wertepy nasze walizki na

kółkach starając się nie analizować zbyt dokładnie, po czym te kółka jadą. Od razu zostaliśmy oblężeni przez riksarzy i musieliśmy się od nich oganiać.



„Ciapaty business”. Fot. Krzysztof Łoziński.

- Mister, rikshaw?
- No rikshaw.
- Mister, eny problem?
- No problem.
- Mister, rikshaw, only 5 rupies.
- No rikshaw, no five rupies, no problem...

To niestety ciągły dialog każdego turysty w każdym indyjskim mieście. Kiedyś nawet kazałem sobie wyhaftować na koszulce napis: „No rikshaw, no hashish, no one rupia, no change money, no problem”. Turysta w Indiach jest ciągle oblężony przez różnych ludzi, którzy chcą na nim zarobić. Jeszcze 20 lat temu dominował wśród nich tłum żebraków, ale teraz żebraków jest zdecydowanie mniej. To kolejna z pozytywnych zmian, jaką wyraźnie widać. Inna, choć już nie pozytywna, to zniknięcie z miast wielu zwierząt. Chyba zrobiło się za dużo ludzi i skończył się ich ekosystem. W Delhi już prawie nie ma małp, zupełnie nie widać gekonów (małych zielonych jaszczurek polujących na owady), na niebie znacznie mniej drapieżnych ptaków (sępów, orłów, kruków), które zawsze krążyły nad miastem. Oczywiście są krowy, kozy, dzikie psy i żerujące na wysypiskach śmieci świni. Te wszystkie zwierzęta są częścią ekosystemu indyjskiego miasta. W Europie mówi się o „świętych krowach”, ale to poważne nieporozumienie. Krowy nie są święte i nie wszystkie są

bezpieczne. Hinduści szanują wszystkie żywe istoty, nie jedzą mięsa a spożycie wieprzowiny byłoby dla nich sprzeniewierzeniem się religii. Wierzą, że dusza człowieka przechodzi przez różne wcielenia i, w zależności od zasług i grzechów za życia, wciela się w różne stworzenia. Krowa może więc być wcieleniem jakiegoś przodka dzisiejszego Hindusa. To dlatego krowy są nietykalne, a nie z powodu jakiejś szczególnej świętości.

Co więcej, krowy odgrywają ważną rolę w całym systemie funkcjonowania tradycyjnego indyjskiego miasta. Dają mleko, zjadają odpady ze straganów (te wszystkie liście od kalafiorów, zgniłe mandarynki, skóry od bananów itp.), czyli oczyszczają miasto jak żywe odkurzacze. W Indiach te wszystkie śmieci wywala się po prostu na ulicę, a tam zajmują się nimi krowy, kozy, świnie i psy. Po takiej obróbce przez zwierzęta z tych śmieci już niewiele zostaje i dopiero to jest sprzątane. Krowy dają też nawóz, który po wysuszeniu stanowi opał. W każdym mieście można zobaczyć kobiety z kasty niedotykalnych, które gołymi rękami robią placki z krowich odchodów i suszą je na słońcu. Jest to główny materiał opałowy biedoty.

Podobno rząd od niedawna realizuje program usuwania krów z miasta (rezultatów raczej nie widać). Nie jest to proste, bo oznacza pozbawienie najbiedniejszych mleka i opału. Ogromny rozrost populacji ludzkiej Indii już dawno spowodował wycięcie niemal wszystkich lasów. Drewno opałowe stało się bardzo drogie i praktycznie używane jest tylko na stosach pogrzebowych, gdzie trudno je zastąpić czym innym (choć są już krematoria elektryczne). Bogatsi używają jako opału węgla lub nafty. Biednym pozostał suszony nawóz.



Palika Bazar. Fot. Krzysztof Łoziński.

Chodzimy po Paharganju między krowami i ich plackami, w potwornym kłębiącym się tłumie ludzi, riks, rowerów, samochodów. Wszystko to trąbi, dzwoni i napiera. Wąskie uliczki starego Delhi nie mają wyodrębnionych chodników. Jest jeden jezdni-chodnik, po którym człowiek porusza niczym w slalomie między pojazdami. Widzę, że na Agnieszce

wszystko to robi przygnębiające wrażenie, choć stara się tego nie okazywać. Chcę pokazać jej, że istnieje jeszcze inne Delhi. Bierzymy riksę i jedziemy na Connauth Place. To jedno z najbardziej reprezentacyjnych miejsc w Delhi - ogromne rondo, od którego odchodzi osiem ulic nazwanych Radial Road i oznaczonych numerami od 1 do 8. Wzniesiona przez Anglików zabudowa w stylu kolonialnym mieści pod kolumnadami luksusowe sklepy i restauracje. Wszystko to otaczają dwie obwodnice - dość skromna i wąska Ring Road i okazała Circular Road. To jedna z najbardziej „europejskich” części Delhi.

Connauth Place jest rozkopane, bo budują metro (o tym wiem od Ziomka). Robi to japońska firma a wykonują Hindusi. Ale oto widzę, że coś z tego metra już jest. Widzę gotową stację. Wchodzę z ciekawości i stwierdzam, że metro już działa. Pytam policjanta od kiedy. Od 2 lat działają 3 linie metra. Już pod koniec naszego pobytu w Indiach oddano do użytku czwartą. Polecam to pod uwagę naszym budowniczym. W Warszawie jedna linia metra budowana była przez ponad 20 lat i ciągle nie była skończona. Tu, w 18 milionowym mieście (dziś już 22,6 mln.) na obszarze kilka razy większym niż nasza stolica zbudowano w krótkim czasie 4 linie metra długie na 40-50 kilometrów. A przecież Delhi leży na skale, a nie na piachu. Skała jest już 1-2 metry od powierzchnią. Warszawski dowcip, że „budują metro - już zbudowali pół metra”, tu nie miałby zastosowania.

Idziemy na Palika Bazar, chyba największy bazar odzieżowy w Delhi. No bo jak najlepiej poprawić humor kobiecie? Zabrać ją na zakupy. Agnieszka od razu jest w swoim żywiole. Kupujemy parę ciuszków i bardzo fajne spodnie dla mnie (za odpowiednik 25 złotych). Teraz jedziemy na obiad do Chanakiapuri Shopping Center. To takie centrum handlowe w luksusowej dzielnicy złożonej głównie z ambasad. Jeszcze wcześniej idziemy na spacer do Nehru Park, bardzo porządnego parku miejskiego - palmy, rododendrony, fontanny... No a teraz do restauracji. Zamawiam tandoori chicken - najlepsze danie indyjskiej kuchni. Jest to kurczak pieczony w specjalnym piecu zwanym tandoori, przyprawiony na ostro jak piekło. Ale rzecz nie polega tylko na przyprawach. Także na tandoori, glinianym piecu o kształcie beczki wkopanym w ziemię. Na samym dole tego pieca jest warstwa żaru, a kurczaki i inne rzeczy do pieczenia wieszają się metr nad żarem tuż pod zwężeniem komina. Specyficzny efekt pieczenia w piecu tandoori nie daje się osiągnąć w żadnym piekarniku (ten piec występuje nie tylko w Indiach, w Afganistanie nazywa się „tandur”).

Agnieszka jest początkowo nieufna, bo jak każdy człowiek wychowany na polskiej kuchni nie zna przypraw. Po chwili widzę, że bardzo jej smakuje. Zaczynamy zamawiać różne dodatki, ciapaty with garlic, mixed vegetables... Podoba jej się. Widzę, że już złapała bakcyla Indii, a tego bakcyla już się nie da wyleczyć. Kto raz pokochał Indie, temu już tak zostanie.

Drugi dzień w Delhi to już zupełnie inny nastrój. Zaczynamy zwiedzanie. Pechowo jedziemy najpierw do Red Fortu (pałacu cesarskiego). Jest poniedziałek i okazuje się, że Red Fort jest dziś zamknięty dla zwiedzających. Możemy wprowadzić zwiedzić pobliski Szahdżahanabad, czyli serce Starego Delhi, ale to ciężkie przeżycie nawet dla przywykłego. W centrum Szahdżahanabadu, na obszarze kilkunastu kilometrów kwadratowych żyje jakieś 4-5 milionów ludzi. Uliczki mają po metr szerokości a tłok przypomina autobus w godzinach szczytu. Wolę jeszcze tego nie fundować Agnieszce.

Zamiast tego zwiedzimy Qutb Minar - ruiny ogromnego Drugi dzień w Delhi to już zupełnie inny nastrój. Zaczynamy zwiedzanie. Pechowo jedziemy najpierw do Red Fortu (pałacu cesarskiego). Jest poniedziałek i okazuje się, że Red Fort jest dziś zamknięty dla

zwiedzających. Możemy wprawdzie zwiedzić pobliski Szahdżahanabad, czyli serce Starego Delhi, ale to ciężkie przeżycie nawet dla przywykłego. W centrum Szahdżahanabadu, na obszarze kilkunastu kilometrów kwadratowych żyje jakieś 4-5 milionów ludzi. Uliczki mają po metr szerokości a tłok przypomina autobus w godzinach szczytu. Wolę jeszcze tego nie fundować Agnieszcemeczetu z XII wieku. Jest oczywiście pewien problem komunikacyjny - odległość. Bierzymy motorową riksę. Kierowca jest przerażony.



Nehru Park. Fot. Krzysztof Łoziński.

- To ponad 50 kilometrów - mówi i żąda 200 rupii.

OK. Niech mu będzie 200 rupii. W końcu to tylko odpowiednik 14 złotych za kurs jak z Łomianek do Piaseczna. Zwiedzanie Qutb Minar to czysta przyjemność. Piękna stara architektura w pięknym parku, wspaniałe płaskorzeźby. Palmy, kwiaty choć to grudzień. Miły akcent na koniec drugiego dnia w Delhi. Jutro o szóstej rano wyruszamy do Agry.

Delhi – Agra

Jesteśmy już dwa dni w Delhi. Jutro rano wyruszamy do Agry, historycznej stolicy Indii dynastii Wielkich Mogołów, miasta dwóch wielkich zabytków: pałacu cesarskiego zwanego podobnie jak w Delhi Czerwonym Fortem (Red Fort) i Tadź Mahal - grobowca cesarzowej Muntaz Mahal, niezwykle pięknej budowli z białego marmuru, uznawanej za jeden z największych cudów światowej architektury.

Indyjski ślub

Rano kupiliśmy bilety autobusowe do Agry w agencji mieszczącej się w hotelu Vishal. Oczywiście ma to być „tourist bus, luksusy, good places”. Tak przynajmniej zapewnia facet z agencji. Autobus ma odjeżdżać o szóstej rano sprzed Imperial Cinema, największego kina

na Paharganju. Wszystko zapowiada się dobrze, o szóstej rano ma po nas ktoś przyjść do hotelu i wsadzić nas do autobusu, a zresztą Imperial Cinema widzę z okna, to bardzo blisko. Tak mnie oczywiście zapewnia My Friend z hotelu Vishal, który oczywiście nie jest żadnym „moim friendem”, tylko po prostu pamięta mnie z dawnych lat i to wszystko. W Indiach trzeba się jednak przyzwyczaić i polubić to, że każdy, kto chce na mnie zarobić, jest „moim friendem” i natychmiast nim być przestaje, gdy już zarobi, no chyba, że może zarobić ponownie. Na tych „friendów” jest tylko jeden sposób, ten sam, co na rekiny, komary i karaluchy - skoro nie da się ich zwalczyć, to trzeba polubić.



Wystrojone kobiety w orszaku ślubnym w Delhi. Fot. Agnieszka Glinkowska (Łozińska)

Wieczorem łazimy bez celu po Main Bazar i przyległych ulicach. Nasze zainteresowanie wzbudza dochodząca z końca ulicy głośnie muzyka. Po chwili zauważamy kroczący dostojnie orszak ślubny pana młodego. Najpierw kroczą tragarze z wielkimi elektrycznymi lampami na ramionach, dalej orkiestra dęto-perkusyjna w nieco groteskowych mundurach, niczym z XIX-wiecznej armii, za nią tłumek tańczących mężczyzn, krewnych oblubieńca w otoczeniu kolejnych tragarzy z lampionami i jarzeniówkami. Dalej stadko młodych kobiet w niezwykle pięknych sari i wreszcie konie ciągnące wóz pana młodego. Pan

młody to najwyżej 12-letni chłopiec, raczej przestraszony niż zachwycony tą ceremonią. Siedzi na wozie, niczym radża na tronie razem z najbliższą rodziną i jedzie do namiotu ślubnego, w którym czeka już panna młoda, zapewne 9-10-letnia dziewczynka, równie przerażona jak on. Pochód zamyka wózek z agregatem prądotwórczym zasilającym te wszystkie lampiony i jarzeniówki, przyczepiony z tyłu do wozu pana młodego, który to biedak siedzi nie tylko w huku agregatu ale i jeszcze w wylotach jego spalin. Cóż, niełatwo być panem młodym w Indiach.



Tragarz niesie lampę w orszaku ślubnym. Fot. Agnieszka Glinkowska (Łozińska).

Hinduistyczne małżeństwa ustalane są przez rodziny a państwo młodzi na ogół nie mają nic do gadania. Zresztą najczęściej są za młodzi, by mieć coś do gadania. Ślub biorą nawet kilkuletnie dzieci. Kontrakt ślubny zawierają rodzice, przy czym rodzina dziewczyny musi wnieść posag. Dawniej były to komplety pięknych sari, zastawa stołowa itp. Od pewnego czasu zachłanność rodziców pana młodego bywa tak duża, że rodzice dziewczyny muszą kupić oblubieńcowi (lub jego tacie) motocykl albo i samochód. Rodzina panny młodej finansuje też całkowicie ceremonię weselną, na ogół bardzo wystawną. Często bierze w niej udział kilkaset osób. Wznosi się w tym celu specjalny, ogromny namiot ślubny, który w żadnym przypadku nie może być biały, bo to w całej Azji kolor śmierci i żałoby.



Bardzo młody Pan Młody na wozie ślubnym. Fot. Agnieszka Glinkowska (Łozińska).

Młoda dziewczyna stanowi dla indyjskiej rodziny duże obciążenie finansowe i często uważana jest za kłopot. Rodzice muszą ją wykształcić, wyposażyć i wydać za mąż. Po ślubie w wieku 9-10 lat dziewczynka-mężatka przebywa przez tydzień w domu chłopca-męża a później wraca do domu rodziców, gdzie czeka na pełnoletność. Oczywiście mąż i jego rodzice wcale nie łożą na jej utrzymanie, a po osiągnięciu dorosłości dziewczyna przechodzi całkowicie do rodziny męża i jej własna rodzina nie ma już z niej żadnego pożytku. W międzyczasie zostaje dokładnie wyszkolona przez matkę, ciotki i starsze siostry we wszystkich sztukach Kamasutry.

Gdy niedawno opisałem te zwyczaje, pojawiły się głosy oburzonych feministek: „jak można wydawać za mąż 10 letnie dziewczyny!”. Feministki nie zauważyły istotnego szczegółu – mąż jest w tym samym wieku, też ma 9 lub 10 lat. Ten system gwarantuje, że

oboje małżonkowie są w podobnym wieku. To nie jest wydawanie młodej dziewczyny za starszego pana, jak np. w USA.

Trzeba tu wspomnieć, że w pojęciu Hindusów pełnoletność to zupełnie co innego niż w Europie. Dziewczyna jest pełnoletnia, gdy zaczyna miesiączkować i może już rodzić dzieci. 15-16-latka, u nas uważana za dziecko, tak że nawet tknąć jej nie wolno, bo grozi prokurator, w Indiach może być już 2-3 krotną matką. W czasie jednego z wcześniejszych pobytów w Indiach poznałem bardzo bogatego 17-letniego właściciela sporego sklepu, którego 15-letnia żona była już matką pięciorga dzieci, bo trafiły jej się trojaczki i bliźniaki. W wielu krajach Azji, nie tylko w Indiach, dzieci znacznie wcześniej niż u nas, wchodzą w dorosłe życie. Kilkunastoletni chłopcy prowadzą już samodzielnie sklepy, dziewczyny w wieku 15-16 lat pracują nieraz jako ekspedientki. W Afganistanie spotykałem 12-letnich chłopców prowadzących duże ciężarówki. Oczywiście działa zasada - czym biedniej, tym wcześniej. W rodzinach biedaków nawet kilkuletnie dzieci pracują albo żebrzą. 12-letni chłopcy pracują czasem już przy ciężkich pracach, na przykład na budowach.

Ale wracajmy do indyjskich małżeństw. Wielkim problemem społecznym jest to, że praktycznie niemożliwe są rozwody. Skutkuje to zjawiskiem poparzonych kobiet. Ludzie są, jak wiadomo różni. Bywają wśród nich ludzie zwyczajnie źli. Dlatego w Indiach mnożą się przypadki pozorowanych wypadków w kuchni. Niechciana żona zostaje zwyczajnie oblane naftą i podpalona. Najczęściej umiera wskutek poparzenia znacznej powierzchni ciała. Rodzina męża twierdzi, że to wypadek - sama się oblała gotując na naftowym palniku (bardzo popularne urządzenie do gotowania). Oczywiście jest to margines a nie norma, ale ten margines jest też problemem społecznym. Od pewnego czasu sprawą zajęły się organizacje pozarządowe i zmusiły policję do reagowania na takie przypadki. Niestety ta reakcja władz bywa zwykle mało skuteczna i mało rychliwa. Jednak o problemie zaczęto mówić i wówczas ukazało się jego drugie, jeszcze bardziej przerażające dno. Okazało się, że są małżeństwa zawierane tylko w celu wyłudzenia od rodziny kobiety potężnego posagu, po czym kobietę oblewa się naftą i podpala.

Dlaczego takie rzeczy są tolerowane? Przyczyn jest kilka. Pierwsza to tradycja, wedle której kobieta ma niewiele praw i jest podległa mężczyźnie. W rodzinach lepiej wykształconych, miejskich, bogatszych, ta tradycja to już historia. Jednak istnieją jeszcze spore obszary społeczne, gdzie tradycja jest silna. W końcu jeszcze kilkadziesiąt lat temu zdarzały się przypadki sati, czyli palenia wdów na stosie pogrzebowym męża, choć praktyki takie są w Indiach zakazane od dawna (zakaz wydali jeszcze Anglicy). Drugą przyczyną jest słabość władzy państwowej. Indie są demokracją, ale demokracją biedną. Policja jest mocno nie doinwestowana i nie doszkolona. Stąd jej nieporadność.

Aby być obiektywnym, muszę dodać, że tradycyjne niezwykle purytańskie zwyczaje zaczynają odchodzić do lamusa. Jeszcze kilkanaście lat temu, gdy zapominając, gdzie jestem, wziąłem w Delhi na ulicy dziewczynę za rękę, zostałem obrzucony kamieniami. Pomimo tego, że dziewczyna była Polką. Jakikolwiek publiczny dotyk wobec kobiety był wówczas jeszcze bardzo źle widziany, ale już zaczynał być tolerowany. Kilka lat wcześniej, było to coś zupełnie niemożliwego. Teraz wielokrotnie widziałem w parkach a nawet na ulicy obejmujące się hinduskie pary i nikt na to nie zwracał uwagi. Widziałem też wielokrotnie młode dziewczyny na motocyklach. Dawniej kobieta mogła jechać motocyklem tylko na tylnym siedzeniu i to w pozycji bokiem, bo samo siedzenie okrakiem na siodelku było już dla Hindusów gorszące. Bardzo dużo indyjskich kobiet prowadzi dziś samochody.

Podobne zmiany zaszły też w obyczajach ślubnych. Wiele ślubów zaczęło być zawieranych później, między ludźmi już dorosłymi. Coraz częściej dziewczyna może odmówić zamążpójścia, jeśli kandydat na męża jej nie odpowiada. Jednak małżeństw z miłości jest ciągle jeszcze bardzo mało a konkubinat jest instytucją niemal nieznaną. To wszystko jednak nie znaczy, że indyjskie małżeństwa są nieszczęśliwe. Wiele par, choć poślubiono je odgórnie, normalnie się kocha i tworzy normalne szczęśliwe rodziny.

W 2015 roku głośna stała się społeczna akcja przeciw gwałtom na kobietach. Przyczyniło się do tego kilka głośnych przypadków zbiorowego gwałtu. W zachodnich mediach krążyła nawet informacja, iż w Indiach jest gwałtów strasznie dużo, bo w skali kraju jest ich „3 na godzinę”. Pragnę czytelników uspokoić. Jeśli ta liczba jest prawdziwa, to w przeliczeniu na sto tysięcy mieszkańców (w takich jednostkach podaje się w literaturze dane na temat przestępczości), jest ich bardzo mało, dwa razy mniej niż w Polsce. Owszem, „3 na godzinę” ale w kraju liczącym w 2015 roku ponad 1.200 milionów ludzi (miliard dwieście milionów! 1.267 milionów według danych na lipiec 2016, a obecnie, w 2023 roku już ponad 1.400 milionów), 2,5 Unii Europejskiej. Z jednej strony dobrze, że taka kampania społeczna jest prowadzona, ale z drugiej histeria o strasznej liczbie gwałtów w Indiach to wielka przesada.

Aby zakończyć temat, muszę wyjaśnić jeszcze jedną sprawę. W Indach jest kilka głównych religii; hinduizm, buddyzm, islam, sikhizm, dżinizm, zoroastryzm. Jest też nieco chrześcijan i judaistów, choć są to liczby bardzo małe. Prawo cywilne, w części dotyczącej małżeństw i rodzin, jest w tym kraju inne dla każdej religii. Te zwyczaje i prawa, które opisałem dotyczą religii najliczniejszej: hinduizmu.

Droga do autobusu

Zgodnie z tym, co powiedział nam „nasz friend”, u którego kupiliśmy bilety, czekamy spakowani o 6 rano przy recepcji hotelu na „człowieka”, który ma nas wsadzić do autobusu. Jest ciemno, miasto śpi. Autobus miał odjechać o 6.00 a o 6.30 ciągle nie ma „człowieka”. Co gorsza nie widzę żadnych autobusów przy Imperial Cinema, które to kino znajduje się nie dalej jak 70 metrów od nas. Zaczynamy się już zastanawiać, czy ktoś nas nie robi w bambuko.

O 6.45 pojawia się „człowiek”, mniej więcej 20-letni chłopak i poleca nam iść za sobą. Nie idzie jednak w kierunku Imperial Cinema, ale skręca w Main Bazaar. Mamy oboje dość ciężkie walizki na kółkach i nie możemy iść specjalnie szybko, a nasz „człowiek” zasuwa jak nakręcony. Ciągniemy te walizy po Main Bazaar, kółka się co chwila zacinają, bo to co leży na ulicy się w nie wkręca. A cóż tam nie leży na tej ulicy...? Lepiej nie myśleć i nie patrzeć. Agnieszka, która ma kłopoty ze stawem biodrowym (z tego powodu nie mamy plecaków tylko walizki) i nie może szybko chodzić, zaczyna zostawać z tyłu, ja gonię człowieka, by go nie zgubić, ale co chwila czekam na Agnieszkę, człowiek mknie, kółka się zacinają. Słowem cyrk w gonitwie.

W połowie Main Bazaar „człowiek” pobiera dwie młode Australijki z innego hotelu i skręca w wąziutką uliczkę prowadzącą w stronę Gupta Road. Gonimy już za nim w czwórkę. Australijkom łatwiej, bo mają plecaki. Co gorsza cały czas myślimy, że to już nie daleko, bo w innym przypadku wzięlibyśmy riksę. Tymczasem nabiliśmy piechotą z tymi walizkami już chyba kilometr. W końcu zjawia się szef „człowieka” na motocyklu i pakuje nasze walizy na riksę. Rychło w porę, bo okazuje się, że jest już tylko 50 metrów do końca. Rikszarz wystawia nasze walizy na Gupta Road, skąd naprawdę ma odjechać autobus (ponad kilometr od Imperial Cinema). Szef daje mu 5 rupii (równowartość 35 groszy), facet marudzi, że mało,

na co szef krzyczy: *czielo, czielo!* *Czielo*, to w języku hindi dosłownie idź, odejdź, przejdź, ale powtórzone dwukrotnie znaczy spier...aj! Uprzejmy ten szef, nie ma co.

Agnieszka jest wściekła, chyba znów przestają się jej podobać Indie. Wcale się jej nie dziwię, nikt nie lubi być robiony w konia, ale mnie to martwi, bo tyle pracy i agitacji włożyłem, by ją do tego kraju przekonać. Tymczasem zaczynają nas turystów wsadzać do autobusów. Turystów jest kilkunastu, autobusów kilka, ale są już w nich ludzie. W końcu szef pokazuje mi kierowcę i mówi, że to „very good driver”. „Very good driver” prowadzi nas do autobusu i okazuje się, że są w nim wolne tylko dwa miejsca na samym tyle. Nie normalne fotele, na jakich siedzą inni, tylko wąska ławka z pionowym oparciem i to mają być nasze „luksusery very good places” za 900 rupii. Ledwo się na nich mieścimy.

Autobus rusza, a kierowca krąży po Delhi i zbiera kolejnych pasażerów na lewo, bo przecież musi zarobić. Trzęsiemy się na naszej ławeczce, bo ten sprzęt, stary indyjski autobus Tata, chyba nigdy nie miał resorów a i budowniczowie drogi chyba nigdy nie słyszeli o równej nawierzchni. Po paru kilometrach kierowca próbuje dosadzić nam trzeciego pasażera. Agnieszka ostro protestuje, wtórują jej Australijki a autobus stoi. Zamiast jazdy, awantura. W końcu wstawia się za nami już niemal pół autobusu, co ciekawe głównie Hindusi. Kierowca musi ustąpić. Zabiera tego pasażera do swojej kabiny i dosadza na swoją ławkę, która robi za fotel kierowcy. Wygraliśmy małą bitwę z orientem.



Młodociany kierowca i jego ciężarówka. Stan opon, jak widać. Fot. Krzysztof Łoziński.

Droga do Agry

Ze zdziwieniem stwierdzam, że jedziemy autentyczną autostradą. Pamiętam drogę do Agry sprzed lat. Była to wąska jezdnia pełna arb ciągniętych przez bawoły, wielbłądów i ciężarówek, których kierowcy nie wierzyli w żadne ograniczenia ładowności. A teraz, proszę - dwie dwupasmowe jezdnie oddzielone trawnikiem i barierą. Coś jak nasza Trasa Katowicka zwana Gierkówką. Oczywiście „lustro asfaltu” jest na tej autostradzie cokolwiek krzywe, ale nie wybrzydzajmy. Dobrze, że jedziemy i wydostaliśmy się z Delhi, co zajęło sporo ponad godzinę.

Na naszej autostradzie pełno jest riksów, rowerów, traktorów z przyczepami. Jak to w Indiach. Po jakiś stu kilometrach, autobus zawraca na skrzyżowaniu i jedziemy do przydrożnego baru. Oczywiście było mnóstwo barów po naszej stronie drogi, ale z tym barem kierowca ma układ, a z tamtymi nie. Śniadanie jest takie sobie, my i tak mamy swoje banany. Z grubsza ujdzie, choć higiena stołu jest nieco egzotyczna. Ale bez przesady, widywałem gorszą.

Autobus rusza spod baru i jedzie do skrzyżowania. Oczywiście nie może od razu wjechać na właściwą jezdnię w stronę Agry, bo jest bariera, a cofać się do poprzedniego skrzyżowania mu się nie chce, więc jedzie jakieś 3 kilometry pod prąd. Tylko w Azji pełen ludzi autobus może jechać 3 kilometry autostradą pod prąd, ale tutaj to „normal”.

Ruch w Indiach jest w zasadzie lewostronny. Podkreślam, nie lewostronny, ale w zasadzie lewostronny. Jazda pod prąd, nawet w gigantycznym ruchu wcale nie jest wyjątkiem. W większości krajów Azji obowiązują zupełnie inne zasady ruchu niż u nas. Pierwszeństwo ma większy, a w nocy ten, co ma silniejsze światła. Mrugnięcie światłami oznacza „nie ustąpię”, a klakson „uwaga jadę”. Jak ktoś trąbi, to trzeba mu wiać z drogi. Kierowcy w ogóle nie obchodzi to, co się dzieje z tyłu. Wielu kierowców ma złożone boczne lusterka albo wcale ich nie ma. On ma uważać na tych z przodu, a na niego ma uważać ten z tyłu. Coś, co u nas nazywa się wymuszaniem pierwszeństwa, tu jest normalną metodą jazdy. Co więcej, jak się zacznie ustępować, to w ogóle się nie pojedzie. Tak więc samochody gwałtownie skręcają bez żadnego ostrzeżenia i nikogo to nie dziwi. Pasy ruchu bywają namalowane na jezdni, ale nikt się nimi nie przejmuje. Jazda kilometrami po linii ciągłej jest na porządku dziennym. Czerwone światło spełnia tylko rolę informacji, kto ma pierwszeństwo, ale nie jest bezwzględny zakaz jazdy jak w Europie. Swojego czasu nauczyłem się w Indiach, iż z tego, że mam zielone światło, to jeszcze nic nie wynika i nawet w Polsce zawsze przed skrzyżowaniem zwalniał (co wcale nie jest takim głupim nawykiem).

Pojazdy wykonują na indyjskich drogach nieprawdopodobne slalomy, mijając się nieraz na grubość lakieru. Podstawowa zasada to szybki refleks i miękkie ruchy. Na szczęście to wszystko dzieje się na małych prędkościach. Rzadko tu przekracza się 50 km/godz. i tylko dzięki temu wszyscy jeszcze żyją. Normą są stada bawołów lub kóz, spacerujące w poprzek drogi słonie lub małpy. Po zmroku sto procent rowerzystów i część innych pojazdów jest nieoświetlonych, ale i tak trzeba jechać wolno, bo bawoły są nieoświetlone z natury.

Około południa, wytrzęsieni do niemożliwości na niewygodnej twardej ławce, która miał być naszym „luksusery place” w autobusie, docieramy do Agry. Natychmiast pojawia się kolejny „friend”, który oferuje nam riksę, hotel i wszystko, czego tylko chcemy. Oczywiście ten facet nie zjawiał się tu przypadkowo. Po prostu agent z Delhi zawiadomił telefonicznie swojego kumpla w Agrze, że tym autobusem jedzie dwoje westmanów, na których można

zarobić. Taka sieć biznesowych powiązań obowiązuje w niemal całej wschodniej Azji i urywa się dopiero wtedy, gdy jedziemy tak daleko, że nasz dotychczasowy opiekun nikogo już tam nie zna.



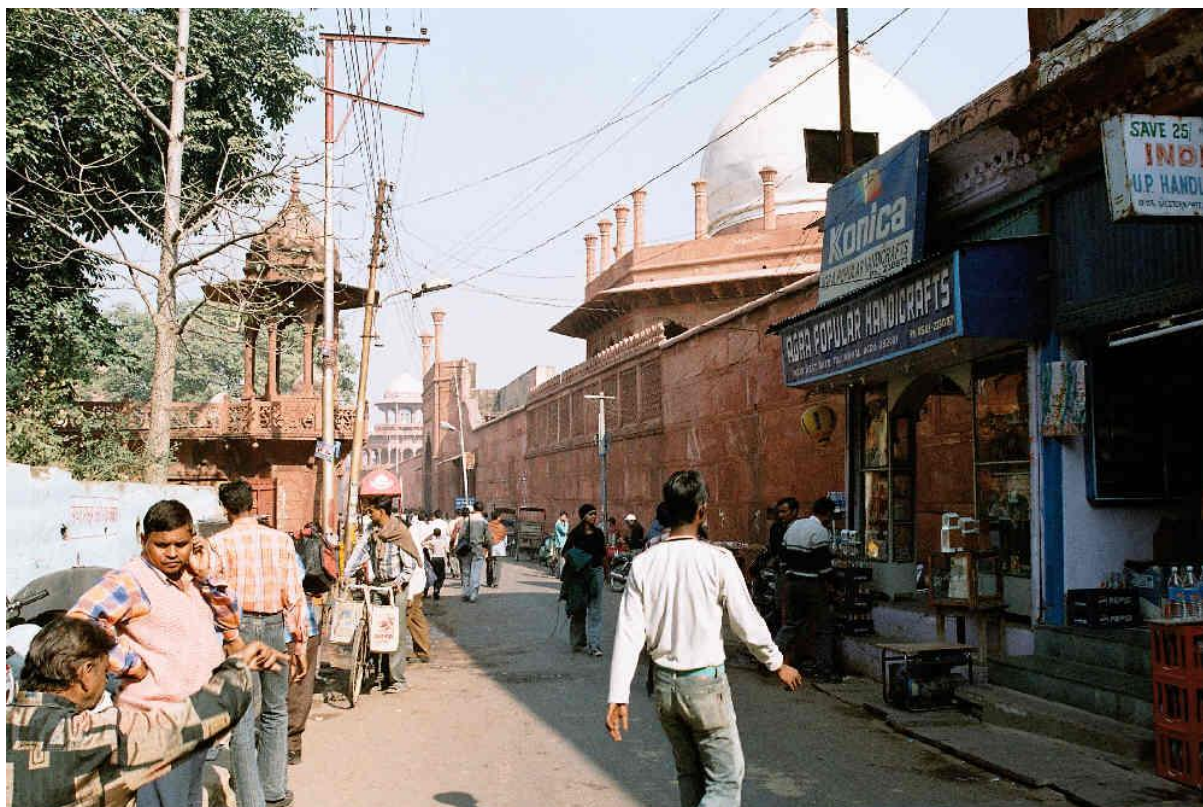
Rzeźba przedstawiająca chyba (?) boginię Lakshmi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Niewidzialna ręka powiązań

W Azji nie ma żadnej potrzeby rezerwowania hotelu i martwienia się o nocleg. Jeśli przybywasz do azjatyckiego miasta, obojętne, czy są to Indie, Kambodża, Nepal, Pakistan, Filipiny, czy co tylko chcesz, o twój nocleg i wyżywienie martwią się już inni. Wystarczy, że wysiądziesz z pociągu, autobusu lub wyjdiesz z lotniska, a już przy tobie pojawia się tłumek naganiaczy i zostajesz zasypywany pytaniami: „mister, rikshaw? ...taxi? ...hotel? ...change money? ...rent a car?”. Trzeba tylko zdecydować się na środek transportu i określić mniej więcej cenę hotelu, który cię interesuje. I nie musisz się martwić o języki obce. Ci ludzie zawsze mówią po angielsku.

Oczywiście taksówkarz wcale nie zawiezie cię do najlepszego ani najtańszego hotelu tej klasy, jaką sobie życzysz, tylko do tego, dla którego pracuje. No chyba, że podasz konkretną nazwę hotelu, ale wówczas weźmie więcej za kurs. Jednak w Indiach i innych krajach azjatyckich nie warto być zbyt wielką Zosią Samosią. Oczywiście, będąc w Indiach 12-ty raz dałbym sobie świetnie radę bez tych wszystkich „friendów”, tylko po co? Dzięki

nim nie muszę znać miasta, wiedzieć, gdzie mieszkać i co warto zwiedzać. Na miejscu jest cała gromada ludzi, którzy wiedzą to za mnie. W dodatku mają przedeptane ścieżki.



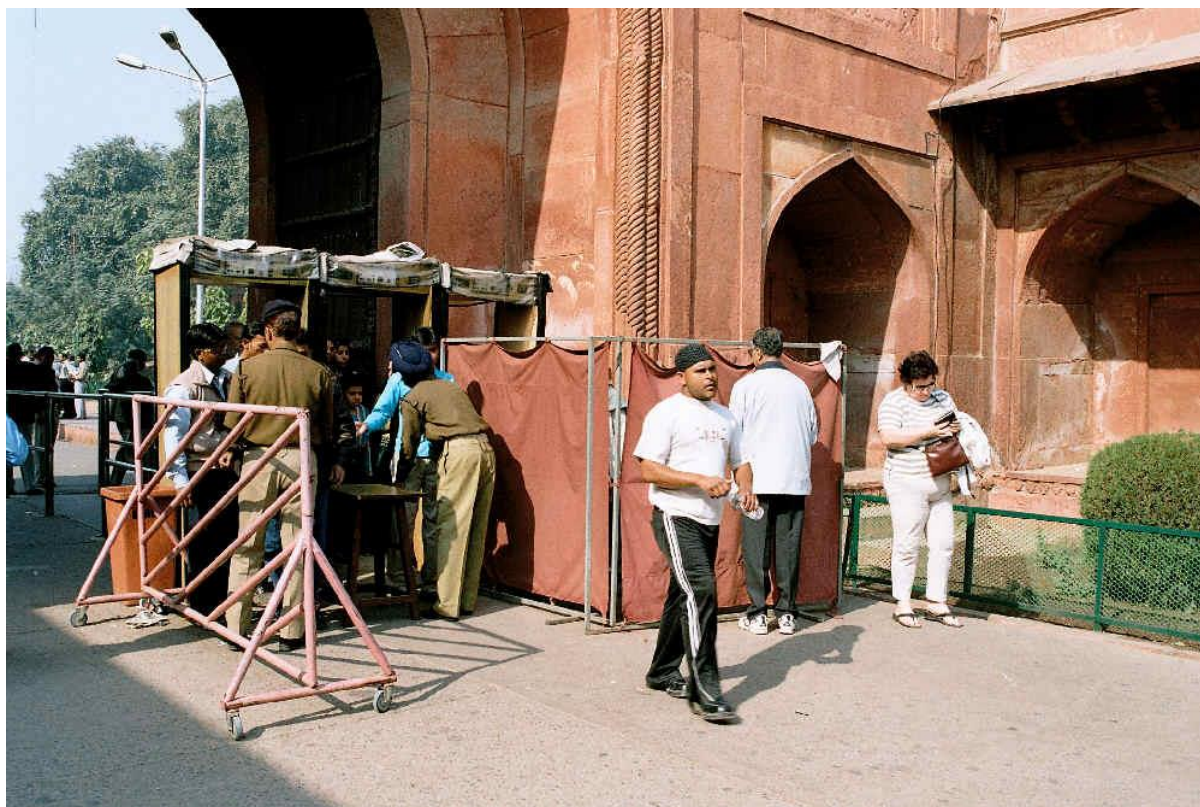
Agra. Otoczenie Tadź Mahal, jednego z największych zabytków Indii, nie wygląda zbyt efektownie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kiedyś, gdy jeszcze dobrze nie znałem Indii, poszedłem sam na dworzec kupować bilet kolejowy. Było to w 1979 roku w Jammu, stolicy stanu Jammu & Kashmir. Nie wiedziałem, że rządząca wówczas partia Indyjski Kongres Narodowy lansuje osobliwy sposób walki z bezrobociem - mnożenie urzędniczych stanowisk pracy. Jeden bilet kupowało się w trzech kolejnych okienkach. W pierwszym robiło się rezerwację, w drugim kupowało się miejscówkę, a dopiero w trzecim właściwy bilet. Do każdego z okienek trzeba było wystać się w kolejce w potwornym upale. W hali kasowej nie było nawet wiatraka, o klimatyzacji nie mówiąc. Do tego dochodził specyficznie indyjski sposób stania w kolejce. Ludzie stoją ściśnięci dotykając pleców poprzednika. Nie można się odsunąć nawet na jeden krok w bok, bo wszyscy uważają to za wyjście z kolejki, do której nie ma powrotu. Dlatego od tamtej pory, zamiast chodzić na dworzec, załatwiam wszystko z agentem albo wręcz dzwonię na room service i mówię: - Ty, *baba*, kup mi bilet do Varanasi. I to jest najlepsza metoda.

Słowo *baba* znaczy w języku hindi *facet*, ale jednak z pewnym szacunkiem. W polskim nie ma dokładnego odpowiednika, coś bliżej angielskiego *gentleman* niż *fellow*. To jednak mniej niż *sahib*, czyli *pan* całą gębą.

Ale wracajmy do tematu. Człowiek, który przejmuje cię na dworcu i wsadza do rikszy, przekazuje cię w rzeczywistości całej biznesowej sieci. No i bardzo dobrze. Kierowca, zacznij dojeżdżasz do hotelu, wypyta cię, ile dni zostaniesz w mieście i gdzie udajesz się później. Jeszcze dobrze nie usadowisz się w hotelowym pokoju, a już zapropnują ci załatwienie biletu na dalszą podróż i cały plan zwiedzania. Przy okazji wmuszają ci wizytę w

paru bardzo drogiego sklepach, do których sam byś nigdy nie poszedł. Oczywiście możesz tam nic nie kupić. Wystarczy, że co dziesiąty tak przywieziony klient coś kupi.



Agra. Kontrola antyterrorystyczna przy wejściu do Tadź Mahal. Fot. Krzysztof Łoziński.

A więc jedziemy z dworca autobusowego do hotelu za bardzo małe pieniądze (40 rupii), choć jest cholernie daleko. Agra to oczywiście nie Delhi z jego gigantycznymi odległościami. To nie 17 milionów ludzi, tylko półtora (obecnie, w 2016 roku, już ponad dwa). Jak na Indie, miasto takie sobie ani duże, ani małe (no, takie jak Warszawa, tylko bez wieżowców). Ten kierowca dobrze wie, czemu wiezie nas tak tanio. Po prostu będzie nas woził wszędzie przez kolejne trzy dni. Na pewno na tym nie straci. Od razu wypytuje, co jutro będziemy zwiedzać i o której godzinie ma czekać pod hotelem.

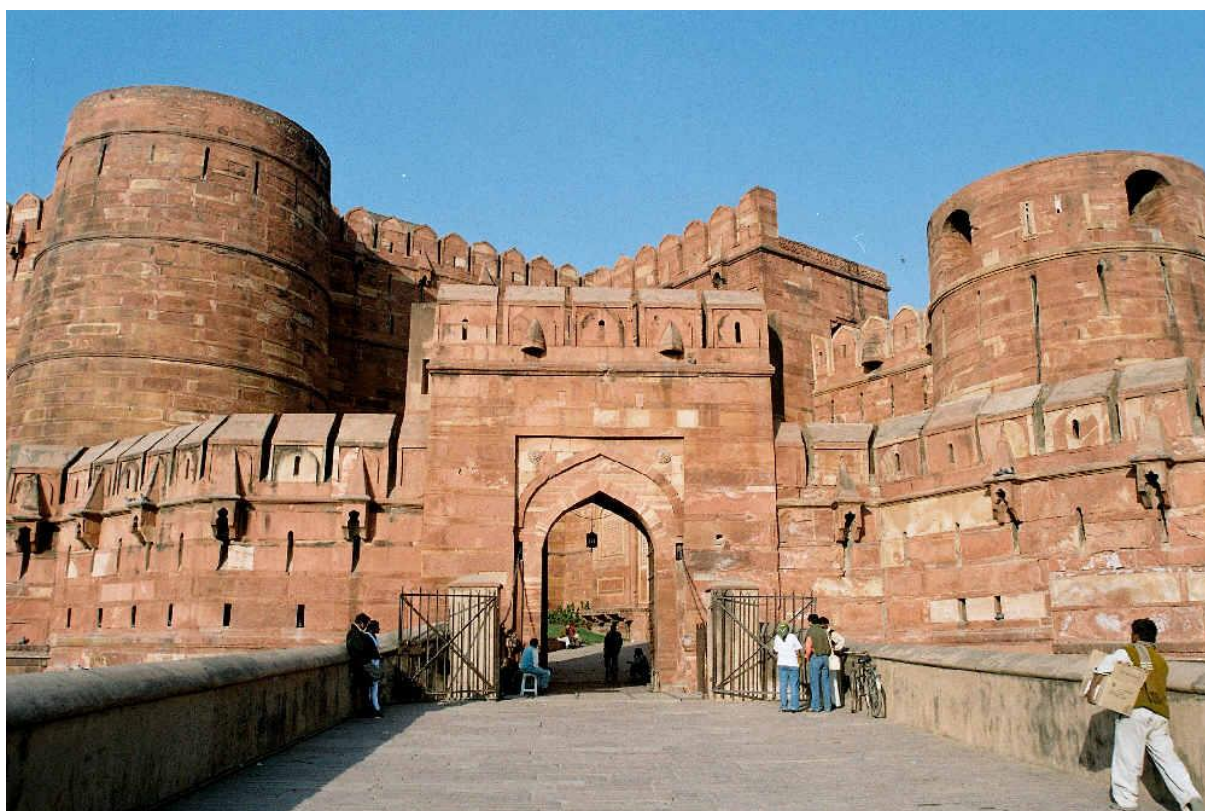
Na drugi dzień rano wychodzę kupić trochę mandarynek i bananów. To nasz stały zestaw śniadaniowy. Okazuje się, że w pobliżu naszego hotelu nie ma żadnego straganu z owocami. Idę ulicą jakieś sto metrów i nie widzę żadnego. I nagle, jak spod ziemi wyłania się nasz „friend” kierowca rikszy. Mówi, że tu nie kupię owoców, trzeba pojechać na inną ulicę, no i już ma kurs za parę rupii. Dziwię się, że tak natychmiast się znalazł, gdy tylko wyszedłem. Wyjaśnienie jest bardzo proste - spał w rikszy pod hotelem. To się nazywa dbanie o klienta!

Red Fort i Tadź Mahal

Po śniadaniu chcemy jechać do Red Fortu, czyli pałacu cesarskiego. Rikszarz wiezie nas jednak do agencji turystycznej. Ja mówię, że ma jechać do Red Fortu, a on jedzie gdzie indziej. Trudno, odwiedzimy agencję. I zaraz okazuje się, że ten nasz „friend” dobrze wie, co robi. Jest sezon turystyczny i z biletami na dalszą trasę mogą być kłopoty. Nie można czekać na ostatnią chwilę. Robimy rezerwację na bilet kolejowy do Jansi i dwa dni później z Jansi do Varanasi. Z Jansi do Kajuraho i z powrotem musimy pojechać autobusem. Niestety jest to

tylko „government bus” czyli autobus państwowy jadący 6 godzin, na który nie ma rezerwacji. Wiem co to jest w Indiach „government bus”. Najkoszmarniejsze polskie PKS-y na trasie Chabówka - Podczerwone, z czasów Gomułki, to przy nim szczyt luksusu. Ja to przetrzymam, bo gorsze okoliczności w życiu widziałem, ale jak to zdierży Agnieszka? Trudno, przyjdzie pora, będziemy się martwić. Na razie płacimy, a agent przywiezie nam wieczorem do hotelu bilety.

No dobrze, czy teraz możemy już jechać do Red Fortu? Możemy ale w drodze powrotnej koniecznie musimy odwiedzić pewną restaurację. Nasz „friend” wszystko już zaplanował. Oczywiście ta restauracja należy do szefa naszego „frienda” i jak do niej pojedziemy to szef go pochwali, tak przynajmniej zeznaje „freund”. No dobrze, niech mu będzie. Czy ta restauracja, czy inna? I tak gdzieś musimy zjeść.

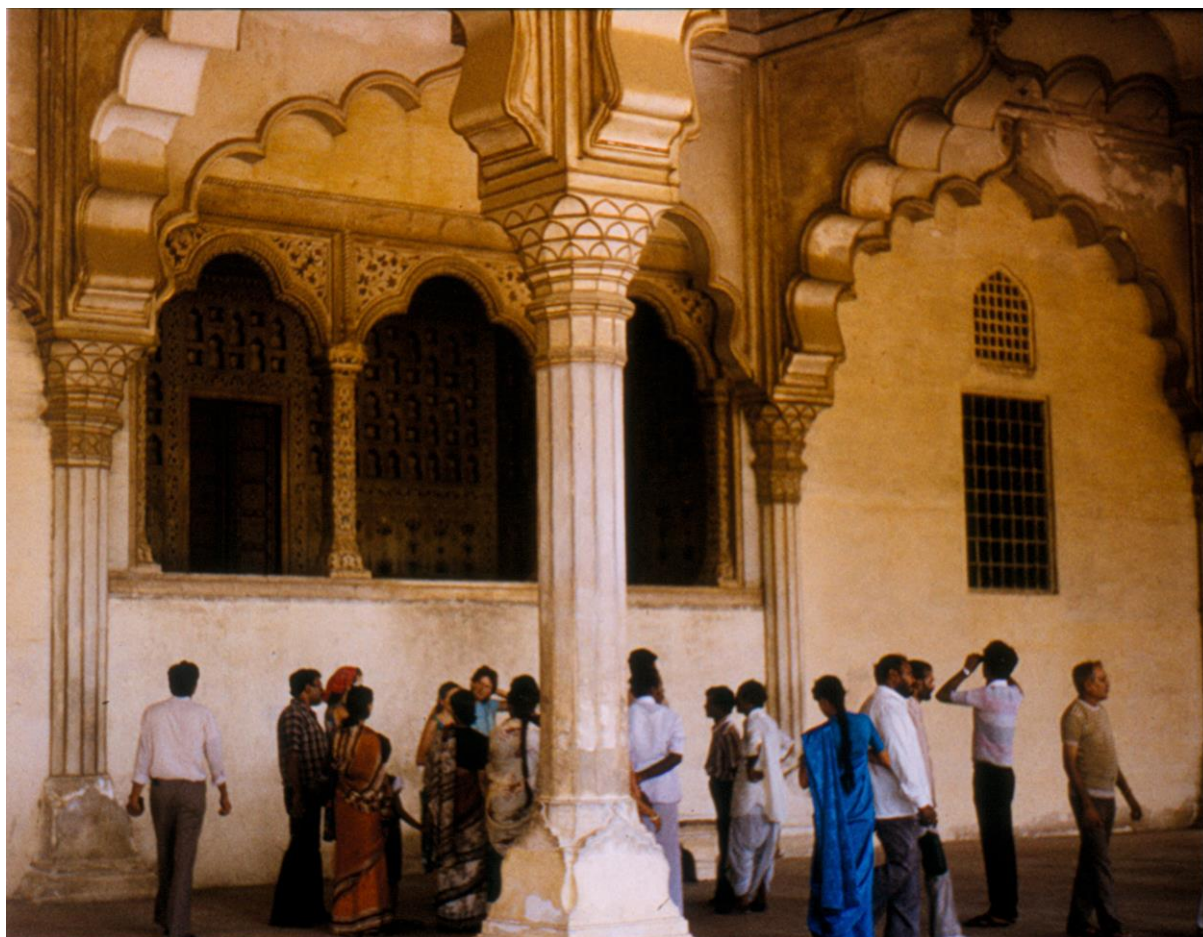


Red Fort w Agrze. Fot. Krzysztof Łoziński.

Red Fort to pałac cesarski w Agrze (podobnie jak Red Fort w Delhi). Władca Kabulu Babur (czytaj: Babar) najechał Indie i w 1516 roku zajął Agrę, która była już stolicą Indii od czasów Sikandara Lodi. Babur był jednym z timurydów, środkowo azjatyckich władców podających się za potomków Timura zwanego w Europie Tamerlanem (od Timur lane - Timur kulawy).

Oczywiście Babur nie był potomkiem Timura, podobnie jak Timur nie był potomkiem Temudżina (Dżingishana). Była to uzurpacja. Obaj przypisywali sobie pochodzenie od potężnych władców, by podnieść swą rangę. Jednak Babur dokonał dzieła na miarę swego urojonego przodka - założył w Indiach potężną dynastię Wielkich Mogołów, której rządy były jednym z najświetniejszych okresów historii Indii. Agra była po krótkich rządach Babura siedzibą trzech kolejnych wielkich cesarzy tej dynastii Akbara (1556-1605), Dżahangira (1605-1627) i Szahdżahana (1628-1658).

Fort w Agrze, zwany Czerwonym Fortem (Red Fort) został zbudowany w latach 1564-1573, za rządów cesarza Akbara (Wielkiego). Projektantem był Kasim Chan a wykonawcami miejscowi rzemieślnicy. Nazwa wywodzi się od czerwonej gnejsowej skały użytej jako budulca (większość przewodników błędnie nazywa tę skałę piaskowcem). Fort był nie tylko potężną twierdzą otoczoną dwoma rzędami murów, ale i cesarskim pałacem. To właśnie tu, w pawilonie audiencyjnym mieścił się „pawł tron” Indii. Podobnie jak w Czerwonym Fortcie w Delhi, druga brama obrócona jest prostopadle do pierwszej, by uniemożliwić szarżę słoni bojowych. Cała fortyfikacja otoczona jest potężną fosą, a z jednej strony broni jej rzeka Jamuna.



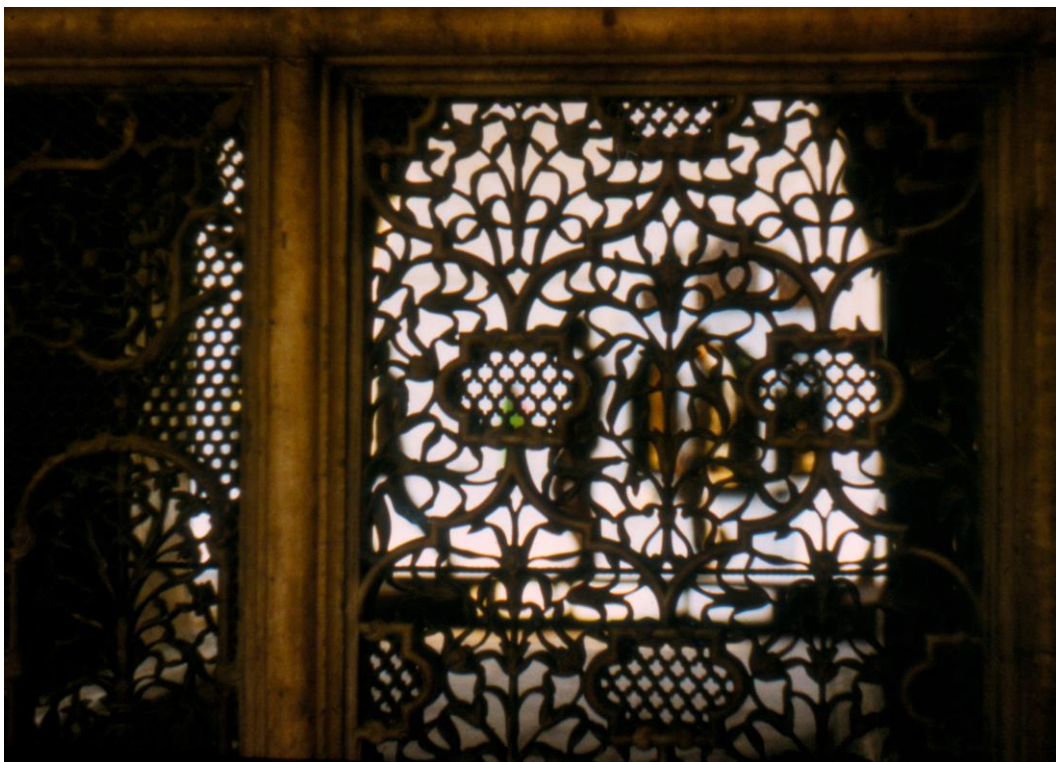
To właśnie tu, w tej wnęce stał „pawł tron” Indii. Fot. Krzysztof Łoziński.

Zwiedzając Czerwony Fort warto zwrócić uwagę na niezwykle kunszt indyjskich rzemieślników obrabiających marmur. Otwory okienne wypełnione są marmurową koronką, nieraz o bardzo wyszukanych kształtach i rozpiętości ponad 3 metrów, a przy tym grubych zaledwie na kilka centymetrów. Wykonano je z jednej płyty marmuru. Te marmurowe koronki spełniały nie tylko rolę ozdobną, ale i rolę firanek. Z jednej strony chroniły wnętrze przed upałem i wzrokiem ciekawskich, a z drugiej umożliwiały widok na zewnątrz, jak półprzezroczyste szyby. W Indiach nie szklono okien, bo w bardzo gorącym klimacie było to zbędne. Marmurowe koronki były lepsze, bo umożliwiały przewiew powietrza, bez którego w okresie letnim trudno jest w Indyjskich domach wytrzymać ponad 40 stopniowy upał.



Bariera tarasu w Czerwonym Forcie. Marmurowa koronka. Fot. Krzysztof Łoziński.

Podobnie jak w Tadź Mahal, ściany cesarskich pawilonów zdobione są pięknymi inkrustacjami ze szlachetnych kamieni w białym marmurze. Niestety część tych inkrustacji jest już zdewastowana przez turystów, co widzę nawet porównując swoje zdjęcia sprzed 16 lat z obecnymi.



Fragment marmurowej „firanki” w pałacu cesarskim w Agrze. Całość tej firanki ma wymiary 2,5 x 3,5 metra z jednej płyty marmuru. Fot. Krzysztof Łoziński.

Następnego dnia zwiedzamy Tadź Mahal (Taj Mahal). Mauzoleum Tadź Mahal w Agrze uważane jest za jeden z największych cudów światowej architektury. Doskonale symetryczna bryła grobowca cesarzowej Muntaz Mahal wzniesiona z niemal idealnie białego marmuru, odbijająca się w gładkiej toni sztucznych zbiorników wodnych, otoczona pięknym ogrodem pełnym cyprysów, rododendronów i figowców, kwitnących przez cały rok kwiatów, istotnie robi niesamowite wrażenie. Ściany grobowca pokryte są subtelną płaskorzeźbą, niemal reliefem z roślinnych wzorów. Wykończenie stanowią wklejone w marmur szlachetne kamienie sprowadzone specjalnie z wielu odległych krajów, z Egiptu, okolic Samarkandy, z Syberii, Tybetu a nawet z centralnej Afryki. Piękne motywy roślinne i wersety z Koranu utworzone są z istnej mozaiki rubinów, szmaragdów, nefrytów, jaspisu oraz czarnych agatów. Idealnie symetryczne jest całe założenie kompleksu budynków i ogrodu. Sam grobowiec wznosi się nad zakolem rzeki Jamuny na platformie, której narożniki zdobią cztery minarety nieco odchylone od pionu w kierunku na zewnątrz, co spełnia dwie funkcje. Stanowi pewne zabezpieczenie budowli na wypadek wstrząsu sejsmicznego (minarety zawaliłyby się na zewnątrz nie niszcząc grobowca) oraz tworzy ciekawe złudzenie perspektywiczne, przez które budowla wydaje się wyższa i bardziej strzelista (linia minaretów rozchodzą się, podczas gdy skrót perspektywiczny pozornie je do siebie zbliża wraz z wysokością).



Tadź Mahal o zachodzie słońca (stąd odcień fioletu). Fot. Krzysztof Łoziński.

Po bokach grobowca wzniesiono dwa zewnętrznie identyczne budynki z czerwonego gnejsu (skały metamorficznej, która dominuje w płycie kontynentalnej Indii). Prawy budynek to dom gościnny dla pielgrzymów a lewy to meczet.

Trzeba jeszcze wspomnieć o kolejnym cudzie indyjskiego rzemiosła - marmurowych koronkach. Otwory okienne wypełnione są delikatną siatką z marmuru wyrzeźbioną z jednej płyty o wymiarach od kilku do kilkunastu metrów a grubości od 5 do 10 centymetrów.

Marmur na budowę sprowadzano z dalekiego na 300 kilometrów kamieniołomu w Makaranie (Rajastan).

Tadź Mahal wzniesiono z rozkazu cesarza Szahdżahana z dynastii Wielkich Mogołów w latach 1631-1648 dla jego ukochanej żony Muntaz Mahal. Szahdżahan planował wzniesienie dla siebie repliki grobowca, dla odmiany z czarnego kamienia po drugiej stronie Jamuny, ale ostatecznie został pochowany w Tadź Mahal obok żony.

Grobowiec wznosiło 20 tysięcy robotników sprowadzonych z całej Azji a nawet z Europy. Projektantem i budowniczym był Pers z Szirazu, Ustad (mistrz) Isa Chan Effendi. Jego uczeń, Ustad Ahmed projektował i nadzorował wykonanie dekoracji zaś kopułę wznosił Ismail Chan.

Z Tadź Mahal wiąże się romantyczna legenda miłości Szahdżahana do Muntaz Mahal, która była jego nieodłączną towarzyszką życia przez 19 lat i brała razem z nim udział nawet w wyprawach wojennych. W czerwcu 1631 roku zmarła podczas porodu 14 dziecka w wieku 36 lat. Z jej 14 dzieci przeżyło do wieku dorosłego siedmioro a jednym z nich był następca tronu Aurangzeb.



Widok z Red Fortu na Tadź Mahal. Po prawej stronie pawilon, w którym syn więził Szahdżahana i z którego patrzył on na grobowiec swojej żony. Fot. Krzysztof Łoziński.

Po śmierci żony i wybudowaniu grobowca Szahdżahan przeniósł stolicę do Delhi (od jego imienia nazwę bierze tak zwane Stare Delhi - Szahdżahanbad), gdzie zamieszkał w okazałym pałacu-fortecy zwanym dziś Czerwonym Fortem (Red Fort). Później obalił go syn Aurangzeb i uwięził w pałacu z Agrze, skąd, jak głosi legenda, Szahdżahan patrzył wzdłuż zakola Jamuny na Tadź Mahal i tęsknił do ukochanej żony.

Prawda historyczna jest nieco mniej romantyczna. Szahdżahan nie żałował sobie innych kobiet (także za życia żony). W obu pałacach miał komnaty z lustrami na suficie, które pełniły podobną rolę, jak dziś filmy pornograficzne. Nieprawdziwa jest też inna część legendy, jakoby cesarz kazał zgładzić budowniczego, by ten nigdy już nie wzniósł czegoś równie doskonałego. Prawdą jest natomiast, że angielscy okupanci planowali rozbiórkę Tadź Mahal w celu pozyskania marmuru jako budulca, oraz ze wydłubywali z jego ścian kamienie szlachetne (obecnie robią to turyści). Na szczęście plan rozbiórki zarzucono, ponoć z powodu niedostatku mocy przerobowych.

Wprawdzie samej czynności wydłubywania kamieni nie widziałem, ale zauważyłem ich brak w paru miejscach, gdzie kilkanaście lat temu były. To bardzo przykre. Tadź Mahal jest dziś bardzo mocno pilnowany, ale w Red Forcie w Agrze już niektóre miejsca trzeba było ogrodzić siatką by je chronić przed dewastacją. Red Fort w Delhi jest niestety zdewastowany już bardzo mocno i można chodzić tylko po parku a wszystkie pawilony i meczet są zamknięte dla zwiedzających.



Agra. Rzemieślnicy wykonują inkrustacje kamieniami szlachetnymi w marmurze. Fot.

Oczywiście cały czas wozi nas ten sam „friend” i bacznie pilnuje, byśmy nie wzięli innej rikszy. W drodze powrotnej do hotelu oczywiście musimy odwiedzić dwa sklepy szefa naszego „frienda”.

Pan Co Może Wszystko

Wieczorem okazuje się, że jest błąd w dacie rezerwacji na pociąg z Jansi do Varanasi. Idę do recepcji i pytam co z tym zrobić. Oczywiście w Indiach wszystko da się załatwić, ale tym razem jest mało czasu, bo już rano mamy wyjechać z Agry. Recepcjonista gdzieś dzwoni, a później prowadzi nas do firmy znajdującej się po drugiej stronie ulicy. I tu poznajemy Pana Co Może Wszystko. Mężczyzna w wieku około 40 lat sadza nas przy stole, częstuje koniakiem i pyta, w czym problem. Oczywiście wszystko da się załatwić. Mało tego natychmiast będzie załatwione. Pan Co Może Wszystko wzywa innego faceta, chyba pracownika i mówi w hindi coś, czego nie zrozumiałem. Tamten prawie stoi przed nim na baczność. Nasza sprawa już się załatwia. Tymczasem Pan Co Może Wszystko prowadzi z nami uprzejmą konwersację, częstuje *tea masala* (herbatą z przyprawami, w hindi: *masala czaj*), tłumaczy jak się robi *tea masala* i wypytuje o Polskę. Od słowa do słowa dowiadujemy się, że Pan Co Może Wszystko zna Sopot i Łódź, bo „tam ma biznesy”. A gdzie jeszcze ma biznesy. A no ma w Mediolanie, Frankfurt, Palermo, Lizbonie, Lyonie, Sao Paulo i Santa Cruz. No może gdzieś jeszcze.

Dopiero teraz zauważam na jego palcu pierścion z diamentem wielkości małej czereśni i wiem, że ten diament na pewno nie jest sztuczny. I ten mercedes 600 SL, bryka za 200 tysięcy dolarów, który minęliśmy przed wejściem, też raczej nie zaparkował tu przypadkowo. Pan Co Może Wszystko jest po prostu nieprzyzwoicie bogaty. Stopniowo okazuje się, że mieszkamy w jego hotelu, jeździmy jego riksą, byliśmy w restauracji i sklepach, które do niego należą. Nawet z Delhi od Agry przyjechaliśmy jego autobusem. I mogę się założyć w ciemno, że Pan Co Może Wszystko nie jest właścicielem tylko jednego hotelu, jednego autobusu i jednej rikszy. Jednocześnie to zupełnie inna liga niż nasi nowobogacy biznesmeni, którym co raz wychodzi z butów przysłowiowa słoma. Ten człowiek jest kulturalny, uprzejmy i chce nam pomóc, bo mamy kłopot. Niczego od nas za tę pomoc nie oczekuje poza chwilą kulturalnej rozmowy. A zresztą, w czym my możemy pomóc facetowi z diamentem w cenie samochodu i samochodem w cenie diamentu?



Agra. Marmurowe blaty stolów i stolików, inkrustowane kamieniami szlachetnymi, gotowe do sprzedania. Ceny astronomiczne. Fot. Krzysztof Łoziński.

Bogate Indie

Pan Co Może Wszystko nie jest pierwszym bogatym człowiekiem jakiego poznałem w Indiach. Gdy byłem w tym kraju pierwszy raz, 26 lat temu, poznałem Nitana Khulara, 21-letniego młodzieńca, syna głowy rodu Birla. Ród Birla dysponuje kapitałem porównywalnym z budżetem średniego państwa, posiada ogromny koncern hut, stalowni, walcowni, kopalń rudy i węgla. Gdy boczny odprysk kapitału rodu Birla kupował niedawno polską Hutę Katowice, chłopak roztropek Andrzej Lepper grzmiał: „Co Hindus może wiedzieć o hutnictwie?”. Tymczasem ten „Hindus” to jeden z największych koncernów hutniczych świata. Wówczas, 26 lat temu, „stał się łała i moc truchlała” pod władzą koncernu Birla od Iranu po Japonię, bo dopiero tam odpór mu dawał koncern Mitrsubishi. Do rodu Birla należy też Hindustan Motors produkujący samochody i wiele innych firm.

Ale wróćmy do postaci Nitana. Bardzo sympatyczny, niezwykle dobrze wychowany młody człowiek, pracował od rana do wieczora, bo uczył się biznesu na jednej hucie, którą dostał od taty. Miał pewne problemy osobiste, bo zakochał się w studentce germanistyki a rodzina chciała go wyswatać biznesowo. Poza tym trenował kung fu, tak jak ja i dzięki kontaktom tego środowiska się poznaliśmy.

Dzięki Nitanowi miałem okazję być w domu rodzinnym Birli i tu mnie zatkało, ale całkiem nie w tę stronę, w którą by się można było spodziewać. Birla wprawdzie ufundował okazałą świątynię hinduistyczną w Delhi, która figuruje dziś w każdym przewodniku po Indiach jako Birla Temple, ale mieszkał skromnie. Dom był wprawdzie duży i na pewno wygodny, ale nie było w nim nic z nowobogackiego nabzdyczenia naszych komunistycznych bonzów. Kobiety w tym domu ubrane były w normalne indyjskie sari i nie miały wyfiokowanych fryzur jak Stacha Gierkowa. To były czasy, gdy partia kongresowa (Indyjski Kongres Narodowy) lansowała izolacjonizm gospodarczy. Do Indii nie wpuszczano niemal wcale zagranicznych produktów. Na jednej z wypraw celnicy zrobili nam nawet odprawę warunkową na słoiki od dżemu. Lansowano hasło „Be Indian - by Indian”, a bogaty do nieprzytomności Birla był patriotą i demokratą, więc używał indyjskich samochodów Consul i Ambassador, odpowiedników naszej polskiej Warszawy M 20, podczas gdy pracownicy polskiej czerwonej ambasady wozili tyłki w toyotach.

A przy tym Nitan był tak bogaty, że wcale nie nosił przy sobie pieniędzy. Nie musiał. Wszędzie, na stacji benzynowej, w sklepie, w restauracji, dawał wizytówkę, aby wiedzieli, gdzie się zgłosić po kasę, zaś cała obsługa aż gięła się w ukłonach, bo spotkał ją taki zaszczyt goszczenia syna Birli. A przy tym nigdy nie wiedziałem, by Nitan komukolwiek okazał wyższość, zachował się wobec kogokolwiek szorstko czy nieuprzejmie. Odwiedzał nas w hotelu Vivek w pokoju „drugiej klasy czystości” i nic mu to nie przeszkadzało. Nie mrugnął nawet ani się nie skrzywił, gdy nasz kolego Szłapa poczęstował go przywiezioną z Polski herbatą „Gruzińską” w aluminiowym kubku typu „parzygęba”. A przecież Indie to kraj herbaty! Kraj najlepszej herbaty świata, a polska herbata „Gruzińska” to były jakieś zmiotki z podłogi. Najdelikatniej mówiąc był to produkt niejadalny w kolorze brązowym o smaku zmielonego drewna.

I tu mała dygresja o herbacie

Wożenie do Indii herbaty, ryżu i ubrań, to typowe wożenie drewna do lasu. Herbata jest w Indiach wspianała, aromatyczna w ogromnej ilości odmian i gatunków. Zastanawiało mnie kiedyś, skąd się w Polsce biorą te czarne wióry bez żadnego, smaku sprzedawane u nas

jako herbata. Wreszcie się dowiedziałem. W 1986 roku poznałem w Kalkucie hurtownika herbaty, który na widok Polaka cały się rozpromienił.

- Polish customers, very good customers!

Zaciekało mnie, czemu Polacy są według niego takimi dobrymi klientami. Ano dlatego, że polskie hurtownie wykupują u niego stare, tak zwietrzałe zapasy, że mógłby je już tylko wysypać do Gangesu. A Polacy to kupują! Good customers!

Herbata w języku hindi nazywa się *czaj*, tak samo jak po rosyjsku i podobnie jak po chińsku i persku (w używanym w Afganistanie języku *farsi* herbata nazywa się *czoj*). Niemal w całej Azji herbata nazywa się *czaj* lub bardzo podobnie. Tylko nasze polskie przedziwne słowo *herbata* wywodzi się od łacińskiego *herba tea*.

W Indiach, Nepalu, Tybecie i Mongolii w zasadzie nie pije się czarnej herbaty. Podstawową odmianą jest *masala czaj*, czyli herbata z przyprawami. Słowo *masala* znaczy dosłownie mieszanka, ale i oznacza jedną z dwóch grup przypraw - *masala* i *curry*, przy czym przyprawy *curry* uzyskuje się z przypraw *masala* przez dodanie ostrej jak piekło papryki *chili*.



Wisznu i Lakshmi. Fot Krzysztof Łoziński.

Istnieje gotowa mieszanka *tea masala*, ale najczęściej *masala czaj* robi się w następujący sposób: Gotuje się mleko z wodą w proporcji 3 : 1 (3 części mleka, jedna wody). Do tego dodaje się czarną herbatę Assam, cukier, rozbity w młynie imbir, kardamon i wedle upodobania cynamon albo goździki. Całość ponownie się zagotowuje. Oczywiście te wszystkie składniki, łącznie z herbatą, trzeba rozbić w młynie na proszek. W *masala czaj* nie pływają żadne fusy. Nie ma to nic wspólnego z naszą bawarką. Jest to pyszna aromatyczna herbata.

Na północy, w Kaszmire, Nepalu, Tybecie, Mongolii, spotykamy herbatę tybetańską. Jest to zupełnie inny napój. Gotuje się czyste mleko, najczęściej nie krowy, tylko jaka (yak milk) i parzy się nim czarną herbatę, do której dodaje się sól, przyprawy i przeprosowane masło zwane *ghee*. Czasami *ghee* zastępuje oliwa. Podaje się to w małych czarkach lub dzbanuszkach wielkości kieliszka. Szerpowie z Nepalu i Tybetańczycy piją też herbatę z preparowanym ryżem, zwanym *campa*, masłem, mlekiem i solą. Nam te egzotyczne odmiany herbaty wydają się niedobre, dokąd nie spróbujemy. Zapewniam jednak czytelnika, że po całym dniu marszu z karawaną przez góry lub pustynię, w kurzu i upale, albo przeciwnie, na mrozie, tybetańska herbata daje człowiekowi energetycznego kopa i po prostu stawia na nogi.

Nasza podróż przez Indie i Nepal przypadkowo ułożyła się tak, że kolejno stykaliśmy się z zabytkami czterech głównych religii zarówno Indii, jak i Nepalu. Najpierw, w Delhi i Agrze zwiedzaliśmy głównie zabytki islamskie - Czerwone Forty w Delhi i Agrze, Qutb Minar w Delhi i Tadź Mahal w Agrze. Później, w Khajuraho i Varanasi dominowały zabytki hinduistyczne. W Nepalu dominował buddyzm wymieszany z hinduizmem a na samym końcu zwiedzaliśmy Złote Świątynie sikhijskie w Amritsarze i Delhi.

Islam indyjski

Teoretycznie nie ma takiego odłamu islamu jak islam indyjski. Jednak islam w Indiach jest i zawsze był specyficzny, inny niż ten, który znamy z krajów arabskich lub perskich (Iran, Afganistan).

Zadziwiające, jak mało Europejczycy, czy też ogólnie ludzie Zachodu, wiedzą o islamie. Jest on postrzegany głównie jako religia zacofana, mroczna i terrorystyczna. Na dobrą sprawę podobne epitety można by przypisać każdej religii i w dodatku uzasadnić to historycznie. Paradoksalnie to jest właśnie myślenie ahistoryczne i głęboko błędne. Utożsamianie całego islamu z garstkami fanatyków i terrorystów świadczy po prostu o bardzo małej wiedzy, choć nie można zaprzeczyć, że groźny, zbrodniczy i głupi fundamentalizm istnieje. Błąd zaczyna się w tym miejscu, w którym margines zaczynamy uogólniać na całość. To tak, jakby budować obraz chrześcijaństwa na podstawie „dzieł” Radia Maryja.

Zacznijmy od podstaw, bo przeciętny nasz rodak nie zna nawet podstawowych pojęć i osób do tego stopnia, że Allah myli mu się z Mahometem (Bóg z prorokiem). Ileż to razy słyszymy zwrot „wyznawcy Mahometa”, podczas gdy są to wyznawcy Allaha. Co więcej, Allah nie jest jakimś innym Bogiem Arabów. Jest dokładnie tym samym Bogiem, którego wyznają chrześcijanie i Żydzi. Tak więc islamici nie są „wyznawcami Allaha” tylko wyznawcami Boga, którego w swoim języku określają słowem Allah. Z tego, że Anglicy mówią na Boga God te nie wynika, „że są wyznawcami Goda”

Mahomet urodził się w 570 roku naszej ery w Mekce. Był biednym chłopcem, osieroconym przez matkę w wieku 4 lat i zmuszonym już w dzieciństwie do ciężkiej pracy

fizycznej. Według przekazów historycznych, był typem introwertyka, człowieka zamkniętego w sobie, samotnika. Dziś powiedziałoby się, że wobec złego zewnętrznego świata wybierał emigrację wewnętrzną i medytację na pustyni. Zapewne właśnie dlatego religia znaczyła w jego życiu tak wiele. Gdy miał 25 lat ożenił się z bogatą wdową i zarazem swą pracodawczynią Chadżdżą. Przełom w jego życiu nastąpił, gdy miał 40 lat. Ogłosił wówczas, że doznał kilku objawień. W pierwszym objawił mu się Archanioł Gabriel i polecił ogłosić, że jedynym prawdziwym bogiem jest Allah. Dlaczego Mahomet miał to ogłaszać? Dlatego, że wśród koczowniczych arabskich plemion dominowały pierwotne religie z wieloma plemiennymi bogami a jednocześnie silne były wpływy chrześcijaństwa i judaizmu. Tworzyło to taką mieszkankę pojęć, w której oprócz Boga stwórcy funkcjonowali lokali bogowie wyobrażani przez kamienne posągi. Nowa religia stworzona przez Mahometa zwyciężyła między innymi dlatego, że porządkowała świat pojęciowy a jednocześnie była dla Arabów religią własną, choć czerpała sporo z chrześcijaństwa i judaizmu.

Początek islamu (słowo *islam* znaczy *oddanie się Bogu*) datuje się od podróży Mahometa z Mekki do Medyny w 622 roku. Od tej daty liczy się kalendarz islamski, w którym obecnie jest rok 1402 (w naszym 2023 roku). Islam bardzo dużo czerpał z wcześniejszych religii monoteistycznych, judaizmu i chrześcijaństwa, ale też wiele elementów odrzucał. Znajdziemy więc w islamie Archanioła Gabriela, proroka Abrahama a nawet Chrystusa, pojęcie raju i piekła, pojęcie anioła i szatana, ale i znajdziemy pojęcie Mahdiego - proroka, który ma nadejść, a więc dla islamisty nie jest tym obiecany prorokiem Chrystus, jak dla chrześcijanina.

Co jest w tej nowej religii najważniejsze? To, że wyznawca islamu żyje tylko dla Boga i poprzez Boga. Życie bez Boga nie ma dla niego żadnego sensu. Innowierca, to człowiek, który błądzi a ateista (niewierny) nie ma prawa żyć wcale, bo jego istnienie pozbawione jest sensu. Zwracam uwagę, że „niewierny” to nie jest chrześcijanin albo Żyd (bo ten błąd często spotykamy w europejskich mediach), to jest człowiek, który wcale nie wierzy w Boga. Zwróćmy uwagę na istotne różnice pojęciowe. Bóg w chrześcijaństwie w dużym stopniu służy człowiekowi. Ustanowił mu normy, ale też go chroni, prowadzi przez życie, wspomaga. Chrześcijanin ma normy boskie, ale i normy ludzkie, ma też swoje całkiem ludzkie cele życia. Islamista ma jednoznacznie służyć Bogu i całkowicie mu się podporządkować. Żyje tylko dla Boga, a nie dla siebie. To dlatego tak trudno jest porozumieć się nam ze światem islamu. Domagamy się na przykład tolerancji dla innych, a dla islamisty „niewierny” to kompletna aberracja, twór, który w ogóle nie miał prawa zaistnieć. A jeśli ktoś w ogóle nie ma prawa żyć, to tym bardziej nie może mieć żadnych praw.

Rzeczywistość jest jednak znacznie bardziej skomplikowana. Takie skrajnie doktrynalne praktykowanie islamu nie jest powszechne. W praktyce wielu islamistów, w wielu krajach, żyje obok swych „niewiernych” sąsiadów i wcale nie ostrzy na nich noży. A to dlatego, że ludzie, poza wyznawaną religią lub światopoglądem, mają jeszcze uczucia i mimo wysiłków fanatyków nie wszyscy dają się przerobić na krwiożercze bestie.

Trzeba jeszcze wspomnieć, że islam ma dwa główne odłamy; szyicki i sunnicki. Sunnici tym się różnią od szyitów, że obok Koranu uznają jeszcze *sunnę* (tradycję), jako drugie źródło norm.

Islam zaczął docierać do Indii w VII wieku wraz z kupcami arabskimi. W 712 roku muzułmanie zajęli pierwsze ziemie indyjskie w okolicach Karaczi (dziś Pakistan). W 977 roku Mahmud z Ghazni (Turek) najechał i zajął ziemie Indyjskie aż do Gangesu. W XII

wieku jeden z jego następców, Muhammad Ghouri, władał już państwem islamskim od Pendżabu po Delhi. W 1192 roku generał Qutb ud din Ajbak podbija Delhi (ściślej Lal Kot - najstarszą część Delhi) i ustanawia Sułtanat Delhijski, pierwsze islamskie królestwo w Indiach. Jednak naprawdę potężne państwo islamskie w Indiach tworzy dopiero Babur, który najechał Indie w 1516 roku, zajmując Agrę i ustanawiając ją swą stolicą. Od Babura zaczynają się Indie Wielkich Mogołów, państwo ogromnego rozkwitu kultury i zupełnie nie pasujące do naszych wyobrażeń o islamie.



Cesarz Akbar w palacu w Agrze. Miniatura z okresu Wielkich Mogołów.

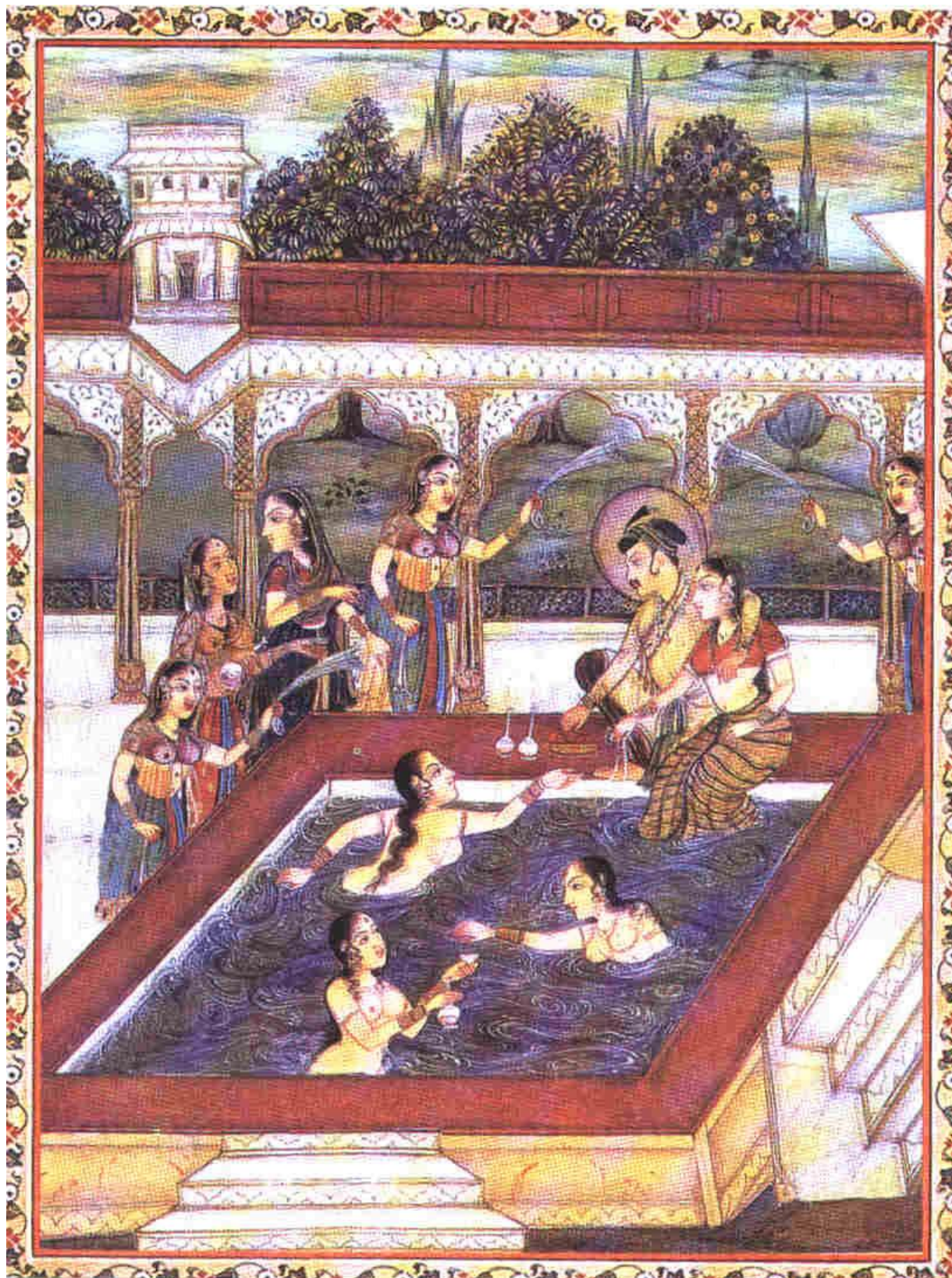
Początkowo rządy islamskich dynastii w Indiach były bardzo nietolerancyjne i brutalne. Islamscy władcy posługiwali się językami farsi i urdu (perskimi) i pisali w alfabecie arabskim, niezrozumiałym dla Hindusów. Byli obcy, nie utożsamiali się ze społeczeństwem ani z krajem, którym rządili. Niszczono wszelkie rzeźby i malowidła przedstawiające ludzi (w tym indyjskich bogów), gdyż wedle ortodoksyjnego islamu, tworzenie wizerunków ludzi zarezerwowane jest dla Boga. Niszczono też stare hinduistyczne i buddyjskie świątynie, często budując na ich gruzach meczety. To dlatego, że budowniczowie używali materiałów ze zburzonych świątyń do budowy meczetów, w ruinach Qutb Minar możemy znaleźć cegły, a nawet głowice kolumn z wizerunkami ludzi i zwierząt, którym tylko rozbito młotkami twarze. Islam Wielkich Mogołów był już jednak inny, znacznie bardziej tolerancyjny i światły, a nawet chwilami dość swobodny obyczajowo. Jeden z pierwszych cesarzy tej dynastii, Akbar, dzięki tolerancyjnej polityce zaprowadził pokojową koegzystencję muzułmanów i hinduistów. Świątynie Shiwy, Wishnu, Hanumana, Krishny i innych postaci hinduistycznego panteonu znów funkcjonowały spokojnie obok meczetów. W Varanasi można do dziś zobaczyć meczet między hinduistycznymi *ghatami* (świątyniami) nad brzegiem Gangesu, w jednym z najświętszych miejsc hinduizmu. Nieopodal, dla odmiany, spotykamy świątynię Shiwy w zamieszkałej przez muzułmanów dzielnicy, a wyznawcy obu religii ułożyli się w ten sposób, że świątynie jednych są nieczynne w święta drugich i nikt nikomu nie wadzi. Dzięki Akbarowi ocalały też przez wieki ogromne posągi Buddy w Bamianie (dziś Afganistan) i zniszczyli je dopiero niedawno talibowie. Okazała świątynia Hanumana stoi też na wprost bramy cesarskiego pałacu w Delhi, a obok niej stoi równie okazały meczet. Nie wiadomo, za kogo uważał się Babur, ale Akbar już na pewno uważał się za władcę indyjskiego a Indie uważał za swą ojczyznę.

Życie dworskie Akbara i niektórych jego następców, a zwłaszcza Szahdżahana, też daleko odbiega od naszych wyobrażeń o islamie i jego normach. Dziś można by powiedzieć, że władcy ci prowadzili życie wręcz rozwiązłe i wcale się z nim nie kryli. Cesarz Akbar miał ogromny harem i nie żałował sobie kobiet, co jego sekretarz uwieczniał w postaci pięknych miniatur. Niektóre z nich pewnie uznano by dziś za pornografię, bo przedstawiają ze wszystkimi detalami „narządy płciowe w czasie stosunku” (definicja z polskiego kodeksu karnego) a nawet z podkreśleniem niezwykle dużych rozmiarów cesarskiego penisa (pierwowzór „propagandy sukcesu”). Na innych miniaturach widzimy go w towarzystwie nagich kobiet pływających w basenie (te mogę pokazać, nie narażając się na zarzut pornografii przez prezentację zabytków islamskiego malarstwa sprzed wieków). Przypomnijmy, że wedle ortodoksów islamu, już samo malowanie ludzi było strasznym grzechem, a co dopiero malowanie ludzi w sytuacjach intymnych.

Jak już jesteśmy przy Akbarze, to muszę zauważyć, że w polskich źródłach spotyka się go jako „Akbara Wielkiego”. Takie określenie to *masło maślane*, bo słowo *akbar* znaczy właśnie *wielki*, czyli Akbar Wielki, to *Wielki Wielki*. On się nazywał po prostu Akbar.

Zupełnie też nie pasuje do naszych wyobrażeń o islamie romantyczna historia Szahdżahana. Oczywiście miał on harem i też sobie nie żałował. W Delhi i w Agrze miał komnaty z lustrami na ścianach i suficie, by w czasie stosunku mógł zerkać, jak wygląda to, co robi z innej perspektywy. Takie komnaty spełniały wówczas rolę filmów pornograficznych i miały dostarczać władcy dodatkowych podniet. Ale Szahdżahan miał też żonę, Muntaz Mahal, która była wielką miłością jego życia, wierną towarzyszką, doradcą, powiernicą. Muntaz Mahal towarzyszyła mu nawet w wyprawach wojennych i polowaniach. Po 17 latach zgodnego związku, Muntaz Mahal zmarła. Według legendy Szahdżahan opłakiwał ją do

końca życia, a jej grobowiec, wzniesiony na rozkaz Szahdżahana Tadź Mahal w Agrze, do dziś uważany jest za jeden z cudów architektury (i słusznie).



Cesarz Akbar w haremie. Miniatura z okresu Wielkich Mogolów.

Oczywiście można powiedzieć: stać było cesarza na taki grobowiec dla żony, ale trudno nie zauważyć, że do wzniesienia takiego dzieła, jak Tadź Mahal, trzeba było mieć nie tylko wielkie pieniądze, ale i wielkie serce, co zresztą nie przeszkadzało Shadżahanowi używać z nałożnicami, i to figurowo, do końca życia (nawet w okresie żałoby).

Agra – Jansi

O szóstej rano mamy pociąg z Agry do Jansi (czytaj: Dżansi), znacznie mniejszego miasta ok. 200 kilometrów na południowy wschód od Agry. Oczywiście w Indiach pojęcie „małego miasta” ma zupełnie inne znaczenie niż w Polsce. Jansi robi w Indiach za małe miasteczko, jak u nas Łowicz lub Skierniewice, co nie przeszkadza, że ma pewnie jakiś milion mieszkańców. Ile ma dokładnie nikt nie wie, bo w Indiach ludzi liczy się z samolotu i na podstawie zdjęć lotniczych szacuje się liczbę ludności. Tu nie ma urzędów meldunkowych, dowodów osobistych a nawet nie każdy ma metrykę urodzenia. Większość biedaków przez całe życie nie ma żadnego dokumentu a nazywa się tak, jak mówi, że się nazywa.

Wiele lat temu, pewien indyjski urzędnik opowiadał mi, jak pojechał do pewnej wsi ustalić, ilu ludzi zginęło tam w czasie trzęsienia ziemi. Dla miejscowych biedaków-analfabetów, wszystkie większe liczby zastępowało słowo *bara* (dużo, a także dwadzieścia). Urzędnik poszedł do wójta i pyta: ilu ludzi zginęło? Wójt na to: - *bara*. No to urzędnik próbuje ustalić liczbę inaczej. Pyta: ilu było przed trzęsieniem a ilu jest teraz? - Było *bara* i jest *bara* - mówi na to wójt. Nie wiem więc, ilu ludzi mieszka w Jansi, ale na pewno *bara*. Tak się ustala dane statystyczne w Azji.

Jedziemy riksą na dworzec, gdzie jeszcze przed odjazdem musimy ustalić numer naszego wagonu, bo na biletach go nie ma, choć mamy miejscówki. To też indyjska specyfika. Na biletach zawsze czegoś brakuje, a to numeru wagonu, a to numeru miejsca, a to peronu lub godziny odjazdu. Hindusi zupełnie się tym nie przejmują. Dowiesz się na dworcu, a zresztą na wagonie jest lista pasażerów - mówią. I nie szkodzi, że tych list nie wywiesza się już od kilkunastu lat. Zresztą te listy to było przekleństwo. Kiedyś na gigantycznym dworcu Hawra Station w Kalkucie ganiałem wzdłuż całego pociągu, a pociągi w Indiach są cholernie długie i szukałem na listach swojego nazwiska, napisanego w przekręconej formie i w alfabecie hindi, który ani trochę nie jest podobny do naszego. Abyś nigdy, czytelniku, nie dał się wpuścić w podobne maliny, od razu podaję rozwiązanie: jest nim „chief of tickets officer”, co można w skrócie przetłumaczyć na polski jako „główny konduktor” Musisz znaleźć na dworcu Ticket Office (dosłownie *biuro biletowe*), co nie jest specjalnie trudne, bo tam są kasy. Ale poza kasami jest jeszcze parę okienek o tajemnym przeznaczeniu i w jednym z nich trzeba spytać, gdzie ma swoje biuro *chief of tickets officer*. Na ogół jest to tuż obok. A *chief of tickets officer* wyjmuje kajet, szuka twojego nazwiska i wszystko wie (w Indiach konduktorzy mają imienne listy pasażerów z numerami miejsc). Ot i po problemie.

Pociąg, którym jedziemy do Jansi, jest typowym slipingiem, bo jedzie dużo dalej - do Bombaju. Dla nas nie ma to znaczenia, bo jedziemy w dzień i łóżka są złożone. Trzeba tu wyjaśnić, że w Indiach są różne kategorie pociągów i różne wagony. My, w czasie tego pobytu podróżowaliśmy drugą klasą slipera, czyli czymś co przypomina nasze kuszetki a dokładnie odpowiada znanemu nam z ZSRR „wobszczemu wagonowi” zwanemu też „plastkartnym”. Jest to wagon sypialny bez przedziałów, a ściślej bez drzwi do przedziałów. Cały wagon to jedno wielkie wnętrze. Dwie górne prycze składa się na dzień i w ten sposób na najniższej można siedzieć. Prycze są twarde i nie ma żadnej pościeli. Oczywiście są miejscówki, ale to nie przeszkadza, że Hindusi siadają gdzie popadnie. Nasze numerowane

miejsca mogą więc być zajęte i są pewne trudności z wytłumaczeniem, by nas na nie wpuszczono. Gdy pod koniec podróży jechaliśmy z Amritsaru do Delhi, na naszych miejscach siedzieli dwóch facetów i na wszystkie monity odpowiadali, że oni „tylko niedaleko”. Wysiedli jakieś 100 km do Delhi. W ich pojęciu jechali „niedaleko”, czyli jakieś 400 kilometrów. W Indiach to jest „niedaleko”.



Pociąg sypialny. II klasa. Fot Agnieszka Glinkowska (Łozińska).

Oczywiście są jeszcze slipingi pierwszej klasy (Air Coniditoner), tylko mają jedną wadę - są dwa razy droższe. Ale jest i trzecia klasa, bez żadnych miejscówek. Gdy byłem młodszy podróżowałem i tą klasą (jeździłem nawet pociągiem na dachu), ale teraz już nie to zdrowie.

Podróż indyjskim pociągiem to spora egzotyka. Jest dość brudno, ale do tego można przywyknąć. Zresztą, bez przesady, nasze pociągi też do sterylnych nie należą. W dzień cały czas roznoszą jedzenie, które jest bardzo tanie, ale i bardzo egzotyczne. Niestety dla nas nie spełnia norm sanitarnych i większości tych dań jeść nie możemy, no chyba, że ktoś lubi amebę. Za to cały czas roznoszona jest kawa i herbata, oczywiście nie czarna herbata, tylko mleczna *massala czaj*. Roznoszone są też specyficzne indyjskie *fast foody* (ryż z czymś) w postaci zawiniątek z bananowego liścia. Europejczyk nigdy nie wie, co naprawdę kupuje, ale ja to jadłem wielokrotnie i żyję. Nawet mi smakowało.

Przez pociąg cały czas przesuwa się defilada żebraków, którzy potrafią być bardzo natrętni, ale wszyscy żebracy w Indiach reagują na wypowiedziane zdecydowanym tonem słowo *chielo* (odejść). To jedyna skuteczna metoda, by się ich pozbyć. Udawanie, że się żebraka nie zauważa, nic nie daje. Pociąg cały czas, zwłaszcza w nocy, patrolowany jest przez 2-3 osobowe grupy strażników z pistoletami maszynowymi typu *sten* lub z karabinami. Wygląda to dość groźnie, ale dzięki temu podróżowanie jest bezpieczne. Są wprawdzie

kradzieże, ale nie ma napadów. Gdyby nasz SOK tak patrolował pociągi, to też by napady się skończyły, a w polskich pociągach one niestety są.

Droga do Khajuraho



Droga do Khajuraho. Fot. Krzysztof Łoziński.

Pociąg do Jansi jedzie jakieś 4 godziny, choć to tylko 200 kilometrów. Podróż jest nawet dość przyjemna. W Indiach stanowczo lepiej jest podróżować pociągiem niż autobusem. Na dworcu w Jansi od razu opada nas tłumek przewoźników oferujących samochód do Khajuraho. Autobus typu *government bus* specjalnie mnie nie rajcuje, ale Agnieszka, która jeszcze nie wie, co to jest *government bus*, początkowo protestuje przeciw wynajęciu samochodu, „bo drogo”. Wbrew pozorom to wcale nie jest drogo. Targować się zaczynamy od 2500 rupii a staję w końcu na 1500 rupii. To wcale nie majątek. Na polskie pieniądze jest to 115 złotych za wynajęcie samochodu z kierowcą na odległość 250 kilometrów. Samochód pokonuje tę drogę w 3,5 godziny.

Nasz samochód to Indyga produkcji koncernu Tata. Bardzo przypomina mi fiata Punto i prawdopodobnie jest to Punto robiony w Indiach na licencji. Droga jest koszmarnie zatłoczona, pełna krów, bawołów, kóz, rowerów, riks, wielkich ciężarówek i pojazdów typu puk-tuk. Puk-tuk to taka duża riksha motorowa, w zasadzie przeznaczona dla 6 osób plus kierowca, ale, jak to w Indiach, ładowność bywa przekroczona. W jednym z puk-tuków naliczyliśmy 21 osób, z których część wisiała na zewnątrz, jak kiedyś w warszawskich tramwajach. Droga do Khajuraho ma chwilami jeden pas ruchu (w obie strony ten sam) i

jazda wygląda tak, że cały czas trwa licytacja - kto ma przed kim uciec na pobocze. Do takiej jazdy trzeba mieć mocne nerwy, bo czasem do ostatniej chwili nie wiadomo, kto ma ustąpić i czołowe zderzenie wydaje się niemal pewne. Znowu się sprawdza podstawowa zasada jazdy azjatyckiej - szybki refleks i miękkie ruchy.



Nadprogramowi pasażerowie jadą na zewnątrz. Zamiast światła stopu – napis. Fot. Krzysztof Łoziński.

Trochę nas śmieszą tablice informujące o rozbudowie drogi - National Highway Project (narodowy program budowy autostrad). Tymczasem ta *Highway*, którą jedziemy, przypomina raczej dukt polny po nalocie dywanowym. Asfalt ma szerokość najwyżej 3 metry, jeśli w ogóle jest. Do tego dziura na dziurze. W kilku miejscach widzimy jednak budowę drogi. Asfalt wytapia się w kotle a kobiety patykami rozprowadzają go poszerzając pobocze. Żartujemy, że w Indiach nie ma ministra Marka Pola, bo nawet takiej budowy by nie było.

W pewnym momencie przedzieramy się przez jakieś spore miasto. Na naszej mapie żadnego miasta nie ma. Chhatarpur - wyjaśnia kierowca. No cóż, na ogólnej mapie Indii nie zaznacza się miast wielkości Lublina. Nawet miasta wielkości Krakowa zaznacza się nie zawsze.

Pod wieczór docieramy do Khajuraho, które jest, nietypowo jak na Indie, maleńkim i bardzo sympatycznym miasteczkiem. Khajuraho ma wielkość podwarszawskich Łomianek, bo w tym mieście nic nie ma poza dwoma zespołami świątyń do zwiedzania. Całe miasteczko to tylko hoteliki, restauracje i sklepy dla turystów. Jest nawet maleńkie lotnisko, ale nie latają tu żadne porządne linie, tylko linie typu „ja i szwagier”. Trzeba dużej odwagi, by latać takimi liniami.



Bardzo sympatyczny Hotel Surya w Khajuraho za 400 rupii (28 złotych) doba. Fot. Krzysztof Łoziński.

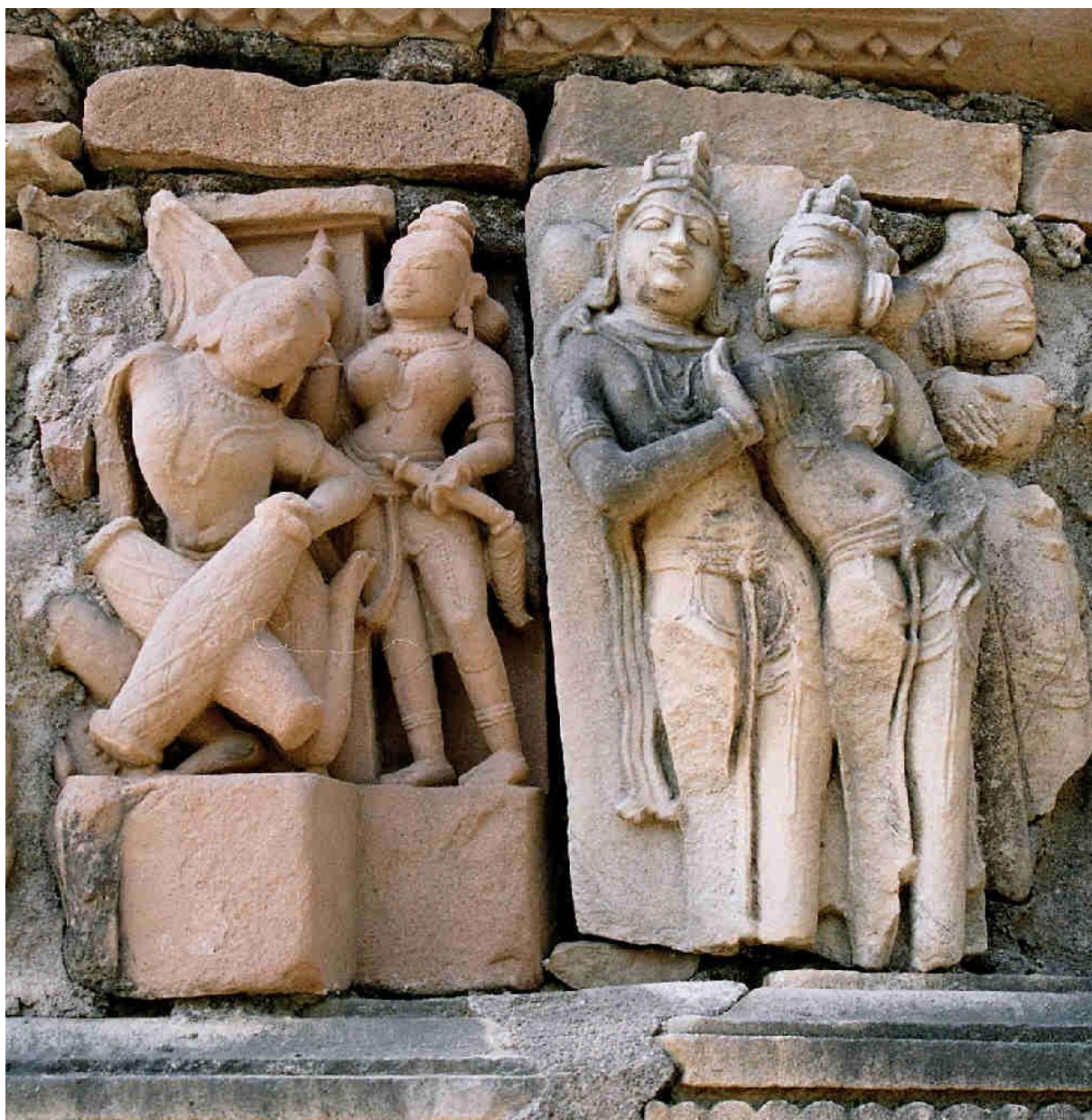
Ku mojemu zaskoczeniu w Khajuraho jest bardzo mało turystów. Po prostu - nie jest łatwo tu dotrzeć. A jednak, nawet tu, jest mnóstwo kawiarenek internetowych.

Docieramy późnym wieczorem do Khajuraho. Spędzimy tu tylko jeden dzień, co pewnie jest błędem, bo przydałby nam się drobny odpoczynek w podróży odbywanej w dość szaleńczym tempie. Jesteśmy w Indiach dopiero tydzień, a już zaliczamy czwarte miasto. To może dać w kość.

Turystyczne miasto bez turystów

Khajuraho robi na nas wyjątkowo dobre wrażenie. Małeńkie ciche miasteczko, złożone zaledwie z trzech ulic, jest oazą odpoczynku po indyjskich miastach molochach, przez które w tumanach spalin przewalają się miliony ludzi w milionach samochodów, riksach, rowerów, motocykli. Cisza i spokój po nieustannym zgiełku, istnych orkiestrach klaksonów od 6 rano i nieustannym ryku silników. Miasteczko jest urocze, hotel wręcz wspaniały przy niskiej cenie. Za oknem hotelowy ogród z masą kwiatów i kwitnących (w grudniu) drzew. Idziemy do restauracji, w której jesteśmy jedynymi gośćmi i zjadamy zaskakująco pyszny obiad. Oczywiście kuchnia indyjska, więc „chili, curry, sól a w jelitach ból”, jak mawiał przed laty jeden z moich wyprawowych kolegów.

Kuchnia indyjska jest szalenie ostra i Polacy najczęściej mają z tym problemy, bo nie przywykli. Dla Agnieszki też by to początkowo problem, ale dość szybko załapała, że jest to najlepsza kuchnia świata (no, może tajska jest lepsza), a ostre przyprawy mają swój urok. Po pewnym czasie zaczęła nawet z tymi przyprawami przesadzać, co już później, w Nepalu, skończyło się takim incydentem, że spróbowała łyżeczką czegoś, co wyglądało na sos a okazało się zieloną papryczką chili w marynacie.



Rzeźby na elewacji jednej ze świątyń w Khajuraho. Fot. Krzysztof Łoziński.

Muszę tu wyjaśnić co to jest zielone chili. Powiedzenie, że to papryka i że ostra to za mało. Wyobraźcie sobie państwo najostrzejszą paprykę znaną w Europie, na przykład bułgarską czuszkę. Otóż różnica w ostrości między czuszką a zielonym chili jest taka, jak w sile wybuchu między kapiszonem a bombą atomową. Po tym eksperymencie ze smakowaniem zielonego chili w marynacie myślałem przez chwilę, że będę ją musiał ratować. Na razie jednak jemy dobry obiad w pięknym miejscu.

W Khajuraho niemal nie ma turystów, a ci, co są, to głównie Hindusi. Turystów z Zachodu jest najwyżej kilkunastu, co bardzo mnie dziwi, bo jest to jedno ze sławniejszych miejsc do zwiedzania w tym kraju. Nie wiem też, z czego żyją miejscowi, bo w miasteczku przypada kilkanaście sklepów na jednego kupującego. Chodząc po Khajuraho jesteśmy bez przerwy nagabywani przez sklepikarzy, którzy dwoją się i troją, by wciągnąć nas do swych sklepów.



Khajuraho. Jedna z grupy 9 świątyń (jest jeszcze druga grupa 16 świątyń). Fot. Krzysztof Łoziński.



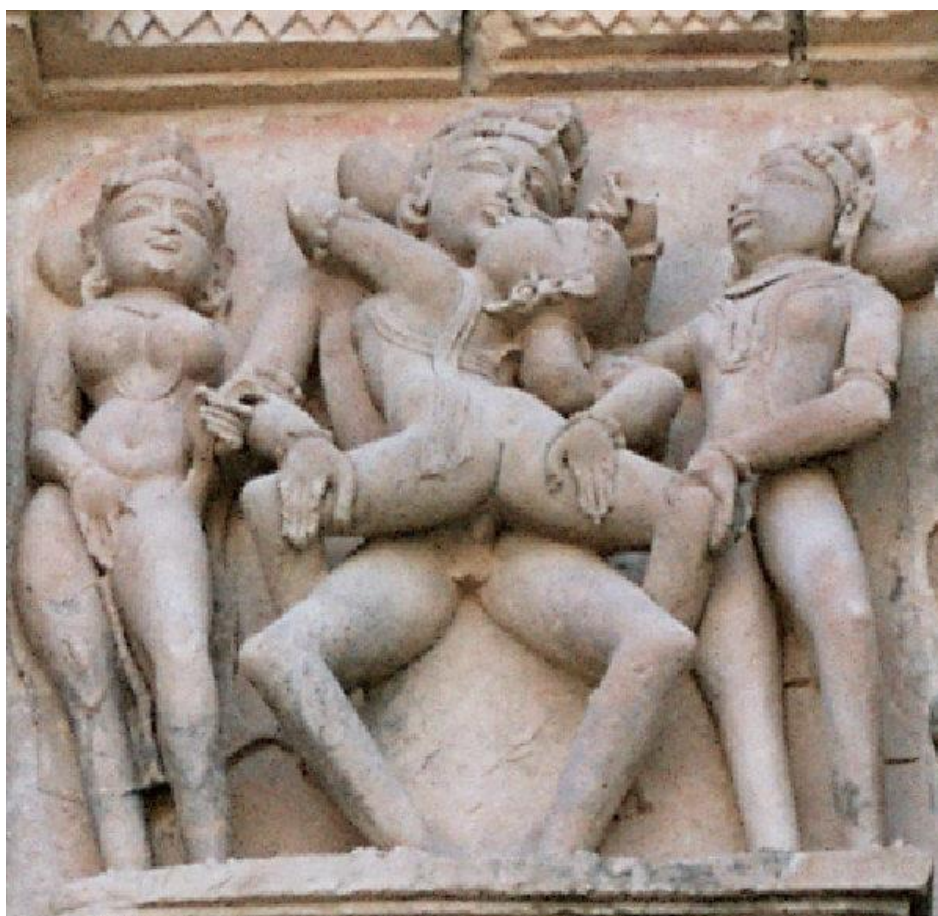
Erotyczne rzeźby na ścianach świątyń w Khajuraho. Fot. Krzysztof Łoziński.

- Mister, tylko dwie minuty, nic nie musisz kupować, tylko dwie minuty...

I tak cały czas. Oczywiście oni wiedzą, że jeśli turysta już do sklepu wejdzie, to niemal na pewno na coś go namówią. Po tym jak mało jest *westmanów* w Khajuraho widać, jak bardzo ludzie Zachodu stali się wygodni. Po co się tłuc autobusami i pociągami, by zobaczyć najwspanialsze zabytki świata? Wielu z nas wystarcza telewizja, a jeśli już podróżować to z biurem podróży, samolot - luksusowy hotel z basenem i kortem - klimatyzowany autokar. A że klimatyzowany autokar do Khajuraho nie dotrze, to i turystów Khajuraho nie ma. Czyż nie prościej włączyć Travel Chanal, nalać sobie piwka i oglądać jak ktoś inny podróżuje opowiadając (najczęściej dyrdymały) o dalekich krajach? Zamiast samego Khajuraho - trzy w jednym: Khajuraho, piwo i fotel.

Niesamowite świątynie

Dawno, dawno temu, w czasach, gdy woje Mieszka I przedzierali się przez knieje do swych kurnych chat, między rokiem 950 a 1050 naszej ery, władcy dynastii Czandala wzniesli 85 niezwykłych świątyń z piaskowca ku uczczeniu mitycznego ślubu Shivy i Parwati. Do dziś dotrwało tylko 25 świątyń i to głównie dzięki przypadkowi. Khajuraho podupadło i pochłonęła je dżungla. Świątynie pokryte niesamowitą ilością pięknych rzeźb zostały zapomniane na wieki. Dzięki temu przetrwały szal niszczenia pierwszych władców islamskich, który z zapalem demolowali wszystko co hinduistyczne. A te świątynie islamiści zniszczyliby na pewno, bo pokryte są rzeźbami przedstawiającymi nie tylko nagie ciała kobiet, ale i erotyczne figury niczym z Kamasutry. Początkowo było tych rzeźb około 100 tysięcy, z czego 17 tysięcy przetrwało do dziś.



Jedna z rzeźb. Fot. Krzysztof Łoziński.

Te rzeźby, wbrew pozorom nie mają nic wspólnego z Kamsutrą. Są wyobrażeniem ślubu bogów a w tradycji hinduistycznej małżeństwo musi być w pełni skonsumowane. W pełni, czyli wszystkimi możliwymi zmysłami. Czegoż tu więc nie mamy, seks zbiorowy, seks oralny i analny i ze zwierzątkami. To wszystko jednak ma religijną symbolikę i nie jest żadną pornografią. Także sama budowa świątyń odzwierciedla symbolikę małżeństwa, spełnienia i prokreacji. Najwyższa część świątyni, jej trzon, czyli *dżangha*, symbolizuje niebo, królestwo niebieskie. We wnętrzu znajduje się sanktuarium (wnęka) symbolizujące łono (*garbhagryha*) wewnątrz którego znajduje się symbol falliczny *linga* lub *lingam*. *Linga* to symbol fallusa Shivy ale i symbol aktu tworzenia, siły, płodności. Cała świątynia znajduje się na szerokiej podstawie symbolizującej ziemię. Symbolicznie łączy więc ona ziemię z niebem. Shiva przedstawiany jest też w postaci ogromnego dzika i ogromnego byka, którym poświęcono odrębne pawilony. Całe elewacje i wnętrza świątyń pokrywa mrowie rzeźb.

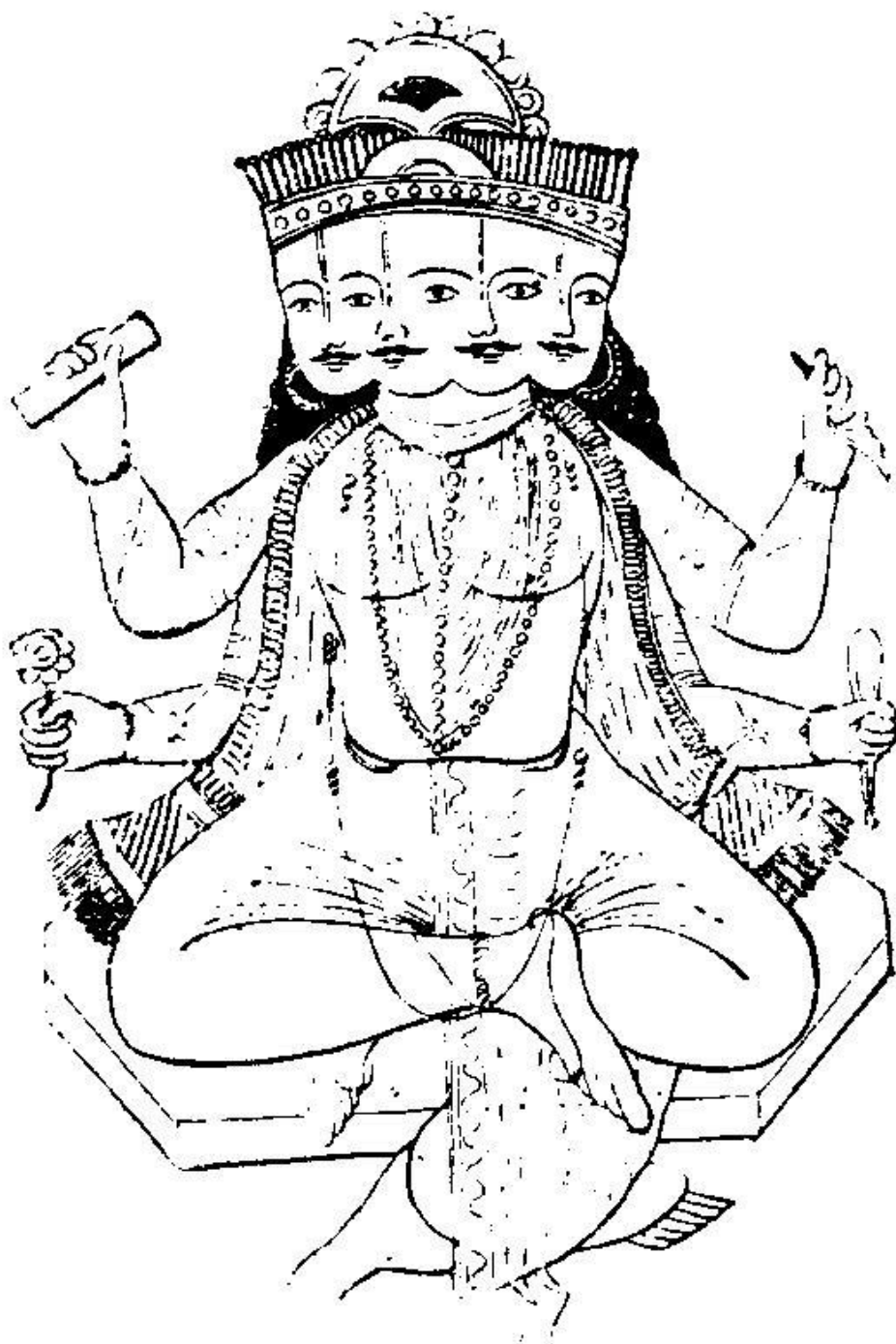
Turyści z Zachodu, a zwłaszcza oglądacze wyłącznie zdjęć, widzą w tych rzeźbach tylko erotyzm i często tylko to ich interesuje. Tymczasem te rzeźby są niebywale pięknymi dziełami sztuki.

9 świątyń zachodniej grupy i 16 świątyń wschodniej grupy przetrwało nietknięte w głębi lasów 700 lat czekając na ponowne odkrycie. W 1819 roku odnalazł je przypadkiem brytyjski geodeta i naniósł na mapę, ale opisał je tak niefortunnie, mówiąc po polsku - nabazgrał, że ze słowa „tempels” zrobiło się „mines” i tak „świątynie” zostały „kopalniami”. Dopiero po 20 kolejnych latach brytyjski kapitan T. S. Burt wybrał się tu ponownie na słońcu i docenił odkrycie, choć w pamiętniku napisał: „rzeźbiarz pozwolił swym postaciom na nieco swobodniejsze zachowanie, niżby to dyktowała absolutna konieczność”. Na szczęście dla świątyń, nadal były one w głębi leśnych odstępów, dzięki czemu ocalały, tym razem przed brytyjskim purytanizmem.



Wnętrze jednej ze świątyń w Khajuraho. W głębi *lingam*. Fot. Krzysztof Łoziński.

Panteon wielorękich bogów



BRAHMĀ.

Brahma

Hinduizm jest jedną z największych i najstarszych religii świata i choć nam, Europejczykom, wydaje się on strasznie dziwny, to trzeba pamiętać, że ma ponad dwa razy tyle wyznawców co wszystkie odłamy chrześcijaństwa razem wzięte. Bo hinduizm to nie tylko miliard czterysta milionów ludzi w Indiach, ale i blisko pół miliarda ludzi w innych krajach, głównie Azji Południowo-Wschodniej.



SIVA.

Shiva

Europejczycy najczęściej znają hinduizm tylko z wizerunków „wielorękich bogów” i nie rozumieją, że ci bogowie wcale nie mają wielu rąk. Jest to tylko pewien symboliczny rysunek, na którym kolejne ręce mają oddać właściwości czy możliwości bogów lub postaci mitologicznych. Te dodatkowe ręce trzymają na ogół różne symboliczne narzędzia lub rodzaje broni albo wykonują symboliczne gesty. Nieporozumienia budzi też pewien inny element rysunku - niebieska skóra. W naszym europejskim wyobrażeniu jest to skóra sina, czyli trupia, zaś w symbolice hinduskiej oznacza skórę jasną, czyli przynależność do wyższej boskiej kasty.



SIVA AND PĀRVATI.

Shiva z dobrym wcieleniem swej żony Shakti – Parvati

Zaczynam przejdę do omawiania tego panteonu, jedna mała dygresja. Język hindi (i kilka innych języków azjatyckich) ma odwrotne rodzajniki niż języki słowiańskie, co budzi szereg nieporozumień. Końcówka „a” oznacza rodzaj męski, zaś końcówka „i” rodzaj żeński. Tak więc Shiva, Kryshna, Kama, Brahma, Ganesha - to mężczyźni (choć bogowie) a Lakshmi, Parvati, Sarasvati, Kali - to kobiety. Wyjaśniam, bo jeden z polskich wyznawców Kryshny tłumaczył mi, że to kobieta, „jak sama nazwa wskazuje”. Nawiasem mówiąc, wyznawanie religii, o której się kompletnie nic nie wie, to niezły hopel i tylko na Zachodzie możliwy. Pod tym względem jesteśmy już w Europie.



KĀLI DANCING ON SIVA.

Kali - złowrogie wcielenie Shakti - tańczy na Shiwie.

Najważniejszym bogiem hinduizmu jest Brahma - bóg stwórcy, którego dziełem jest cały świat. Przedstawiany jest z wieloma twarzami (wedle mitologii ma tysiąc twarzy), co oznacza symbolicznie to, że wszystko widzi. Brahma jest najbliższy do Boga chrześcijan, muzułmanów i judaistów, ale ma żonę. Jest nią Sarasvati. Jeden szczebel w boskiej hierarchii niżej stoją Shiva i Wishnu.



VISHNU.

Wishnu leżący na wężu. Nad nim unosi się Brahma.

Wishnu symbolizuje energię, płodność, prokreację, zarówno tworzenie jak i niszczenie a Wishnu zachowanie istniejącego stanu, stabilność. Kilka razy zetknąłem się w literaturze z poglądem, że Shiva i Wishnu są jak in i yang w taoizmie. Nic bardziej błędnego. In i yang to pierwiastki przeciwne, ale jeden z nich jest twórczy a drugi niszczący. Jeden porządkuje a drugi tworzy chaos. Są odpowiednikami pojęć entropii i entalpii w fizyce. Shiva i Wishnu też reprezentują przeciwieństwa, ale zupełnie inne: zmianę i brak zmiany. Tworzenie lub niszczenie i pozostawanie w stanie dotychczasowym.



LAKSHMI.

Lakshmi - małżonka Wisznu.

Ilustracje (rysunki) w tym rozdziale pochodzą z książki „Hindu Mythology”, W. J. Wilkins, Calcutta 1882.

Shiva jest Wielkim Joginem, który medytuje na górze Kajlaś (szczyt w Himalajach na terenie dzisiejszego Tybetu). Kajlaś to mityczna góra Meru, przez którą przechodzi oś świata. Innym razem Shiva jest Nataradżą - panem kosmicznego tańca, który stwarza i niszczy światy. Wishnu zwany inaczej Narajana jest najważniejszym z bogów dbającym o istnienie świata. Gdy Wishnu śpi, wszechświat się rozpada, gdy się budzi, wszechświat powstaje na nowo. Wishnu miał wiele wcieleń, początkowo zwierzęcych. Dopiero w siódmym, ósmym i dziewiątym miał postać ludzką jako Rama, Kryshna i Budda. Wishnu przebywa w niebiosach i tylko czasem schodzi na ziemię. Broni wtedy prawdy, zwalcza zło i przywraca porządek świata. Jego wierzchowcem jest pół człowiek, pół ptak Garuda. Żoną Wishnu jest Lakshmi - bogini szczęścia, pomyślności, bogactwa.

Shiva jest najczęściej przedstawiany z ogromnym kokiem na głowie, węzem (pytonem) na szyi i z trójzębem w ręku. Na czole ma trzecie oko (oko mądrości). Jeśli spojrzy na kogoś tym okiem, to spala go swą mądrością niczym promieniem lasera. Żoną Shivy jest Shakti symbolizująca moc żeńską. Jest ona przedstawiana w dwóch wcieleniach - dobrym jako Parwati i złowrogim jako Kali (bogini śmierci). Synem Shivy i Parwati jest Ganesha, przedstawiany jako dziecko z głową słonia. Ganesha jest patronem powodzenia w pracy i przedsięwzięciach. Wishnu też jest żonaty z Lakshni i wiele rzeźb na świątyniach w Khajuraho przedstawia właśnie Wishnu przytulającego Lakshni na ślubie Shivy. Hinduistyczni bogowie są w ogóle bardzo ludzcy i przez to bardzo trafiają do ludu. W świątyni Shivy w Kathmandu (Nepal) jest okno na poddaszu, przez które wyrzeźbieni i pomalowani na naturalne kolory Shiva i Parwati wyglądają na rynek. Wyglądają jak zwykłe małżeństwo patrzące przez okno na ulicę. Shiva obejmuje Parwati trzymając ją za pierś.

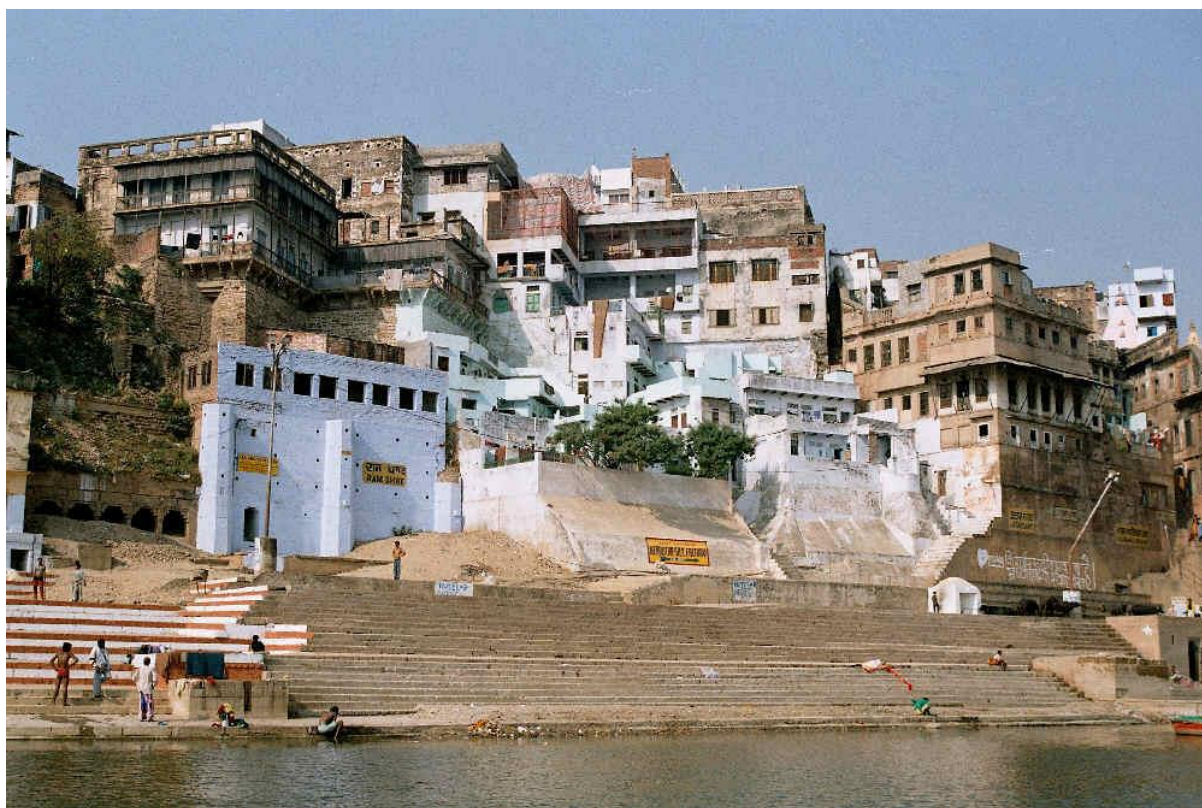
Życie hinduisty, reinkarnacja, kasty

O życiu człowieka decyduje *karman* (*karma*), czyli suma dobrych i złych myśli oraz czynów. Człowiek oddziałuje na otoczenie swoją *karmą*. Jeśli jest to *karma* dobra, świat odpowiada mu tym samym, jeśli zła, odpowiada mu zło. Oczywiście nie bezpośrednio, tylko niejako w sumie, w innych momentach. Zły uczynek może przynieść doraźne korzyści, ale suma złych uczynków zawsze obróci się przeciw sprawcy. *Karman* ma wpływ na postać kolejnego wcielenia (inkarnacji) człowieka. Człowiek, który żył dobrze, odradza się w postaci lepszej, lub się cofa, gdy żył źle. Może zostać *braminem* (członkiem kasty kapłanów) albo niedotykalnym, *pariasem*. Może też cofnąć się do postaci zwierzęcej, do rośliny a nawet kamienia. To dlatego hinduiści są wegetarianami. Zwierzę może być ich przodkiem. Nakazem hinduizmu jest szacunek dla wszelkiego życia, w skrajnej postaci nawet do życia roślin i przyrody, którą my uważamy za martwą. Skrajną religią wywodzącą się z hinduizmu jest dżinizm, którego skrajni wyznawcy chodzą nago („odziani w powietrze”). Człowiek może wyrwać się z ciągu kolejnych inkarnacji przez *nirwanę* (oświecenie) lub *moksę* - ostateczne wyzwolenie.



Shiva i Parwati wyglądają przez okno swej świątyni w Kathmandu (Nepal). Fot. Krzysztof Łoziński.

W zachodniej literaturze pięknej (ale nie naukowej) napisano wielkie ilości kompletnych bredni na temat indyjskiego systemu kastowego. Kasty (*warna*) są w rzeczywistości cztery. Najwyższa to *bramini*, czyli kapłani i nauczyciele religii. Drugą są *kszatrijowie*, czyli wojownicy i władcy. Trzecią *wajśjowie* - kupcy, samodzielni rzemieślnicy. Czwarta to *śudrowie* - chłopci, służący, pracownicy najemni. Poza systemem kastowym pozostają *pariasi* - niedotykalni - ludzie, którzy nie mają żadnych praw. Niedotykalnym nie wolno mieszkać we wsiach, pić wody ze studni, siedzieć w cieniu. System kastowy został już dawno prawnie zniesiony. Jednak nadal funkcjonuje na wsiach i w zwyczajach. O tym jak bardzo zmieniły się Indie niech świadczy fakt, że premierem był Rao należący do niskiej kasty Śudrów - chłopów. Co więcej był on Indyjskim Balcerowiczem, ojcem reform gospodarczych.



Varanasi nad Gangesem. Fot. Krzysztof Łoziński.

Z Khajuraho przez Jansi do Varanasi

Właśnie wyjechaliśmy z Khajuraho i wynajętym samochodem Indyga udajemy się do Jansi, skąd podciągiem pojedziemy do Varanasi.

Po omacku do Jansi

Wracamy tą samą koszmarnie złą, wąską i zatłoczoną drogą, którą przyjechaliśmy. Tym razem jednak po zmroku. Przypominają mi się polskie narzekania na nieoświetlonych rowerzystów na naszych drogach. W Indiach sto procent rowerzystów jest po zmroku nieoświetlonych. Mało tego, nie mają nawet odblasków i jest ich bardzo dużo. Całość chaosu uzupełniają jak najbardziej fabrycznie nieoświetlone bawoły, krowy, kozy, różnego rodzaju

wozy ciągnięte przez zwierzęta. Naszym ulubionym żartem w tych warunkach jest zapamiętany fragment dialogu z satyrycznego słuchowiska. Syn zwraca się do swojej matki:

- Matka to by sobie jakieś światło przy rowerze zamontowała, jak po północy narąbana do domu wraca.

- Przeca widza! - odpowiada matka.

Niemal w całej Azji kierowcy różnych pojazdów, woźnice, rowerzyści i piesi wyznają filozofię „przeca widza”. Wydatek na oświetlenie pojazdu, zwłaszcza oświetlenie z tyłu, traktowany jest jako inwestycja zbędna. Co najwyżej potrzebne są reflektory z przodu, bo ważne bym ja widział, a inni niech się męczą, ich problem. A szosie jest mnóstwo wielkich ciężarówek bez żadnego światła z tyłu. W najlepszym przypadku mają odbłaski, o ile ich kurz i błoto nie pokryły. Często mają po prostu napisane w łańskim alfabecie słowo „STOP”, albo „please corn”, „be careful”, „drive carefully”, itp.

Młody kierowca jest wyjątkowo rozmowny i dość dobrze mówi po angielsku. Dostajemy cały wykład o zabytkach w okolicach Jansi. Ma ich być całkiem sporo. O większości nigdy nie słyszałem, ale mnie to nie dziwi. Ilość wspaniałych zabytkowych obiektów w Indiach jest po prostu powalająca. Na zwiedzenie tego wszystkiego nie starczy człowiekowi życia. Co więcej, jest całe mnóstwo obiektów całkowicie nieznanych badaczom, nie opisanych, nawet nie namierzonych. Zaledwie kilka lat temu indyjski historyk odkrył starożytne miasto Dwarka, które do niedawna uważano wyłącznie za obiekt mitologiczny (miasto Krishny). Oczywiście istnieje dzisiejsze miasteczko Dwarka w stanie Gujarat (ok. 40 tys. mieszkańców), ale nikt nie wiedział, że pod nim są ruiny miasta, a raczej miast, bo najstarsze ma podobno 3 tysiące lat. Tak więc nie tylko my, Europejczycy, znaleźliśmy swoją Troję.

Zresztą na temat nie odkrytych zabytków w Indiach mam pewne własne doświadczenie. W 1979 roku w Kaszmirze, plątałem się po lesie koło wsi Lai i nagle znalazłem między drzewami ogromne kamienne bloki pokryte rzeźbami. Bloki miały wymiary ok. 2x3x4 metry, więc kaszmirscy górale sami tego raczej nie zrobili. To były ruiny jakiejś starej budowli, pokrytej przez dżunglę. Zacząłem pytać miejscowych, co to jest, ale umieli powiedzieć tylko tyle, że „zawsze tu było”. Pytałem później w Jammu (stolicy stanu) i w Delhi. Nikt nie potrafił mi nic powiedzieć. Myślę, że w Indiach jest jeszcze bardzo dużo zabytków do odkrycia. U nas archeolodzy dłubią w ziemi by znaleźć parę monet albo glinianych skorup. Tu są jeszcze do odkrycia miasta.

Bar w Jansi

Dojeżdżamy do Jansi i okazuje się, że będziemy mieli półtorej godziny do odjazdu pociągu. Mówię kierowcy, by nie wiozł nas na dworzec, ale do jakiejś restauracji w pobliżu dworca, gdzie byśmy mogli posiedzieć. Zawsze to lepiej niż na peronie. Ja mówię o restauracji, ale Agnieszka niefortunnie wymienia słowa „resturation or bar”, nie wiedząc o tym, że bar w Indiach to zupełnie co innego, niż w Europie.

I rzeczywiście kierowca zawiózł nas do baru! Oczywiście do „baru jego frienda”.

Bar to jest w Indiach miejsce, gdzie pije się alkohol. W restauracjach alkoholu na ogół nie ma. Jeśli jest to zazwyczaj tylko piwo i to raczej w knajpach hotelowych. Natomiast w barze Hindusi piją whisky. Panuje półmrok (jest ok. godziny 21.00), bo chyba specjalnie ma

być ciemnawo. Parę stolików, grupka mężczyzn przy barze, boczne salki, w których ciemności są już prawie zupełne. Goście to sami mężczyźni i wyłącznie Hindusi. Jesteśmy jedynymi białymi, a Agnieszka jest jedyną kobietą. Jesteśmy w Indyjskiej spelunie!

Zupełnie to jednak inaczej wygląda niż polskie speluny. Jest zupełny spokój. Mężczyźni piją whisky i rozmawiają. Nie widać żadnej agresji. Nikt nie jest nawalony jak stodoła, nikt nie rzyga, nikt nie leje pod ścianą. Po prostu panowie piją whisky spokojnie rozmawiając.

Przychodzi kelner i dowiadujemy się, że tu nie można zamówić niczego poza alkoholem. No to zamawiamy po lampce whisky, a co tam! Agnieszka pisze do jednej ze swych koleżanek w Polsce sms-a z „pozdrowieniami z baru alkoholowego w Indiach”, czym wzbudza wśród swych znajomych w Polsce małą panikę. My tymczasem bawimy się całkiem dobrze.

W Indiach nie ma zjawiska chuligaństwa, tak dobrze na znanego z naszych miast. W Indiach oczywiście można zostać okradzionym lub napadniętym w celach rabunkowych, ale nigdy nie spotkałem się w tym kraju z zaczepką dla samej zaczepki, z rozróbą dla samej rozróby. W tych ludziach niemal zupełnie nie ma agresji. Ot taka kultura, nieco inna od naszej.

No i ta dbałość o klienta, której wielu naszych kupców i restauratorów mogłoby się nauczyć. Gdy przychodzi nasz czas, barman poleca swoim ludziom znaleźć dla nas riksę, zapakować nasz bagaż. O klienta dba się nawet wtedy, gdy już wychodzi i zapewne nigdy nie wróci. To też taka kultura nieco inna od naszej.

Zmarznąć w tropiku

O 22-giej lądujemy na dworcu w Jansi. Oczywiście znowu czegoś tam nie wiadomo, nie pamiętam już, czy peronu, czy wagonu, czy godziny odjazdu. W indyjskich kolejach zawsze czegoś nie wiadomo i trzeba to polubić. Wreszcie wiemy już wszystko i spokojnie czekamy na pociąg. To już nie Agra, tylko maleńkie (jak na Indie) Jansi. Na dworcu nie ma tablic świetlnych zapowiadających pociągi a spikerka mówi tylko w hindi i to niewyraźnie. Ale spokojnie - stoimy i czekamy, na pierwszym peronie, jak nas poinformowano w ticket office. W pewnym momencie widzę, że czekający na pociąg tłum zaczyna gdzieś iść. Pytam jakiegoś faceta, co jest grane i dowiaduję się, że pociąg podstawią nie na pierwszy peron, tylko na trzeci.

I tu rada dla wszystkich podróżujących pociągami po Indiach. Na każdym dworcu są tragarze, których rozpoznaje się po czerwonych kubrakach. Usługa tragarza kosztuje 50 do 100 rupii, czyli od 3,5 do 7 złotych. To naprawdę nie majątek i nie ma sensu na tym oszczędzać. Tragarz zawsze wie, co się dzieje, skąd odjedzie pociąg, do którego wagonu trzeba nas wsadzić itp. Gdy już i to nie pomaga, bo zawsze w naszym bilecie czegoś brakuje, a to numeru wagonu, a to numeru miejsca, lub godziny odjazdu, to z tyłu kas, od strony peronu ma biuro *collector asystent of tickets officers*, czyli szef konduktorów. Ten pan ma taki wielki zeszyt, w którym ma odręcznie napisane wszystko o każdym pasażerze i wszystko wie.

Łapiemy tragarza i przenosimy się na trzeci peron. Wreszcie pojawia się pociąg (oczywiście potężnie opóźniony).

Mamy sypialne miejsca w drugiej klasie, to znaczy coś jak polskie kuszetki, tyle, że twarde jak decha, bez żadnej pościeli, czy nawet podglówka, no i między przedziałami nie ma ścian ani drzwi. W Rosji nazywa się to „wobsczyj wagon” (na Ukrainie „plaskartnyj”), czyli wagon ogólny, w Indiach sliper II klasa.

Jest połowa grudnia i choć w Indiach nie ma zimy w naszym znaczeniu, to nocą temperatura spada do kilkunastu stopni. Szybko objawia się atrakcja podróżowania w grudniu nocnym pociągiem - zimno. Oczywiście 15 stopni Celsjusza to nie mróz, ale okna w indyjskich pociągach są mocno nieszczelne. No, powiedzmy otwarcie, w ogóle nie ma w nich uszczelek, a szpary mają po 2-3 centymetry, o ile w ogóle jest szyba. Indyjskie ekspresy może nie są zbyt luksusowe, ale rozwijają spore prędkości, bo odległości w tym kraju są jak przez całą Europę. Z Jansi do Varanasi jest w linii prostej 800 kilometrów. Oczywiście odległość drogowa jest znacznie większa. Czeka nas w tym pociągu 14 godzin jazdy, z czego połowa w nocy.

Hindusi są dobrze zaopatrzeni na drogę. Mają czapki (w tym futrzane, co nas bardzo śmieszy) i koce, w które się zawijają. My niestety jesteśmy lekko ubrani. W końcu przyjechaliśmy do tropikalnego kraju. Nie mamy jeszcze jednej rzeczy, łańcucha z kłódką do przytwierdzenia bagażu, czyli podstawowego sprzętu na nocne jazdy. Oczywiście walizki mam zamykane na kłódki, ale już moją torbę fotograficzną nie. W biednym kraju trzeba zawsze pamiętać, że to, co wieziemy ze sobą, jest dla miejscowej biedoty górą złota i trzeba dobrze tego pilnować. Mojego pentaxa indyjski biedak nie kupi nawet za roczny zarobek. Powstaje więc problem spania i pilnowania bagażu. Rozwiązuję go w ten sposób, że ładuję wszystkie walizy na prycę między mnie a ścianę. Muszę się zmieścić na połowie szerokości pryczy, ale wiem, że niczego mi nikt nie gwizdnie.

Pociąg rusza i zaczyna się ze wszystkich szpar zimny dmuch. Opatulamy się jak tylko możemy, z braku koców przykrywamy się ręcznikami, ale niewiele to daje. Zaczyna się długa zimna noc, noc bez snu, noc nieustannej trzęsączki i dzwonienia zębami z zimna. Gdy wreszcie robi się jasno, nie możemy doczekać się słońca. Powiem szczerze: dawno tak nie zmarzłem, jak w tym tropikalnym (podobno) klimacie.

Varanasi i Ganges

Jak zwykle na dworcu dopada nas tłumek naganiaczy oferujących riksę, taksówkę, hotel. Bierzymy riksę i każemy się zawieźć do taniego hotelu. Oczywiście wiem, że riksarz i tak zawiezie nas do tego hotelu, dla którego pracuje, ale wcale mi to nie przeszkadza. Jesteśmy zmęczeni wymarzną, głodni i ogólnie mamy wszystkiego dosyć.

Varanasi, nazywane też Benares (co jest błędem, ale o tym dalej), to duże kilkumilionowe miasto (w 2011 roku – 3,5 miliona mieszkańców) położone na lewym brzegu Gangesu. Komuś, kto przybył tu pierwszy raz, może wydawać się dziwne, że tak duże miasto jest tylko na jednym brzegu rzeki, a drugi jest zupełnie nie zagospodarowany. Przyczyną są wylewy Gangesu, gdy poziom wody podnosi się nawet o 25 metrów. Po prostu lewy brzeg jest wysoki, a prawy niski. W czasie monsunu rzeka wylewa, na co składają się nie tylko gigantyczne opady, ale i topnienie lodowców w Himalajach. Szerokość Gangesu dochodzi wówczas nawet do 50 kilometrów, a głębokość przekracza w niektórych miejscach 40 metrów. W Varanasi na całej długości brzegu prowadzą nad Ganges ogromne szerokie schody. Większość świątyń i innych budynków, które w porze suchej oddzielone są od rzeki właśnie

tymi wysokimi na 30 metrów schodami, w czasie monsunu znajduje się tuż nad wodą. Stara świątynia Shivy (w Varanasi jest co najmniej kilka świątyń Shivy), która nawet teraz zapada się w mule Gangesu (jest cała pochylona), w porze deszczowej w ogóle nie wystaje z wody.



Święty luk Gangesu - Benares Kaśi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Varanasi jest jednym z siedmiu świętych miast hinduizmu, uważanym za miasto Shivy. Pozostałe to Haridwar (rejon Gangotri) gdzie znajdują się źródła Gangesu, czyli świętej rzeki bogini Gangi, Ayodhya, miejsce urodzin księcia Ramy (legendarnego herosa, bohatera etosu Ramayana), Dwarka (do niedawna miasto uważane za legendarne), stolica królestwa Krishny, Mathura, miasto urodzin Krishny, Kanchipuram, miasto świątyń Shivy i Ujjain, miasto mitycznej wielkiej bitwy bogów i demonów, podwójnie święte, bo będące jednym z czterech miejsc, w których spadły krople świętego nektaru niesionego przez boga Vishnu (pozostałe to Allahabad, Haridwar i Nasik). Poza świętymi miastami są jeszcze w Indiach święte rzeki: Ganges (Ganga), Saraswati, Yamuna (pisana też jako Jammuna lub Jamna, płynie przez Delhi i Agrę), Indus (dziś w Pakistanie), Narmada, Godavari i Cauvery. Pewne nieporozumienia budzi podwójna nazwa miasta Varanasi i Benares. Nazwa Varanasi oznacza ujście rzeki Varany do Gangesu i jest obecnie powszechnie używaną w Indiach nazwą w odniesieniu do całego wielkiego miasta liczącego około 3,5 milionów mieszkańców (różne źródła podają różne liczby, co zapewne jest skutkiem szybko rosnącej populacji Indii - czym starsze dane, tym mniejsze miasta). Druga, historyczna nazwa, Benares, dotyczy głównie starej, kultowej części miasta nad Gangesem. Nazwa ta pochodzi od łuku Gangesu zwanego Benares Kaśi (Miasto Boskiej Światłości) lub Shiva Kaśika (Lśniący światłem Shivy).

Varanasi jest bardzo starym miastem, liczącym co najmniej 3.500 lat. Jest miastem świętym także dla buddystów, bo w V wieku przed naszą erą medytował tu pierwszy Budda (oświecony), czyli książę Siddhartha Gautama.



Suszenie farbowanych tkanin, Varanasi. Fot. Krzysztof Łoziński.

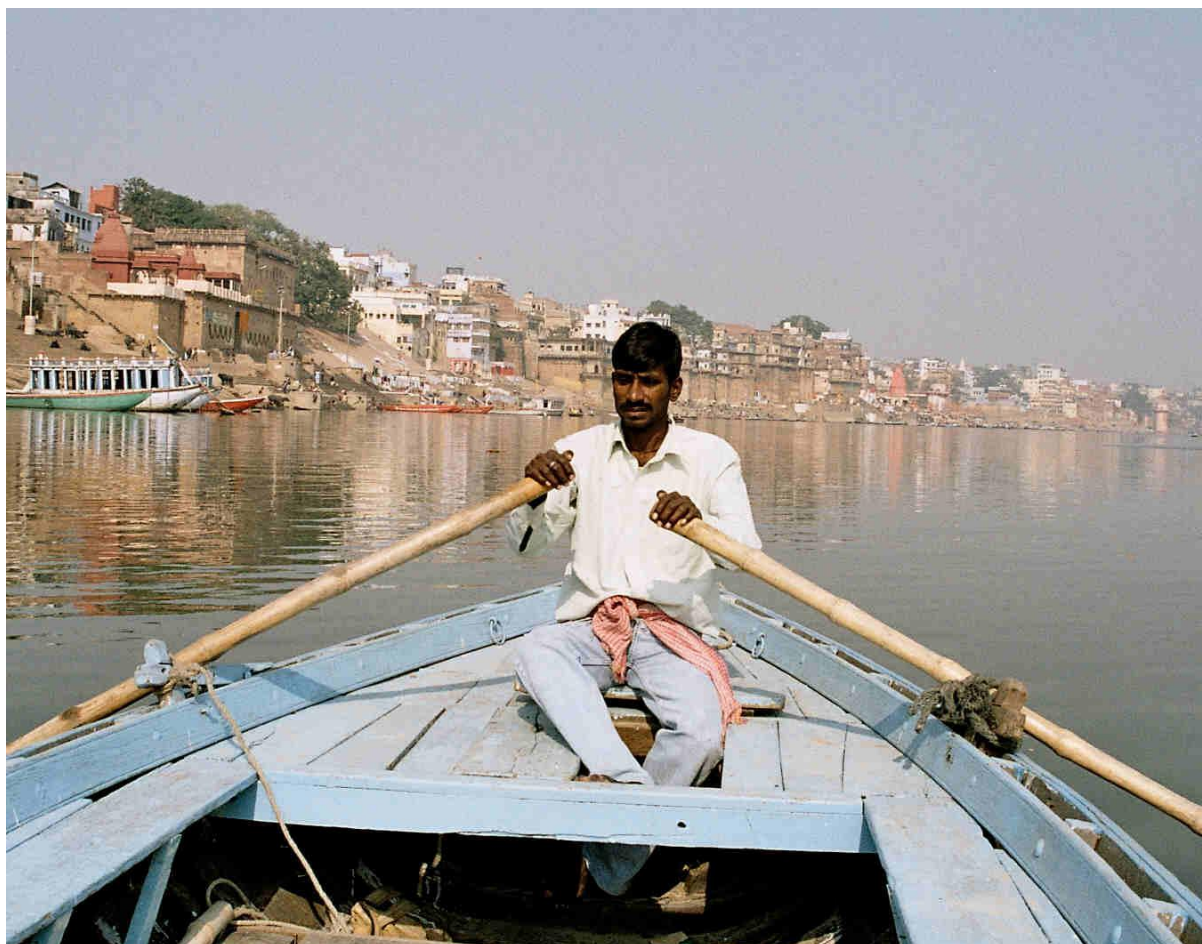
Ganges jest rzeką szczególnie świętą. Hindusi wierzą, że jest to bogini Ganga, spływająca wiecznie ze zboczy świętej góry Meru, przez którą przechodzi oś świata (dzisiejsza góra Kajlaś w Himalajach po stronie tybetańskiej). Wprawdzie Ganges nie wypływa bezpośrednio spod góry Kajlaś, lecz z lodowca Gangotri koło Rishikesh, ale jest to rejon góry Kajlaś z którego to rejonu biorą początek wielkie rzeki Azji: Ganges, Bramaputra, Ghaghra, Indus i Salteń. Święta pielgrzymka Hindusa (Ganga jatra) zaczyna się do Gangotri, przez Hardwar, Allahabad, Benares a kończy w Ujjain. We wszystkich tych miastach odbywa się wielkie religijne święto Kumbh Mela, w czasie którego kilkaset tysięcy ludzi poddaje się rytualnej kąpieli w Gangesie. Pielgrzymi przybywają tu jednak przez cały rok.

Spacerkiem nad Ganges

Daliśmy się zawieźć do hotelu o nazwie Sandhya Guest House (polecam następcom) w samym centrum i bardzo blisko od świętego łuku Gangesu. Hotel jest jak na warunki indyjskie i cenę rzędu 300 rupii (ok. 20 złotych) za dobę, całkiem przyzwoity. Od razu korzystamy z pralni, bo nasze ubrania po tygodniu szalonej jazdy pozostawiają sporo do życzenia na odcinku czystości. Pralnia reklamuje się zresztą w dość zabawny sposób: „Laundry, washing machine, no hand wash, no Ganga water” (pralnia, pralka, nie ręczne pranie, nie woda z Gangesu). No i dobrze, bo jak by była „Ganga water” to by była brudzalnica, a nie pralnia.

Hotelarz od razu proponuje nam spacer, na który on nas zaprowadzi. Idziemy wąskimi uliczkami w stronę Gangesu, ale hotelarz prosi byśmy tylko na chwilę wstąpili do jego znajomego, który wprawdzie jest islamistą, ale dobrym islamistą (w Varanasi mieszka spora społeczność islamska). Prowadzi nas do tkalni jedwabiu. W ciemnym pomieszczeniu o wymiarach 3 na 4 metry siedzi dwóch może 12-letnich chłopców przy warsztacie tkackim. Pracownicy przekładają nitki według wzoru zapisanego na kartach perforowanych. Jak się

później dowiedzieliśmy, ci chłopcy tkają jedwabny szal o wymiarach 80 cm na 2 metry przez 21 dni. Oczywiście nikt tu nie słyszał o ośmiogodzinnym dniu pracy, wolnych sobotach, urlopach... A ile oni zarabiają? Na pewno bardzo mało. Taki szal kosztuje w sklepie 1200 rupii, czyli na polskie pieniądze 84 złote (26 dolarów). Jak to jest mało, widzimy dopiero po obejrzeniu całego procesu produkcji. Najpierw farbuje się nici. Rozciąga się nici między dwoma słupami i za pomocą szczoteczki z farbą nanosi się na nie kolor. Później jest proces tkania, a później jeszcze kolejne farbowanie, ale już całej tkaniny. Później jeszcze musi na tym zarobić sklep. Na te 26 dolarów składa się praca około 10 osób. Nie chcieli mi powiedzieć, ile ci malcy zarabiają, ale myślę, że nie więcej jak 3 dolary miesięcznie.



Płyniemy łodzią po Gangesie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Teraz oczywiście hotelarz prowadzi nas do sklepu z tymi szalami, gdzie możemy tylko popatrzeć, jak nas zapewnia, ale przecież chodzi o to, byśmy coś kupili. I to był główny cel wycieczki. Szale są piękne, to trzeba przyznać. Nie ma dwóch jednakowych, w końcu to ręczna robota. Jedwabny szal, którym może się całkowicie owinać kobieta, jest tak cienki, że można go przeciągnąć przez obrączkę. Oczywiście nie można takich cudów pokazywać kobiecie bezkarnie i oni dobrze o tym wiedzą. Agnieszka targowała się zawzięcie, ale kupiła. No i oczywiście nie można po takich targach kupić tylko jednej sztuki, a więc jeszcze bluzka, jeszcze sari, jeszcze... No trochę na nas zarobili. I dobrze wiedzieli, po co pokazują nam te biedne pracujące dzieci.

Ale nasz hotelarz wcale nie jest tylko wyrachowanym handlowcem. Teraz rzeczywiście prowadzi nas nad Ganges, objaśnia, układa nam cały plan zwiedzania. Bez niego na pewno zobaczylibyśmy dużo mniej.

Uwolnienie przez ogień

Wąską uliczkę prowadzącą nad rzekę zamykają ogromne stosy drewna. Tu kupuje się paliwo na stosy pogrzebowe. Między tym niewielka kapliczka, wielkości niewiele ponad metra sześciennego, w której płonie wieczny święty ogień, bo stosu nie można zapalić tak po prostu zapalkami. To musi być ogień przyniesiony ze świątyni Shivy i przechowany w tej kapliczce. Wokół pełno straganów sprzedających całuny, kwietne wieńce, kadzidła a także... przechowujących zwłoki. W kącie jednego ze straganów widzę kształt ludzkiego ciała owinięty w srebrno-złoty całun. Leży na marach i czeka na swoją kolej między towarami pogrzebowymi, głównie sznurami różowych nagietek.

Schodzimy w dół po ogromnych szerokich schodach. Właśnie tu mieści się jedno z miejsc, w których pali się zwłoki w Benares. Płonie kilka stosów. Inne są w trakcie przygotowania, kolejne dogasają. To istny kombinat. Obok jest jeszcze cywilizacyjna nowość - spalarnia elektryczna.

Hinduiści wierzą, że poprzez kremację, przez ogień, oczyszcza się duszę, która zostaje w ten sposób uwolniona ze swego ciała i może przejść do kolejnego wcielenia, lub dzięki doskonałemu życiu i śmierci w jednym ze świętych miast, może zostać wyzwolona z łańcucha wcieleń, co jest najważniejszym celem życia hinduisty poprzez wszystkie wcielenia. Kremacja musi nastąpić w ciągu trzech godzin od śmierci, bo tylko w tym czasie może nastąpić uwolnienie duszy, dlatego stosy płoną przez całą dobę. Z tej samej przyczyny hinduistyczne pogrzeby idą szybkim krokiem, a nawet, jak widzieliśmy tym razem, owinięte w całun zwłoki wiezie się rikszą. Drugą przyczyną pośpiechu jest gorący klimat Indii, kraju w którym latem 40 stopniowy upał jest normą, a bywa więcej.



Żałobnicy wiozą rikszą ciało w złotym całunie (po prawej), a sami jadą drugą rikszą. Zdjęcie zrobione ze znacznej odległości, stąd rozmycie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Spalanie ciała trwa o koło 3 godzin i zazwyczaj z doczesnych szczątków nic nie zostaje, poza dosłownie kupką popiołu, który rodzina zbiera do urny. Urna jest przez tydzień przechowywana w domu, po czym rodzina rozsypuje prochy po rzece. Do rzeki wrzuca się też szczątki całunu i wieńce z kwiatów, którymi przykryte są zwłoki. Drewno opałowe jest w Indiach bardzo drogie, bo w tym kraju wycięto już niemal wszystkie lasy. Biedniejsze rodziny oszczędzają na drewnie, więc zwłoki nie zawsze zostają spalone do końca. W takim przypadku obsługa kremacji rozbija resztki kijami i wrzuca do rzeki. Podpalenia stosu musi dokonać bliski krewny, najlepiej syn zmarłego, który w tym celu poddaje się specjalnemu oczyszczeniu. Między innymi goli głowę, zostawiając jedynie cienki kosmyk na czubku głowy (symbol hinduizmu) oraz ubiera się w białe szaty. W całej Azji biały jest kolorem żałoby.

Nie wszystkie jednak ciała się pali. Dzieci do 3 roku życia, świeci mężowie Sadhu, kobiety w ciąży, dziewice i kapłani są czysti, więc nie przechodzą oczyszczenia ogniem. Ich ciało owinięte całunem obciąża się kamieniem i wrzuca do rzeki. Po pewnym czasie następuje jego uwolnienie. Na skutek rozkładu, ciało wzbiera gazami i mimo kamienia wypływa, rozpoczynając wędrówkę w dół rzeki. Reszty wodnego pogrzebu dokonują ryby i gawiale (krokodyle indyjskie) i sępy.

Gdy następnego dnia pływaliśmy po Gangesie łodzią, nagle zobaczyliśmy w wodzie pływające ciało. Unosiło się jakieś 30 centymetrów pod powierzchnią wody, owinięte niebieskim całunem jakiś metr na prawo od burty. Ludzkie ciało na moment wyłoniło się z mętnej wody Gangesu tuż obok nas i równie szybko znikło jak zjawą w głębokim nurcie. Muszę przyznać, że oboje nas zamurowało. Płynęliśmy łodzią w słoneczny dzień po pięknej szerokiej rzece. Opodal nad brzegiem kąpali się w tej rzece ludzie, myli zęby, prali ubrania a tu nagle w tej samej wodzie płyną ludzkie zwłoki. Szok.



Oczyszczająca kąpiel w Gangesie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Varanasi - Gorakhpur - Sonauli – Kathmandu



Agnieszka przy terenówce machendra, którą jechaliśmy z Varanasi do Sonauli. Fot. Krzysztof Łoziński.

Chorować w Indiach

Wieczór pierwszego dnia w Varanasi ujawnia niemiłą niespodziankę: mam gorączkę. To efekt tej zimnej nocy w pociągu z Jansi. Jestem zwyczajnie zaziębiony. Na naszej ulicy, niemal naprzeciw hotelu, są aż trzy apteki. Idę tam i chce kupić aspirynę. Ku mojemu zdziwieniu nie znają takiego leku. To dla mnie nowość, bo jeszcze kilkanaście lat temu aspiryna firmy Bayer była w Indiach powszechnie dostępna. Próbuję wytłumaczyć, o co mi chodzi i to natychmiast skutkuje. Dostaję jakiś indyjski specyfik, jak się później okaże, wysoce skuteczny.

Dotąd już kilka razy zetknąłem się z medycyną indyjską i muszę powiedzieć: z pełnym szacunkiem do tej medycyny. Gdy wracałem z Kaszmiru w 1979 roku, rozboleł mnie ząb. A, żeby tam rozboleł. Dostałem okropnego ropnego zapalenia okostnej i to na kilka godzin przed odlotem do Polski. Było za późno na wrywanie zęba. Poszedłem do indyjskiego lekarza na Main Bazaar, w takiej pakamerze, w której wedle naszych pojęć można by zrobić co najwyżej kibel. Powiedziałem, że potrzebuję czegoś przeciwbólowego. Sikhijski lekarz uparł się, aby mnie zbadać. Byłem na niego zły. Myślałem: daj pan pabialginę i spadaj, ale nie miałem wyboru. Zbadał mi puls, zmierzył gorączkę, dokładnie obejrzał zapuchniętą do asymetrii gębę i kazał poczekać 10 minut. O chwili przyniósł dwa „proszki”, jak za pradziadów, w opłatkach (młodzi czytelnicy pewnie nie wiedzą, że kiedyś tak robiono wszystkie lekarstwa, także u nas). Lekarz kazał mi zażyć pierwszy, a drugi po 8 godzinach i powiedział, że zęba nie trzeba jeszcze wrywać. Pomyślałem: co za bałwan! Gębę mam jak bania, przecież to się nie wygoi!

Pojechałem na lotnisko. To było jeszcze stare lotnisko w Delni. Ogromna hala z blaszanym dachem, upał chyba z 50 stopni, żadnego wiatraka, żadnej klimy, tylko tłum się kłębi w gigantycznych kolejkach do wszystkiego. Odprawa, pierwszy etap lotu do Bombaju. W Bombaju celnikom coś odbiło. Zatrzymują lotniskowy autobus na płycie (pełne tropikalne słońce) i zaczyna się półtorej godziny odprawy w tym autobusie, a mnie ból zęba wali w czaszkę aż dzwoni. No, ale minęło 8 godzin. Biorę drugi proszek, jak doktor Sikha kazał.



Miasto Gorakhpur w stanie Uttar Pradesh. Fot. Krzysztof Łoziński.

Znowu odprawa, tym razem na etap do Rzymu. Jestem już umęczony do dna bólem i upałem. W samolocie ból zaczyna mijać. Gdy lądujemy w Rzymie, nie ma śladu po bólu i opuchliznie. Po kilku dniach, już w Polsce, idę do dentysty, „no bo przecież coś z tym trzeba zrobić”.

- Ale ja tu nic nie widzę - mówi dentysta i wysyła mnie na rentgen.

Wracam ze zdjęciem, a na nim nic. Mówię dentyście o bólu, o ropie, o tym, że spuchłem jak bania...

- To niemożliwe - twierdzi dentysta - takie rzeczy nie przechodzą bez śladu!

Widać jednak przechodzą. Ząb w końcu wyrwałem... 20 lat później.

Z medycyną indyjską spotykałem się jeszcze kilka razy i muszę powiedzieć, że to bardzo dobra medycyna. To nie jest żadne „ludowe” zielarstwo, czy jakaś szarlataneria. Dzisiejsi lekarze w Indiach znają zarówno normalną zachodnią medycynę jak i tradycyjną medycynę indyjską a stosowane przez nich leki znacznie lepiej trafiają w tutejszą florę bakteryjną niż nasze. Indyjskie lekarstwo, które kupiłem tym razem też okazało się skuteczne. Po dwóch dniach byłem zdrowy.

Wesoły hotelarz z Sandhia Guest House

Hotelarz z Sandhia Guest House, w którym mieszkamy jest niski, drobny, ma bardzo ciemną karnację. Przypomina mi Szerpę, a nie Hindusa. Kucharz, też wygląda jakoś tak nepalsko. Hotelarz jest wesoły i rozmowny. Przysiada się do nas, objaśnia indyjskie potrawy, wypytuje o plany. Siedzimy w hotelowej restauracji na dachu, pijemy *massala czaj* w wersji imbirowej (herbatę z mlekiem i przyprawami - ginger massala czaj). Mówię, że z Varanasi wybieramy się do Nepalu. Hotelarz twierdzi, że ma brata, który ma hotel w Kathmandu. Coś mnie tknęło i pytam:

-Are you Nepali?

Okazuje się, że istotnie, jest Nepalczykiem. Nazywa się Sanjay.

- Namaste mero sati (witaj mój przyjacielu) - mówię w języku nepali i natychmiast rzeczywiście zyskuję przyjaciela. Nepalczycy są bardzo dumnym narodem. Biały sahib, który zna ich język, nieodmiennie robi wielkie wrażenie. Z tymi ludźmi można wiele załatwić za pieniądze, ale dużo więcej okazując im szacunek.



Przydrożny bar między Gorakhpur a Sonauli. Fot. Krzysztof Łoziński.

Zamieniamy kilka zdań w nepali i szybko przechodzimy z powrotem na angielski. Moja znajomość nepali jest jednak dość daleka od doskonałej.

Pytam, co on robi w Varanasi, czemu nie prowadzi hotelu w Kathmandu? Dowiaduję się, że „jest problem z maoistami”. W Nepalu od 10 lat działa maoistyczna partyzantka. Maoiści, jak wszyscy komuniści świata, trudnią się rabunkiem dorabiając do tego ideologię („grab zagrabione” głosił Lenin). Od turystów zbierają haracz, który nazywają „podatkiem na rewolucję”. Ostatnio wzrósł on do 25 dolarów od łepka. Znacznie więcej jednak żerują na

przedsiębiorcach. Kto nie płaci, temu bombę. Podobno w Nepalu wszyscy się opłacają. A wszystko w ramach „sprawiedliwości dziejowej i ludowej”.

Maoiści są uzbrajani przez Chiny za pośrednictwem komunistów indyjskich. Dla Chin interes jest prosty - chcą mieć przyczółek po drugiej stronie Himalajów a Nepal znakomicie nadaje się do tej roli.

Nasz hotelarz okazuje się bardzo cenną znajomością. Kupuje nam koce z polara, abyśmy już nie marzli w podróży. Oczywiście sami mogliśmy je kupić, ale dla turystów wszystko jest droższe niż dla miejscowych. Dostajemy od niego kartkę do brata w Kathmandu, że ma nam wynająć pokój taniej - po 500 rupii nepalskich za noc (75 rupii nepalskich = 1 dolar). 500 rupii nepalskich to 22 złote, a hotel okazał się bardzo przyzwoity. Ogólnie ze wszystkim mamy przody i we wszystkim nam pomaga. Mamy już załatwione wszystkie możliwe bilety i środki transportu do samego Kathmandu. Jak to dobrze znać trochę język *nepali*!



Przydrożny warsztat wulkanizacyjny w stanie Uttar Pradesh. Fot. Krzysztof Łoziński.

Jeepem przez Gorakhpur do Sonauli

Hotelarz załatwił nam wszystko, co mógł, ale potem, jak to w Indiach, wszystko jest inaczej. Jedziemy riksą o szóstej rano na miejsce, skąd ma odjechać nasz autobus do Sonauli. Oczywiście ma to być tourist bus, video, airconditonal, luksusery itp. No i oczywiście nie ma żadnego autobusu tylko są dwa jeepy marki machandra, oczywiście indyjskie, oczywiście ciasne i niewygodne. Patrząc na nasze bilety z miejscówkami nr 1 i 2, czyli koło kierowcy i

chce mi się śmiać. Rzeczywiście siedzimy koło kierowcy, ale w jeepie. Klima jest stereo, czyli jak się otworzy dwa okna, a video to widok przez okno, jak kurz nie zasłania. Z nami jedzie paru Japończyków, dwoje Rosjan (bardzo sympatycznych), dwoje Żydów z Izraela, Kanadyjczyk i Australijka.

Oczywiście mamy w cenie biletu śniadanie. Dostajemy po plastikowym kubeczku *massala czaj* i po *ciapacie* i już. Jednym słowem herbata z mlekiem i naleśnik bez nadzienia.

Mam nieco obaw o Agnieszkę. Podróż do Nepalu „dołem” przez Sonauli to niezła wyrypa. Sonauli mogłoby w jakimś filmie grać przedpiekle. Jest to, jak mawiał jeden z moich kolegów „miejsce równie piękne jak Chorzów Batory”, ale i nawet to nie oddaje „uroku Sonauli” do którego trzeba mieć sporą odporność fizyczną i psychiczną. Ja jestem przywykły, bo znam nawet Peshawar w Pakistanie, który jeden z polskich alpinistów nazwał „biegunem syfa na ziemi”. Podróżowałem już po Azji ciężarówkami, na koniu, na mule, na dachu autobusu lub pociągu, rowerem a nawet czołgiem wypożyczonym za wódkę, ale Agnieszka nie jest przywykła do takich „wygód”. I do tego partyzanci, kraj niestabilny politycznie. Gdzie ja tę kobietę ciągnę?

Ale trudno, teraz już nie zawrócimy.

Od rana przebijamy się dwoma jeepami przez wiecznie zapchane drogi stanu Uttar Pradesh. Posiłek w przydrożnym zajeździe Agnieszka znosi nad podziw dobrze, choć standard tego miejsca jest już bardzo niski, nawet jak na Indie. Ale Agnieszka przez te dziesięć dni w Indiach bardzo już się oswoiła z tutejszymi urokami. Nawet muszę ją trochę hamować, bo wyraźnie nie wierzy w amebę, wszystkiego musi posmakować, kupuje nieznanie sobie potrawy na ulicznych straganach podawane na bananowym liściu. Z jednej strony mnie to cieszy, że tak dobrze znosi niewygodę, ale z drugiej strony... ameba nie śpi. I żeby tam tylko ameba. A dur brzuszny, żółtaczkę zakaźną, czerwotka i parę jeszcze innych tropikalnych atrakcji, to co, kiepskie choroby? Ja już w tropikach zaliczyłem dur brzuszny (w Afganistanie) i malarię (w Indiach), więc jestem mniejszym optymistą w kwestii jedzenia z bananowego liścia.

Po paru godzinach docieramy do Gorakhpur, miasta molocha, w którym chyba nie ma nic ciekawego, jak mało gdzie. Co do liczby ludności tego miasta, to podawane przez różne źródła liczby są wysoce niespójne. W polskiej Wikipedii widnieją liczba 622 tysiące mieszkańców w 2001 roku, ale gdy wszedłem na stronę administracji Dystryktu Gorakhpur, to przeczytałem, że mieszka w nim 38 milionów ludzi, z czego blisko 20 procent w mieście Gorakhpur, co by oznaczało 7,6 miliona. Komu wierzyć? Ja jednak wierzę Hindusom. To miasto jest ogromne, co widać słysząc i czuć (dosłownie).

Tu mała dygresja, jak to jest z liczbami ludności w Indiach. Tak dokładnie, to nikt nie wie. Wielu biednych ludzi nie ma żadnych dokumentów i nie istnieje w żadnej ewidencji. Liczbę ludności szacuje się na podstawie zdjęć lotniczych i algorytmów. W dodatku populacja w zawrotnym tempie rośnie, więc liczby sprzed kilku lat są już mocno nieaktualne. Stąd dane we wszystkich źródłach są wyliczane metodą „pi razy oko”. A rozpiętość tych danych bywa ogromna.



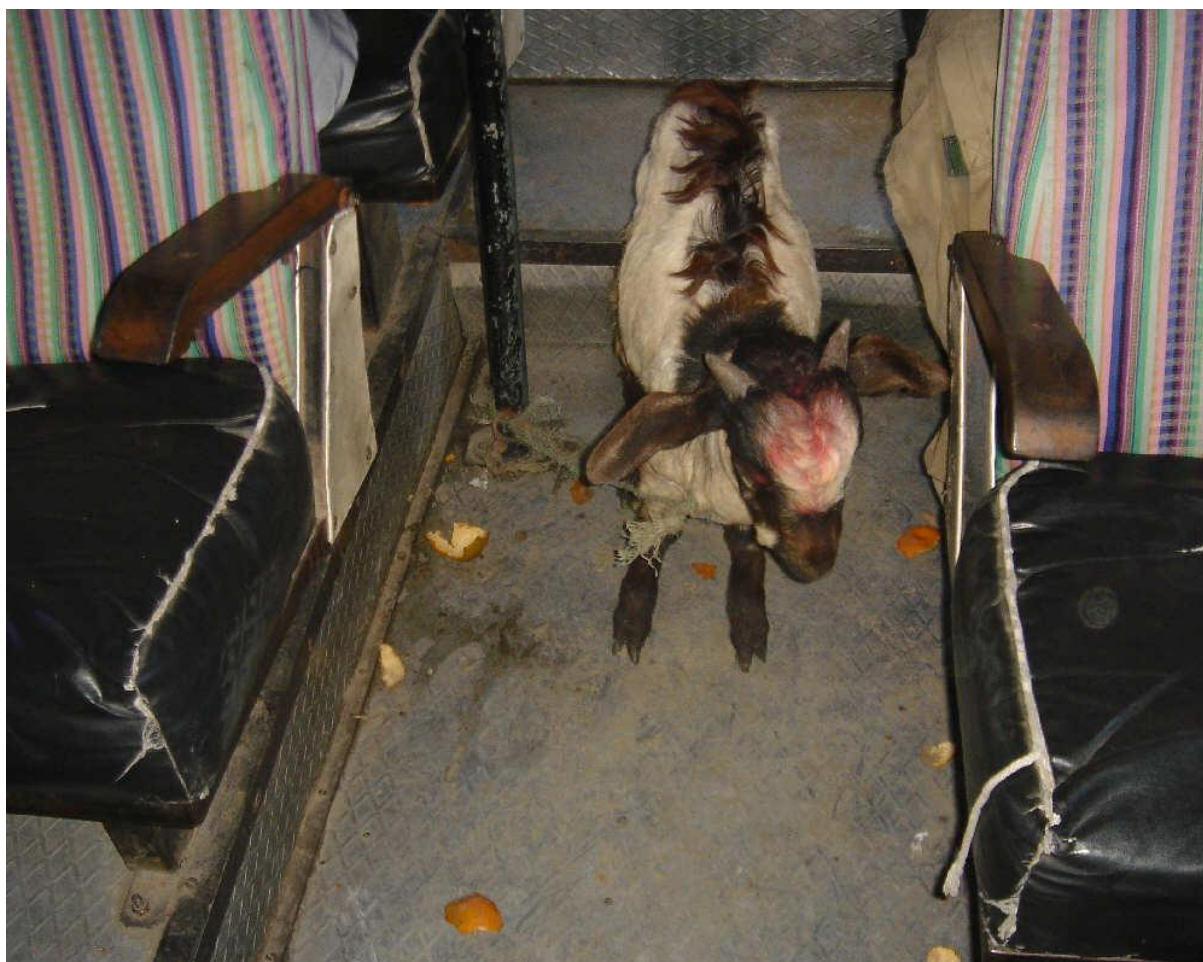
Nepalski government bus z Sonauli do Kathmandu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Gorakhpur miało zawsze złą opinię u mieszkających w Indiach Polaków, którzy nazywali to miasto „Górną Dupą” z racji wszechobecnego tłoku, kurzu, wąskich ulic, hałasu. Wyobraźcie sobie państwo jeden wielki bazar z wąskimi zatłoczonymi uliczkami, w upale i brudzie, z tabunami tnących komarów. A teraz wyobraźcie sobie, że ten bazar ma wiele kilometrów średnicy i jest na nim parę milionów ludzi. No to macie Gorakhpur.

Przez dobre dwie godziny przeciskamy się wąskimi uliczkami w gigantycznych korkach, w porównaniu z którymi warszawskie Aleje Jerozolimskie po kadencji Lecha Kaczyńskiego, jako prezydenta Warszawy (wstrzymał wszystkie inwestycje i nie robił nic), to niemal pieszczota. W porównaniu z Gorakhpur, w Alejach nie było żadnego korka i to o żadnej porze.

W środku Gorakhpur, w naszym jeepie popsuł się klakson, a to w Indiach poważny problem. W tym kraju, jak nie trąbisz, to nie jedziesz. A nawet gorzej. Jeżeli jedziesz bez klaksonu, to jest to podwójnie niebezpieczne. Klaksonem sygnalizuje się wyprzedzanie i nieustępowanie z drogi. Jak nie trąbisz, to mogą cię w najlepszej wierze staranować. Po pół godzinie kombinowania, kierowca daje za wygraną i jedzie bez klaksonu. Jest już coraz ciekawiej. Do normalnego na indyjskich drogach slalomu między arbami, traktorami i rowerami dochodzą nagle uniki przed atakami ogromnych ciężarówek ignorującymi tego, co nie trąbi i gwałtowne hamowania przed samochodami pędzącymi „na czołowe” (kto nie trąbi, ten musi ustąpić). I tak posuwamy się do przodu w kierunku granicy Nepalu.

Kolejny postój „posiłkowy” wypada w przydrożnej jadłodajni krytej trzcinową strzechą wśród pól kukurydzy i ryżu. Tu już standard nie jest niski. Tu standardu nie ma wcale.



Koza w naszym autobusie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wieczorem docieramy do Sonauli. Najpierw indyjska odprawa graniczna. Chcą od nas jakiś kwitów z lotniska w Delhi, ale my takich kwitów nie mamy. Oficer imigracyjny dostaje ode mnie „gift” w postaci długopisu i już kwitów nie chce. Musimy tylko wypełnić istny stos papierów, ale tak już jest. Azja lubuje się w biurokracji, a Indie zwłaszcza. Nasze jeepy nie mogą przekroczyć granicy, więc ładujemy bagaże na riksę rowerową i przekraczamy granicę, na której nikt nas nie sprawdza. Celników nawet nie widziałem.

Kontrole celne na indyjskich granicach są dość powierzchowne z wyjątkiem lotnisk (tu bywa ostro), ale nie dajmy się zmylić. Indyjskie służby celne są dosyć sprawne, tyle że działają na innej zasadzie. Mają prawo dokonywać kontroli na terenie całego kraju i dysponują siecią informatorów, który zwracają uwagę na bagaż podróżnych na dworcach, w hotelach itp. Paru przemytników już się kiedyś mocno zdziwiło, gdy przejechawszy bez przeszkód przez Sonauli, zostali wyłuskani z pociągu w Gorakhpur, 200 kilometrów od granicy.

Jesteśmy już na terytorium Nepalu a dopiero musimy odszukać Immigration Office i dostać wizę. Znowu kupa papierów do wypełnienia. Wiza kosztuje 30 dolarów. Granica w Sonauli jest niemal otwarta i pozornie nikt jej nie pilnuje. Przez graniczną bramę płynie w

obie strony strumień ludzi i pojazdów. Można tu przejść niemal bez kontroli, ale to złudzenie. Dalej cały kraj najeżony jest wojskowymi i policyjnymi *check postami* (posterunkami kontrolnymi), gdzie kontrole są nie tylko dokładne, ale i mało sympatyczne - pod lufami karabinów całkiem na serio nabitych.

Sonauli to zabita dziura, jedna wielka tymczasowość, brudna, zatłoczona, niechlujna. Mamy nocować w Nepal Guest House, a rano czeka nas *government bus* do Kathmandu, czyli lokalny nepalski pekaes, który nawet nie udaje żadnego *lüksu* ani *airconditioned*. Idziemy coś zjeść do jednej z knajpek. Warunki higieniczne tego przybytku są z gatunku „lepiej nie patrzeć” albo „jedz, a nie oglądaj”. Spotykamy tam naszych sympatycznych Rosjan. Są młodym małżeństwem, on jest właścicielem kancelarii adwokackiej w Moskwie, o Putinie mówi otwarcie *durak ifaszist*, a więc zdanie mamy podobne. Wyciągamy piersiówki z whisky i robi się nam wesoło. To nic, że bród, smród i Sonauli, Putin w Rosji, PiS wygrał wybory i partyzanci oraz tygrysy w lesie. Gadamy w przedziwnym języku, mieszaninie słów polskich, rosyjskich, angielskich, a gdy do rozmowy włącza się barman to jeszcze *nepali*. Właściciel knajpy się zainteresował i pyta, co to za język. - *mixed language* - mówię i wzbudzam powszechną wesołość. Młodzi Rosjanie są typowymi „trackersami” jakich spotyka się wędrując po świecie. Zwiedzili Indie, Pakistan i Ceylon, teraz jadą do Nepalu a później do Birmy i Laosu. A dalej się zobaczy... Są już w podróży 10 miesięcy. Dla odmiany Australijka, ok. 50 lat, nauczycielka Oxford English w swoim kraju, z którą jedziemy od Varanasi, podróżuje sama. Zwiedziła południowe Indie, teraz jedzie do Pokhary w Nepalu, a później jeszcze do Dharamsali w północnych Indiach, bo chce zobaczyć Dalajlamę (w Dharamsali znajduje się rząd tybetański na uchodźstwie). Szlaki Azji są pełne takich ludzi i wiedzą oni o Azji znacznie więcej niż niektórzy nasi dyplomaci zamknięci w klimatyzowanych pokojach ambasad.



Góry Sivalik. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wracamy do Nepal Guest House, bo trzeba iść spać. Pokój ma 3x3 metry, bród aż się kłębi, ale dzięki „wesołej wodzie” da się przeżyć.

Przez Nepal i wojnę

Government bus jest koszmarny, to znaczy taki, jak wszystkie rządowe autobusy w biednych krajach Azji, a Nepal jest jednym z najbiedniejszych krajów świata. W dodatku od 10 lat trwa w nim wojna domowa. Nasz autobus to oczywiście stary indyjski TATA, czyli pojazd prawie bez resorów, który prędkość 40 km/godz. osiąga w tylko w sprzyjających warunkach. Mamy nim przejechać ponad 200 kilometrów przez równinę Teraju i pasmo górskie Sivalik, nazywane też Małymi Himalajami. Sivalik to może góry „małe” ale większe niż Karpaty.

Ledwo wyjechaliśmy z Sonauli - stop! *Check post*, rewizja autobusu, kontrola dokumentów. Żołnierze z karabinami M-16 nie wyglądają na takich, co żartują. W poprzek drogi ułożone kamienie i kłody drewna, tak że trzeba jechać slalomem i powoli. Jedziemy dalej przez lasy Teraju. Maoistów nie widać, tylko stada małp przy drodze. Parę kilometrów i - stop! Kontrola, rewizja, wszyscy wysiadać. Nie lubię jak ktoś mi macha nabitą bronią przed nosem, ale co na to poradzę? Autobus posuwa się koszmarnie wolno od posterunku do posterunku. Wjeżdżamy w góry i zaczynają się piękne widoki na dolinę Bakhmati River. Przez chwilę widać nawet z daleka ośnieżone szczyty Ganesh Himal. To poprawia nastrój.



Nasi rosyjscy przyjaciele jedzą dalbat w drodze do Kathmandu. Fot. Krzysztof Łoziński

Naszym autobusem podróżuje koza przywiązana do siedzenia. Na jednym z postojów robię jej zdjęcie wzbudzając wesołość Nepalczyków. Zapewne myślą, że ten biały nie widział kozy. A ja myślę, że w moim kraju kozy nie podróżują autobusem. Przejście między siedzeniami zawałone jest workami z czymś. Te worki, raz z ryżem, raz z cementem, raz z

herbatą, cały czas są ładowane i wyładowywane, bo jadą z nami jacyś dostawcy od wsi do wsi. W miejscach wolnych od worków stoją taborety, na których siedzą ludzie. Jedzie z nami na taborecie listonosz z workami poczty do Kathmandu. Jednym słowem wesoły autobus. „Pędzisz pan 30, chciałoby się 40”, jak mawiał Edward Dziewoński w jednym ze skeczów. Czym bardziej wjeżdżamy w góry, tym potężniejsze stają się posterunki. Tu już wyraźnie widać atmosferę wojny. Walce Browna z drutu kolczastego, betonowe bunkry obłożone workami z piaskiem, ciężkie karabiny maszynowe na stanowiskach, a facet trzymający palec na spuście bynajmniej nie dłubie w nosie. Na jednym z posterunków, wysoko na zboczu bunkier z działkiem Vulcano. To straszna broń - 6 tysięcy pocisków na minutę. Jak mawiał pewien szkoleniowiec najemników w dalekim kraju - „zegniesz palec, a facet ma więcej dziur, niż tego między nimi”. Nie ma żartów, nikt nie wystawia takiej broni, ot tak, dla picu. Tu jest prawdziwa wojna. - Jest problem z maoistami - powiedział hotelarz z Varanasi. Rzeczywiście jest.



Kathmandu z naszego balkonu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Pod wieczór autobus pnie się w górę po niesamowitych serpentynach, by przekroczyć grań, za którą leży dolina Kathmandu. Tuż przed zjazdem w dolinę postój. Wsiada kilku ludzi a jeden z nich wali prosto do mnie:

- Mister Lozinsky? I have a car to hotel for you!

To się nazywa organizacja pracy hotelarstwa! Faceci w Kathmandu już wiedzą, że jedzie tu z Varanasi Mister Lozinsky z kobietą i trzeba ich przejąć jeszcze przed wjazdem do miasta, bo Mister Lozinsky jest w Nepalu ósmy raz i da sobie radę. Mogłoby mu przyjść do głowy pojechanie do innego hotelu, więc trzeba interesu dopilnować. Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, by się nami zajęli. Zamiast płatać się po Thamelu (dzielnicy Kathmandu) i szukać noclegu, jedziemy na gotowe.

Hotel Encounter Nepal, do którego trafiliśmy, jest po trudach podróży istną oazą dobrobytu. Duży czysty pokój, ciepła woda, wanna, natrysk, restauracja w ogrodzie, kawiarenka internetowa. Rano wychodzę na balkon, chłodne, prawie mroźne powietrze, czyste niebo i... Himalaje przed nosem!

Warto było się dwa dni tłuc przez 600 kilometrów indyjsko-nepalskich dróg, Gorakhpur i Sonauli. Nawet te wycelowane w nas lufy M-16 im wybaczam i tę kożę w autobusie.



Posąg Buddy w Swayambhunath. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kathmandu - Nagarkot - Bakhdapur - Patan - Kathmandu, czyli Nepal

Strzały w Nagarkot

Po pierwszej chłodnej nocy w Kathmandu wstaje piękny pogodny dzień. Chcę iść na zakupy do miasta, podczas gdy Agnieszka jeszcze śpi. Zawsze, za każdym pobylem w Indiach, Nepalu, Pakistanie i innych krajach regionu, tak robiłem. Szedłem do najbliższego straganu i kupowałem owoce, głównie banany i mandarynki, na śniadanie. Tym razem jednak nie chcą mnie wypuścić z hotelu. W mieście trwają rozruchy.

Wracam niemal biegiem po aparat i wyjaśniam Ghurce na bramie, że jestem dziennikarzem i że widziałem już parę wojen w dalekich krajach, nic mi ni będzie i na pewno sobie poradzę. Nie jest specjalnie przekonany, ale otwiera.

Na najbliższym skrzyżowaniu płoną opony. Tłum rzuca kamieniami. Po drugiej stronie szpaler policji w hełmach i z tarczami. Zupełnie jak za wojny polsko-jaruzelskiej. Nic nie mogę kupić, bo wszystkie sklepy są zamknięte. Początkowo myślę, że z powodu rozruchów sklepikarze chronią swój towar. Ale nie, jest strajk powszechny. Od strony Rani

Pokhari widzę dym. To manifestanci podpalili kilka sklepów, które nie zastosowały się do strajku. Przed pałacem królewskim policja i wojsko z bronią maszynową, ale nikt ich nie atakuje.

Robię zdjęcia i idę w stronę Durbar Square. To najważniejsze miejsce w mieście. Jeśli chcę się dowiedzieć, co się dzieje, to na pewno dowiem się tam.



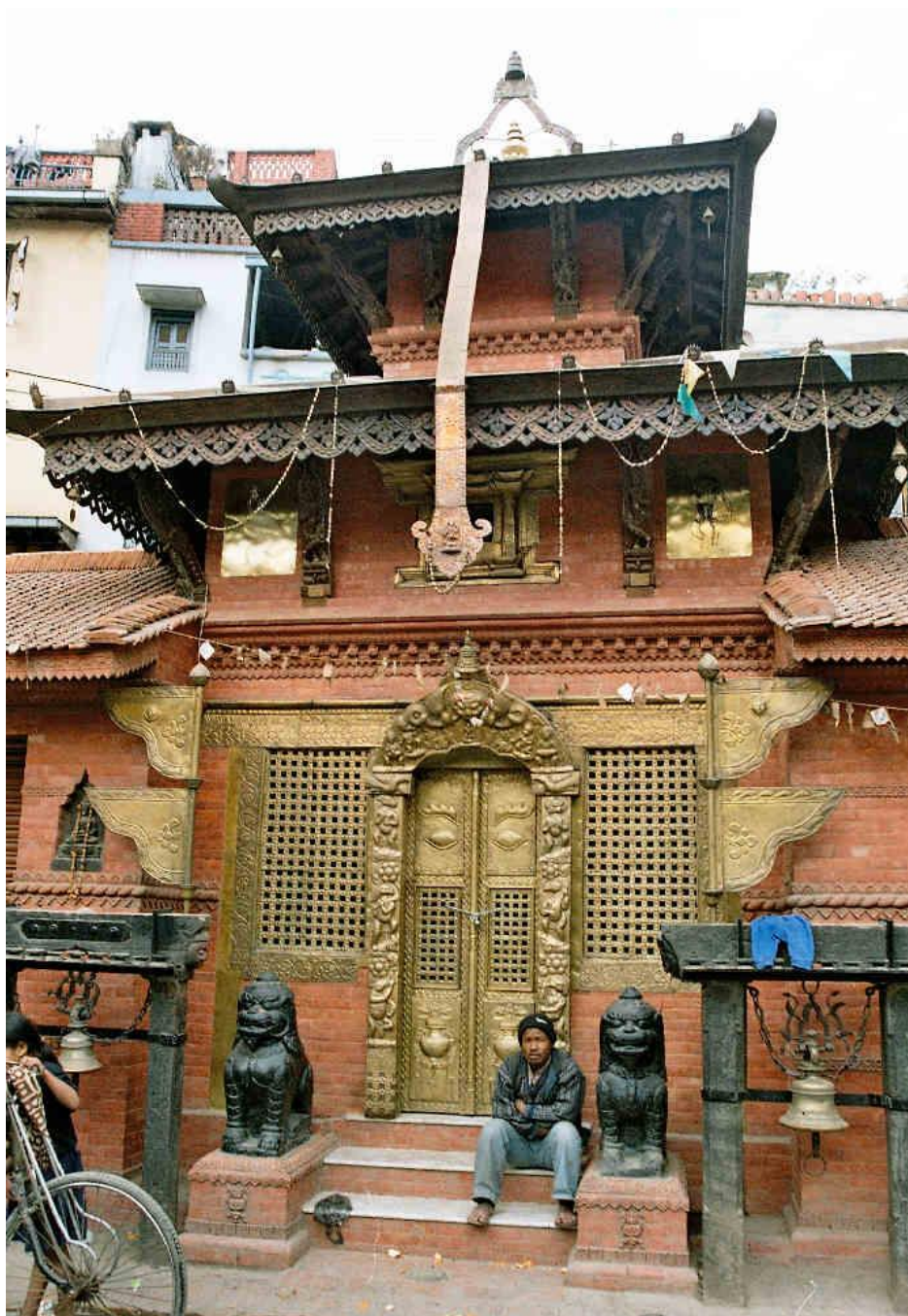
Loziński Demonstracje w Kathmandu na Durbar Square. Fot. Krzysztof.

Czym bliżej Durbar Square, tym większy tłum. Policja zachowuje dystans, blokując tylko ważniejsze skrzyżowania. Widzę trzy osoby w koszulkach obserwatorów ONZ. Mówią mi, że przedwcześnie jeden policjant w Nagarkot zastrzelił człowieka, z którym miał osobiste porachunki, a ponieważ rząd nic nie zrobił, to sojusz 7 partii politycznych ogłosił strajk. Coś mi się to nie wydaje możliwe. Powód zamieszek musi być poważniejszy, a to, że obserwatorzy ONZ są najgorzej poinformowani ze wszystkich, też już w paru krajach widziałem. To, co mówią, to wersja rządu. Demonstranci mają swoją: w Nagarkot wojsko dokonało masakry cywili. Każdy jednak w emocjach mówi co innego. Prawda wyjaśni się zapewne za kilka dni.

Czasem tak się zdarza, że człowiek zupełnie przypadkiem staje się świadkiem historycznych wydarzeń w dalekich krajach. Mnie się to już zdarzyło dwa razy. Raz, w Afganistanie, byłem przypadkowym świadkiem wkroczenia do tego kraju wojsk ZSRR, od czego zaczęła się trwająca łącznie 23 lata wojna. Drugi raz, w Pekinie, byłem świadkiem początku studenckich demonstracji w 1989 roku, zakończonych masakrą ludności Pekinu przez wojsko, która przeszła do historii jako „wydarzenia na placu Tananmen”. W obu przypadkach było podobnie: człowiek coś widzi, nie bardzo wie, co, a później się orientuje, że to się dzieje historia. Podobnie było i w tym przypadku. Pierwsze rozruchy w Kathmandu i masakra w Nagarkot, zapoczątkowały trwający blisko pół roku bunt społeczny przeciw

despotyzmowi króla Guaniendry zakończony znacznym ograniczeniem władzy królewskiej, przywróceniem demokracji i zawieszeniem broni w wojnie z maoistami.

Na razie jednak jest dopiero początek nepalskiej rewolucji i jedno co wiem, to że nasz kilkudniowy pobyt w Nepalu może być nieco zbyt „atrakcyjny”. Na szczęście wkrótce stąd wyjeżdżamy, bo znam też mechanizm takich dziejowych pułapek. Na początku ludzie nie uciekają, „no bo właściwie nic takiego się nie dzieje”, a gdy zaczyna „się dziać”, na ucieczkę jest już za późno. Pod koniec tej rewolucji turyści byli praktycznie uwięzieni w Kathmandu, w mieście nie było już co jeść, brakowało wody pitnej (oczywiście były rzeki-ścieki cuchnące na kilometr), trwały walki już na ostrą amunicję a wszystkie drogi zablokowali partyzanci. Oczywiście była jeszcze komunikacja lotnicza, ale trzeba było mieć bilet i przebić się na lotnisko.



Kaplica na Thamelu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Idziemy zwiedzać

Skoro są rozruchy to można za darmo zwiedzić Durbar Square (Plac Koronacyjny). Normalnie obowiązuje opłata 250 rupii nepalskich od osoby. Po śniadaniu, gdy sytuacja w mieście jest już spokojniejsza, idziemy zwiedzać zabytki.

Kathmandu jest jednym z najbardziej niesamowitych miast świata pod względem nagromadzenia zabytków. Kapliczki z III wieku przed naszą erą, świątynie z VI i VII wieku, buddyjskie stupy pamiętające średniowiecze, to wszystko jest ciągle żywe, używane. W świątyni Kumari ciągle mieszka święta dziewczynka, mający ponad dwa tysiące lat posąg Hannumana jest co roku odmalowywany na nowo. Centrum tego wszystkiego to Durbar Square, czyli Plac Koronacyjny przed Starym Pałacem Królewskim. Sam pałac jest niedostępny, bo ciągle urzęduje w nim król, choć ma także nowy, luksusowy pałac koło Rani Pokhari (wielkiego sztucznego i oczywiście świętego jeziora w środku miasta).

Według legendy, kiedyś Dolinę Kathmandu otaczały góry i wypełniało wielkie Jezioro Węży. Budda Wispaśji, idąc z miasta Bandhumati, wrzucił do niego nasienie lotosu, z którego wyrósł kwiat, a nad nim ukazał się błękitny płomień. Bodhisattwa Mańdżuśri, który przywędrował tu z Chin, ognistym mieczem rozciął góry i wody odpłynęły z nurtem Bagmati do świętego Gangesu. Uczniowie Mańdżuśrego wzniesli miasto Mańdżupatan (dziś Patan), które później stało się częścią Kathmandu. Prawdziwa historia Nepalu i jego stolicy nie jest dobrze poznana. Wiemy, że wzmianki o mieście w dolinie na południe od Himalajów można znaleźć w chińskich księgach z III wieku przed naszą erą. Wiemy, że najstarszy obiekt w świątyni Pasupatinath, czerwony kamień przypominający kształtem byka Shivy, pochodzi z VI lub VII wieku przed naszą erą. Pewne wzmianki o Nepalu znajdujemy w indyjskim eposie Ramajana, ale trudno to uznać za historię. Bo czegoż tu nie ma? Czarny demon, który podstępem wydosłał od Shivy jego potężną moc, zwinął powierzchnię ziemi jak dywan. Shiva wezwał na pomoc boga zachowawcę świata Wishnu, który zamieniwszy się w wielkiego dzika urwał demonowi głowę kłami i przywrócił życie na ziemi. W kosmicznej bitwie brał udział półczłowiek-półtak Garuda, a o Nepalu jest tam tyle, że był, bo właśnie z Nepalu król małp Hannuman prznosił góry z Himalajów, gdy małpy budowały most na Ceylon, dzięki czemu książę Rama przeprawił się na Świętą Wyspę (Sri Lanaka) i pokonał demona Rawanę. Jak to streścił jeden z moich kolegów: „Rama nawalił Rawanę przy pomocy Hannumana i stąd jest Ramajana”.

Zachowana wersja (wcale nie najstarsza) eposu Ramajana (co znaczy: Droga Życia Ramy) pochodzi z IV wieku przed naszą erą, ale jego początki, podobnie jak początki Biblii, toną w pomroce dziejów. Początki królestwa Nepalu też.

Najstarsze konkretne fakty historyczne, jakie znamy, to podbój Nepalu przez indyjskiego władcę Aśokę w III wieku przed naszą erą. Po upadku dynastii Mauriów (tej z której był Aśoka) w 185 roku naszej ery, Nepal pozostawał w zależności od państw indyjskich, a od połowy VII wieku od Tybetu. Dopiero w XIII wieku rządy w Nepalu objęła miejscowa dynastia Malla narodu Newarów. Król Dżajashiti z tej dynastii (panował w latach 1380-1400) doprowadził kraj do rozkwitu, między innymi skodyfikował prawo i wprowadził system kastowy na wzór hinduistyczny. W końcu XV wieku Nepal rozpadł się na cztery państewka-miasta (położone zresztą bardzo blisko siebie, w obrębie 50 kilometrów). Były to Benepa, Kathmandu, Patan i Bhadgun (dziś Bhagtapur). Od końca XVIII wieku w Nepalu władza dynastia Szah, czyli Gurkhowie. W 1959 roku odbyły się pierwsze w historii Nepalu

wybory parlamentarne, które wygrał Nepalski Kongres Narodowy. Droga Nepalu do demokracji jest jednak długa i kręta. Jak widać nie zakończyła się pełnym sukcesem do dziś, choć po „zimowej rewolucji” (2005-2006) Nepal był tak blisko rządów demokratycznych, jak nigdy dotąd.

Wróćmy jednak do Kathmandu. Dzisiejsza stolica Nepalu jest wielkim miastem liczącym 1,2 miliona mieszkańców. Kathmandu całkowicie już wchłonęło Patan. Położony 20 kilometrów od centrum Kathmandu, Bhaktapur jest dziś maleńkim, choć bardzo ciekawym i bardzo zabytkowym miasteczkiem. Czwarte miasto-państwo, Banepa, jest dziś całkowicie zapomnianą dziurą, którą turyści jadący autobusem w kierunku Lamosangu i dalej do przejścia granicznego z Tybetem w Kodari Pass lub do Cherikot i Jiri, po prostu mijają bez zatrzymania. Ot senne maleńkie miasteczko 30 kilometrów za Bhaktapur.

Wycieczka do Nagarkot

W Nagarkot coś się wydarzyło, a na temat tego, co właściwie się wydarzyło, krążą spreczne wersje. W Nagarkot jest też najbliższa od Kathmandu (tylko 40 km) platforma widokowa, z której widać Himalaje. Oczywiście z samego Kathmandu też widać Himalaje, ale widać tylko same wierzchołki grupy Ganesh Himal i to nie wszystkie. Resztę zasłaniają bliższe i dużo mniejsze góry.

Wniosek z tego wszystkiego prosty - jedziemy do Nagarkot zobaczyć Himalaje i zobaczyć „co jest grane”. W hotelu oferują na samochód do Nagarkot za 3 tysiące rupii, więc bierzemy taksówkę z miasta za 1.500. Kierowca jest młody i rozmowny. Wypytuje mnie o nazwy himalajskich ośmiotysięczników i cieszy się jak dziecko, że większość z nich znajduje się w Nepalu, w tym najwyższy szczyt na ziemi Sagarmatha, zwany przez świat zachodni Everestem. Jest wyraźnie nepalskim patriotą dumnym ze swego kraju, choć biednym.



W drodze do Nagarkot. Fot. Krzysztof Łoziński.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy natrafiamy na posterunek wojskowy. W poprzek drogi betonowe bariery, druty kolczaste. Z bunkra powyżej celuje w nas CKM. Podchodzi dwóch żołnierzy. Jeden staje naprzeciw samochodowi i kieruje w nas lufę M-16. Dopiero wtedy drugi podchodzi do kierowcy. Kierowca musi wysiąść i pójść z nim na posterunek. W tym czasie drugi trzyma nas na muszce. Kierowca wraca po 10 minutach i ruszamy dalej slalomem pomiędzy betonowymi zaporami.

Kilka kilometrów dalej mijamy patrol. Około 30 żołnierzy idzie w kilkumetrowych odstępach po dwóch stronach drogi. Broń w ręku, gotowa do strzału. Oczy bacznie obserwują okolicę. Tak się patroluje w warunkach wojny. Duże odstępy między żołnierzami są po to, by nie można było ich skosić jedną serią lub jednym granatem. Jeszcze kilka kilometrów i mijamy kolejny patrol.

10 lat temu maoiści wyszli z parlamentu i wybrali drogę walki zbrojnej. Dziś, jak widać, są nawet u wrót stolicy. Ich przywódca używający pseudonimu „Prachendra”, co znaczy „Straszny” ma dość prosty plan. Wszyscy mają być równi i pracować na roli, miasta mają być zlikwidowane, pieniądze też. Identyczny program mieli Czerwoni Khmerzy w Kambodży. Skończyło się to wymordowaniem 1,7 miliona ludzi z 6-cio milionowego wówczas narodu. Zlikwidowano nawet nazwiska zastępując je numerami. Przywódca, Saloth Sar nazywał się Pol Pot, czyli „Brat nr.1.” W pierwszym etapie też wspierały go Chiny, podobnie jak „Prachendrę” w Nepalu. Wspierał go też Związek Radziecki, a wyszkoliła Francuska Partia Komunistyczna.

W tej wojnie nikt nie jest czysty (a w której jest?). Maoiści, jak wszyscy komuniści świata, mordują, rabują i gwałcą. Opornych chłopów siłą wcielają do swej armii, a tych, co się bardzo stawiają, po prostu zabijają. A później przylatują królewskie helikoptery i palą wieś napalmem jako „sprzyjającą partyzantom”. Turystów w zasadzie nikt nie atakuje, ale partyzanci pobierają od nich „podatek na rewolucję” w wysokości 25 dolarów. Co głępsi turyści się z tego cieszą i traktują partyzanckie pokwitowania jak pamiątki z podróży.



Nagarkot. Widok na Himalaje (Ganesh Himal). Fot. Krzysztof Łoziński.

W Nagarkot panuje spokój. Nic nie wskazuje na tragedię sprzed paru dni. Fotografujemy wspaniałą panoramę Himalajów od Ganeshów po lewej po Numbur na granicy Rollwalingu i Solo Khumbu po prawej. Jedyнным widocznym ośmiotysięcznikiem jest Shisha Pangma po stronie tybetańskiej, ale jest tak daleko, że widać ją jako małą białą kopkę na horyzoncie. Najbardziej okazale wygląda stąd Langtang Lirung, bo jest najbliżej.

Wreszcie wiemy, co się w Nagarkot stało. 16 grudnia odbywał się tu festyn religijny. Żołnierz z patrolu dostał się między tańczący tłum i wpadł w panikę. Pamiętajmy, że ci żołnierze żyją w ciągłym oczekiwaniu na atak. Spanikowany żołnierz zaczął krzyczeć, by ludzie się od niego odsunęli, ale rozbawiony tłum tancerzy nie zważał na te krzyki. W końcu żołnierz zaczął strzelać. Seria z Colta M-16 zabiła 12 osób a 19 raniła. Na plac wpadli mnisi buddyjscy z nożami i zasztyletowali zabójcę. Ten incydent zapoczątkował falę rozruchów antyrządowych, która przekształciła się w „zimową rewolucję” zakończoną znacznymi ustępstwami ze strony króla, przywróceniem demokracji i nawet zawarciem rozejmu z maoistami. Na jak długo? W ucywilizowanie maoistów nie wierzę. Nie wierzę w komunistów, który zrezygnują z dochodów z rabunku i ich mocodawców z Pekinu, którzy zrezygnują z planów podboju. Ale tu wybiegliśmy w przyszłość. Na razie jest grudzień 2005 roku, rewolta dopiero się zaczyna (i nie wiemy, czym się skończy), partyzanci są jeszcze w lesie.



Langtang Himal widziany z Nagarkot. Fot. Krzysztof Łoziński

Wracamy do Kathmandu zahaczając po drodze o stare miasto królewskie Bakhdapur i Patan. To wręcz nieprawdopodobny natłok wrażeń, jak na jeden dzień. W Patanie rozstajemy się z naszym kierowcą, który koniecznie chce się z nami umówić na jutro. Przy rozliczeniu, Agnieszka postanawia dać mu „premię” 300 rupii, bo czekał na nas w Nagarkot i Bakhdapur i w ogóle był sympatyczny. Przez pomyłkę daje mu jednak rupie indyjskie a nie nepalskie.

Rupie indyjskie są o 1/3 więcej warte niż nepalskie. Ten drobny błąd miał mieć konsekwencje nazajutrz.

Sawayambhunath i Pasupatinath (Świątynia Małp i Świątynia Shivy)

Rano zjawia się nasz kierowca. Mamy z nim jechać do Świątyni Małp (Sawayambhunath) i Świątyni Shivy (Pasupatinath). Zaśpiewał cenę 1500 rupii, tyle samo co za jazdę do Nagarkot. Tyle, że Nagarkot jest o 40 kilometrów dalej niż Pasupatinath. To skutek wczorajszej pomyłki Agnieszki i dania mu 300 rupii indyjskich ekstra. Facet po prostu uznał, że można nas doić. Rozstajemy się z nim w nieprzyjemnej atmosferze. Niech nie myśli, że jest jedynym taksówkarzem w Kathmandu. Rzeczywiście, następnego dnia pojechaliliśmy do Pasupatinath za 150 rupii, dziesięć razy mniej niż zaśpiewał nasz kierowca. Tyle tylko, że popsuł nam humor. Jeszcze wczoraj wydawał się sympatyczny i godny zaufania.

Dziś odpuszczamy jazdę. Do Sawayambhunath pójdziemy piechotą. To nie jest bardzo daleko. Gdy jedliśmy śniadanie w hotelowym ogrodzie, było nam ciepło, więc wyruszymy lekko ubrani. I to był błąd. Ogród był w słońcu a wąziutkie uliczki Thamelu toną w cieniu. Kathmandu leży dosyć wysoko a jest druga połowa grudnia. Zaczynamy marznąć. Martwię się o Agnieszkę, bo jest mocno przeziębiona i to zimno jest nam potrzebne akurat jak przyszcz na... no wiecie państwo.



Stupa Charumati przy Ring Road w Kathmandu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Idziemy starymi wąziutkimi uliczkami i staramy się nie marznąć, aż w końcu kapitulujemy. Wchodzimy do jednego ze sklepów i kupujemy szal kaszmirski. No i po kłopotcie.

Sawayambhunath to spora i bardzo stara buddyjska stupa wzniesiona na stromym wzgórzu. To wzgórze ma prawie sto metrów wysokości. Prowadzą na nie kamienne schody, które stają się coraz stromsze. W końcu są tak strome, że niektórzy ludzie podpierają się rękami. Choć jestem alpinistą, to czuję podejście w nogach i w płucach. Dla Agnieszki to za dużo. Poczekaj na mnie na dole.

Pod sam koniec - bramka - turysto płać! Patrzcie państwo, jakie cwane. Na dole turysta mógłby się rozmyślić, ale jak już wlaźł sto metrów do góry po piekielnych schodach, no to już zapłaci. Bulę 50 rupii (jakieś 2 złote w przeliczeniu na polskie).

Świątynia jest niebywale piękna. Oczy Buddy patrzą na cztery strony świata spod złotego hełmu nad białą kopułą stupy. Z iglicy na wszystkie strony spływają kolorowe girlandy chorągiewek modlitewnych. Wokół istne stado czortenów, rzeźb, kapliczek, świątynek, no i, oczywiście, sklepy z pamiątkami. Jakże by nie? Z góry rozległy widok na Kathmandu i Himalaje.



2600 lat temu ludzie uznali, że ten kamień przypomina byka Shivy. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kolejny dzień to wycieczka do Pasupatinath, jednej z najstarszych świątyń w mieście. Najstarszy obiekt w tym miejscu wyceniono na VI-VII wiek przed naszą erą. Po drodze mijamy lotnisko i zwraca moją uwagę jego ochrona. Kiedyś to był zwykły płot z siatki a teraz istna forteca - wieże strażnicze, bunkry, zasieki. A jeszcze kilkanaście lat temu ludzie po odprawie wylazili przez zwykłe drzwi na płytę, bo w hali odlotów było gorąco. Obok był ten płot z siatki, a w nim dziura. Za dziurą, już w mieście, stragan z napojami. Pasażerowie po odprawie wylazili więc przez dziurę do tego straganu, kupowali limkę lub coca-colę, po czym bez żadnej odprawy wracali na tranzyt. W Kathmandu można było wnieść do samolotu nawet małą armatę, byle nie wystawała spod płaszcza. Jeśli dziś specjaliści od terroru głowią się skąd się teraz bierze taka ilość zamachów na samoloty, to trzeba sobie przypomnieć takie lotniska w krajach trzeciego świata sprzed kilkunastu lat. To na nich terroryści zaczęli wносить broń do samolotów.

Kathmandu - Sonauli - Gorakhpur – Amritsar

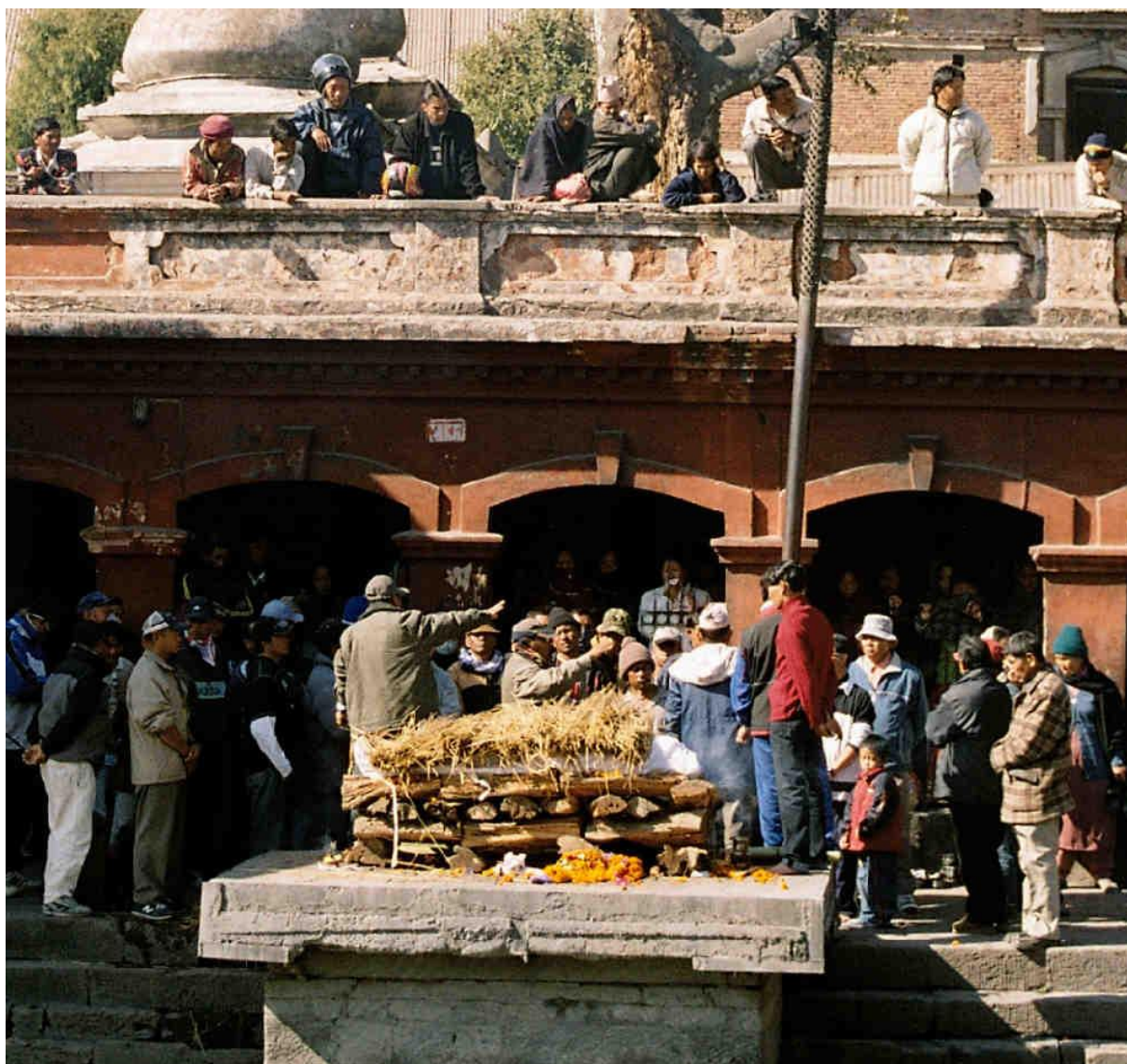
Ostatni dzień w Kathmandu to świątynia Shivy w Pasupatinath. Już przy wejściu widzimy osobliwy tłumek, grupę ludzi z wielkim białym transparentem, na którym nie ma żadnego napisu ani rysunku. To symbol buddyjskiego pogrzebu a raczej kremacji.

Ploną stosy nad Baghmati



Przygotowanie do kremacji. Fot. Krzysztof Łoziński.

Przez świątynię w Pasupatinath przepływa święta rzeka Baghmati, nad której brzegiem odbywa się kremacja ciał zmarłych w Kathmandu i okolicy. Baghmati w tym miejscu to ledwie cieknąca struga i raczej daleka od czystości. Idziemy na taras nad terenem kremacji. Bezpośrednio na ten brzeg rzeki zejść nam nie wolno. Pod nami dopalają się trzy stosy. Dym dochodzi nawet do nas. Zwyczaj są tu inne niż w Indiach. Kremację wolno fotografować, tyle że z daleka. Przenosimy się na drugi brzeg rzeki i obserwujemy przygotowania do pogrzebu. Robotnicy świątynni i kapłani układają ciało na stosie. W tym momencie zostaje ono zasłonięte tym białym transparentem przed oczami bliskich. Jest to takie białe prześcieradło na kijach. Bliscy zmarłego nie widzą teraz, co się dzieje przy stosie, ale my z drugiej strony rzeki (odległość jakieś 20 metrów) widzimy doskonale. Kapłani rozcinają i usuwają ubranie. Na stosie leży nagie ciało. Zostaje owinięte w biały całun, przykryte wiązkami słomy i kłódami drewna. Teraz jeden z kapłanów podkłada wiązki słomy pod spód stosu. Dopiero teraz usunięta jest biała płachta i bliscy zmarłego znów są przy nim. Ciało jest właściwie niewidoczne poza głową i stopami wystającymi na dwóch końcach stosu. Dwaj mali chłopcy, chyba synowie zmarłego, w towarzystwie dorosłego mężczyzny okrążają stos i podkładają ogień. Nawet z tej odległości widzę, że chłopcy są tym bardzo zestresowani, bardzo to przeżywają. Ale cóż? Taki jest tu wymóg religijny. Stos ojca musi podpalić syn.



Stos gotowy. Fot. Krzysztof Łoziński.

Po naszej stronie rzeki, na szerokich schodach siedzi już spora liczba przygodnych widzów. Choć wolno fotografować, robię zdjęcia tak, by nikt nie zauważył. Nie czekamy aż stos się wypali, trwa to około 3 godzin.



Płonący stos pogrzebowy. Fot. Krzysztof Łoziński.

Idę jeszcze na świątynną górę zobaczyć najstarszy kamień Kathmandu. 2600 lat temu ludzie uznali, że pewien kamień jest podobny kształtem do siedzącego byka Shivy i postavili go w tym miejscu. Od 26 wieków malują go czerwoną farbą i palą przed nim kadzidła. A poza tym, kamień jak kamień.

To nasz ostatni dzień w Kathmandu. Wieczorem wyjeżdżamy z Nepalu. Chcemy jeszcze odwiedzić Bodha Stupa, czyli największą stupę buddyjską na świecie. Przedzieramy się dłuższy czas na piechotę potężną obwodnicą Kathmandu, Ring Road. Jest to bardzo męczące. Hałas, spaliny, kurz... wreszcie wymiękamy. Nie da się za jednym pobytem zwiedzić wszystkiego. Wracamy na Thamel.

Ostatnie pierożki momo

Ostatni wieczorny spacer po Thamelu. Kupuję sobie piękną kurtkę z wełny jaka za sumę wartą w Polsce najwyżej koszulki polo. Zaopatrujemy się w prezenty dla rodzin i wreszcie ostatni raz idziemy do maleńkiej knajpki, w której parę dni temu wykryliśmy wyjątkowo pyszne pierożki momo. I tu niespodziewanie spotykamy Polaków. Andrzej i Piotr Ptak z Wrocławia, ojciec i syn, są takimi samymi włóczęgami jak my, co nie mogą spokojnie w ojczyźnie wysiedzieć na tyłku, tylko ich miota po świecie. Szybko nawiązujemy porozumienie. Andrzej Ptak był kiedyś na wyprawie himalajskiej z Krzysiem Wielickim. Piotr od paru miesięcy buszuje po Azji. Ojciec przyjechał do Kathmandu, by się z nim spotkać. Włóczykije zawsze się dogadają. Podobnie jak my nie uznają biur podróży, drogich hoteli, rezerwacji hoteli, autokarów. Piotr był tym razem w Pakistanie i Indiach a dalej jedzie do Birmy, Laosu, Wietnamu, Kambodży i Tajlandii. Tacy ludzie wracają do kraju tylko po to, by ciężko pracując zarobić na kolejną włóczęgę po świecie. Ta pasja jest nieuleczalna. Od naszej podróży po Indiach i Nepalu nie minął jeszcze rok, a już zaliczyliśmy Tajlandię i Kambodżę. Rok później Peru, Amazonię i Andy. I w podobnym stylu - bez żadnego biura podróży, rezerwacji hoteli, w nieznane. I znów zobaczyliśmy rzeczy, których klienci Orbisu, Vinga, Tui i tym podobnych instytucji nie zobaczą i nie przeżyją nigdy, choćby wyłożyli nie wiem jaką górę kasy.



Kathmandu, Thamel. Fot. Krzysztof Łoziński.

Horrorystyczny wesoły autobus

Około godziny 22 jedziemy na dworzec autobusowy w Kathmandu. Tutejszy Pekaes, czyli government bus, zabierze nas do Sonauli (granica), skąd rano mamy kolejny government bus, tyle że indyjski, do Gorakhpur. Ale to dopiero początek kolejnej tury podróży. Z Gorakhpur mamy pociąg, 21 godzin jazdy, do Amritsaru oddalonego od Goprakhpur o 1200 kilometrów.

No to czeka nas wyrupa - półtorej doby w drodze.

Autobus pnie się serpentynami przez góry Sivalik. Na drodze panuje ogromny ruch, a w autobusie ogromny tłok. W przejściu pośrodku ludzie siedzą na dostawionych drewnianych stołkach. Niektórzy stoją. Cała podłoga zavalona jakimiś workami (rano zorientuję się, że jest to pocztą). Około północy zaczyna się korek. Podjeżdżamy po kilkadziesiąt metrów i stop. Wreszcie grzęźniemy na dobre. Kierowca zjeżdża na pobocze i zarządza „przerwę na spanie”. Nie można się dowiedzieć, o co chodzi, bo nikt poza nami nie posługuje się tu angielskim, a mój nepali jest daleki od doskonałości. W nocy wychodzę na zewnątrz na siusię i słyszę dziwnie znajome dalekie odgłosy: puk puk puk, tratata, tratata... Grają powolne serie z WKM-ów i szybkie z CKM-ów i karabinków automatycznych. No nieźle. Na szczęście gdzieś daleko.

Wracam do środka i nic nie mówię Agnieszce. Nic jej ta wiedza nie pomoże, a tylko by się denerwowała. Rano, już w Sonauli, dowiemy się, że trwała nocna bitwa między armią, a maoistami.

Nad ranem ruszamy. Już wiem, że szanse zdążenia na pociąg z Gorakhpur mamy niewielkie. Jedziemy drzemiąc. Jest już jasno, gdy wjechaliśmy na dworzec autobusowy w Simra i stoimy. Stoimy, stoimy i nagle orientuję się, że ludzie z naszego autobusu gdzieś się podziali. Jesteśmy sami. Wypadam na zewnątrz i widzę, że wszyscy przesiedli się do innego autobusu. W łamanym nepali dopytuje się, co jest grane.

- Chhemaa garnos sati, Sonauli hoina, Birgain hoina - stara się mi przekazać kierowca (Bardzo przepraszam przyjacielu, Sonauli nie, Birgain nie).

Cholera, ten autobus dalej nie jedzie! Do granicy jest 50 kilometrów!

Pokazuję na ten drugi autobus:

- Kahaa samma? - wygrzebuję z pamięci pojedyncze słowa w nepali (ten dokąd?).
- Sonauli hoina, Birgain ho (Sonauli nie, Birgain tak).

A niech ich cholera. Mamy bilety do Sonauli ale nikogo to nie obchodzi. Autobus skończył trasę w Simra. Drugi jedzie do Birgain, to bliżej granicy, ale jeszcze nie granica. Trudno, trzeba jechać do Birgain i czort wie, co dalej.

Przenosimy bagaż do drugiego autobusu a raczej na jego dach. W środku wszystkie miejsca już zajęte, tłok niemiłosierny. Dostają azjatyckiej furii i najgorsze wyrazy powtarzając po kilka razy (w lokalnych językach też) wywalczam miejsce siedzące dla Agnieszki. Sam będę stał półwisiąc. Oczywiście musimy kupić kolejny bilet, bo nasz bilet do granicy nikogo już nie obchodzi - był na tamten autobus.

Autobus, zapchany po brzegi i jeszcze trochę, niemiłosiernie się wlecze przez równinę Teraju. Patrzę na zegarek i konstatuje, że nasz autobus do Gorakhpur po indyjskiej stronie dawno już odjechał. Agnieszka pyta, jak wytrzymuję na stojąco w niewygodnej pozycji.
- Jestem wyćwiczony w 517 - mówię.

517 to warszawski autobus jadący przez Aleje Jerozolimskie. Przypominał chwilami nepalski government bus (wówczas, w 2005 roku).

Wreszcie jesteśmy w Birgain. Bierzymy dwie riksze rowerowe (ze względu na bagaż nie zmieścimy się w jedną) i jedziemy w kierunku Sonauli. W końcu to już tylko kilka kilometrów. Tak oto państwo sahibowie, mając kupione bilety na całą trasę, jadą rikszami po drodze państwowej w Nepalu gubiąc co chwila „łańcuchy od rowera”. Skąd ja to znam? Z całej Azji. Tym się ona między innymi różni od Europy.

Nawiasem mówiąc to jeszcze nie najgorszy wariant. Kiedyś w Chinach zostałem wraz ze wszystkimi pasażerami wysadzony z pociągu w połowie drogi w jakiejś zabitej dziurze, bo pociąg „zmienił trasę” i jedzie gdzie indziej.

Sonauli, czyli burdel na kółkach

W Sonauli dopadamy naszego agenta Nepal Guest House, który ma nas dalej wyekspediować do Gorakhpur autobusem, co już odjechał 2 godziny temu. Oczywiście musimy dopłacić 900 rupii do taksówki, by zdążyć na pociąg, bo następny autobus będzie jutro. Perspektywa ewentualnego kiblowania w Gorakhpur wcale mnie nie cieszy, bo jest to miasto tak piękne, że można się obwiesić (wyobraź sobie czytelniku gigantyczny bazar, na którym nikt nie sprząta a nad nim krążą komary jak chrabąszcze... i tną oczywiście).

Agent dzwoni po taksówkę, a ja pędzę z naszymi paszportami do odprawy nepalskiej i indyjskiej. Nikogo tu nie dziwi, że jestem jeden, a paszporty mam dwa, że przekraczam granicę z tymi dwoma paszportami, a później już dwuosobowo odprawiony wracam przez tę granicę z powrotem z nieważną już wizą. Nikogo nie dziwi, że Agnieszka została w Nepalu bez paszportu, a później przekracza granicę do Indii, granicę, którą w paszporcie już teoretycznie przekroczyła. Ot, takie porządki panują w Sonauli.

Przyjechała taksówka marki ambasador w stanie reanimowanej победы. Wsiadamy do tyłu, bo z przodu siedzi kierowca i pomocnik. Oni siedzą na drewnianej ławce zamiast samochodowych siedzeń, co jednak ma pewne zalety, bo parę kilometrów dalej dosiada się do nich na trzeciego jakiś policjant na autostopie. Taksówka osiąga zawrotną prędkość 53 kilometry na godzinę i ani trochę więcej. Do Gorakhpur jest 200 kilometrów. W dodatku co chwilę musimy się zatrzymywać, bo w niemal każdej wsi trwa wiec. To Bharatija Janata Party (Indyjska Partia Ludowa) prowadzi kampanię wyborczą do parlamentu stanowego stanu Utar Pradesh.

W Gorakhpur jesteśmy 15 minut przed odjazdem naszego pociągu. Problem z tym, że mamy tylko bilet, ale bez rezerwacji miejsca. No i nie wiemy, który peron, a peronów na tym dworcu dużo, bo dworzec jest gigantyczny, tak jak i miasto. Wpadam do agencji naprzeciw dworca po rezerwację. Cwaniak z agencji natychmiast wyłudza ode mnie 200 rupii, bo wie, że jesteśmy pod przymusem czasu. Nie załatwi, nie jedziemy. Za chwilę wszystko jest załatwione, ale wyłudza jeszcze 100 rupii, no i jest tragarz, który nas wsadzi do pociągu (kolejne 100 rupii). Na targowanie się nie ma czasu.



Z Gorakhpur do Amristaru - posiłek w pociągu (w cenie biletu). Fot. Krzysztof Łoziński.

Wreszcie jesteśmy na peronie... a pociągu nie ma. Spóźnił się skurczybyk półtorej godziny. Pociągi są w Indiach całkiem niezłe, ale trasy mają po 2 tysiące kilometrów (nasz jedzie z Kalkuty do Jammu) i punktualność na tych trasach traktują nie do końca poważnie. Wreszcie jest pociąg. Jesteśmy tak zmęczeni, że padamy. Przed nami 21 godzin w pociągu.



Amritsar, Złota Świątynia. Fot. Krzysztof Łoziński.

Gorakhpur - Amritsar – Delhi

21 godzin spędzonych w pociągu z Gorakhpur dało nam solidnie w kość. Nie można powiedzieć, by było nudno. Raz po raz ktoś odczuwał wielką potrzebę porozmawiania z nami. W naszym przedziale zmieniało się towarzystwo. Było młode małżeństwo na najwyższych „półkach” (przedział w indyjskim pociągu ma sześć rozkładanych prycz, twardych jak cholera, po 3 pod każdą ścianą), był policjant jadący na gapę, a wreszcie polityk-biznesmen, który koniecznie chciał, byśmy go zaprosili do Polski i z którym kilka godzin rozmawialiśmy o handlu przez Internet. Pod sam koniec dosiadły się cztery nastolatki jadące do szkoły (oczywiście na gapę). Oglądały nowe materiały na sari (piękne), poprawiały makijaż, jedna bezczelnie przepisywała od innej pracę domową. Ot takie indyjskie życie pociągowe.

Lądujemy w Amritsarze

Późnym popołudniem wysiadamy na dworcu w Amritsarze, dużym mieście (w 2011 roku 1.200 tys. mieszkańców) w stanie Penjab, tuż przy granicy z Pakistanem. Amritsar jest miastem dość brzydkim, oczywiście nie aż tak jak Gorakhpur, ale nie ma wyraźnego centrum, jest rozłazły, o raczej niskiej zabudowie, ciasnych i zatłoczonych ulicach. Ale Amritsar ma jedną niezaprzeczalną atrakcję - Złotą Świątynię - najważniejsze miejsce kultu religijnego Sikhów a zarazem niebywały cud architektury. No ale o tym później.



Złota Kaplica na Jeziorze Nektaru. Fot. Krzysztof Łoziński.

Teraz jedziemy do niewielkiego hotelu w pobliżu dworca. Jest nawet dość czysto, jak na Indie oczywiście i przystępna cena. Jesteśmy zmordowani po podróży i nie chce się nam nigdzie łązić. W końcu, od wyjazdu z Kathmandu, byliśmy dwie i pół doby w drodze.

Idę do łazienki, wyganiam do dziury wielkiego indyjskiego karalucha (kilka razy większego od naszych) i biorę natrysk. Teraz już tylko czyta przyjemność - można bezkarnie rozłożyć się na łóżku i nic nie robić. Przerzucam kanały w telewizorze szukając BBC lub CNN, albo w ogóle czegoś po angielsku i coś zaczyna mnie niepokoić. Gdzieś leci woda. Powoli kojarzę, że to w naszej łazience leci woda. Ale jakim cudem? Przecież wszystko zakręciłem. Otwieram drzwi łazienki, a tam potop - wszystko pływa. Od razu widzę przyczynę. Pękła plastikowa rurka od boileru i na podłogę wali z niej gorąca woda.

To było tak: ja włączyłem boiler, aby się wykąpać. Boiler miał uszkodzony termostat i się nie wyłączył, gdy zakręciłem wodę i grzał dalej. Wreszcie woda zaczęła wrzeć i ciśnienie rozwalilo rurkę. Nie wiedziałem, że w Amritsarze jest taka technika, iż boiler po użyciu należy wyłączyć z kontaktu. W moim kraju boilery wyłączają się same i nie leją wrzątkiem po podłodze.

Wołamy obsługę hotelową i od razu dostajemy inny pokój. Pomagają nam nawet przenieść rzeczy. W nocy budzi nas szum. To leci woda w naszej łazience. Ta sama historia. Wywaliło kolejny boiler i to dokładnie w ten sam sposób. Tym razem nikogo nie wołałem. Zakręcam na głucho wodę i odłączam prąd. Trudno - mamy „noc z boilerami”, karaluchy niech się topią. A w sumie sprawa jest prosta. W tanich indyjskich hotelach większość urządzeń jest w kiepskim stanie, roztryndana, skorodowana, poskręcana na druty i sznurki. One po prostu nigdy nie były tu nowe, od razu kupiono mocno używane, bo taniej. A jak się komuś nie podoba, to niech idzie do Hiltona lub Sheratona, ale tam wybuli nie 300 rupii tylko 300 dolarów, a przed karaluchami, węzami, gekonami i pajakami i tak go to nie uchroni, bo one tu są u siebie. One tu się urodziły, tu żyją, tu jest ich dom i to człowiek ze swoim pięciogwiazdkowym hotelem jest tu intruzem. I żadne pięć gwiazdek nie pomoże. Nawet najbardziej luksusowy budynek ma bardzo dużo różnych dziur, w których zmieści się kobra, tarantula lub czarna wdowa, a nawet wszystkie na raz. Może więc lepiej przetrzymać „noc z boilerami” za 300 rupii (50 razy mniej).

Złota Świątynia

Ranek jest mglisty i chłodny (jest w końcu 21 grudnia). Przed wejściem do Złotej Świątyni Sikhowie rozdają kolorowe chustki. Nie wolno tu wchodzić bez nakrycia głowy. Dalej szatnia, w której zostawia się buty. Przed wejściem do świątyni trzeba umyć nogi.

Ogromy marmurowy budynek na planie kwadratu z wielkim dziedzińcem w środku. Większość dziedzińca zajmuje wielkie sztuczne jezioro a pośrodku najważniejsza część świątyni - złota kaplica, w której czyta się świętą księgę. Kaplica i prowadząca do niej grobla pokryte są złotą blachą. Zużyto na ich budowę 7,5 tony czystego złota. Panuje niesamowity nastrój skupienia. Sikhowie modlą się oraz idą dookoła jeziora w wielkiej zadumie wsłuchani w monotonną (ale i piękną) muzykę płynącą łagodnie z głośników. W jeziorze pływają złote karasie (czyli nasze akwariowe „welony”, tylko one tu mają 30-40 centymetrów, jak dorosłe karpie).



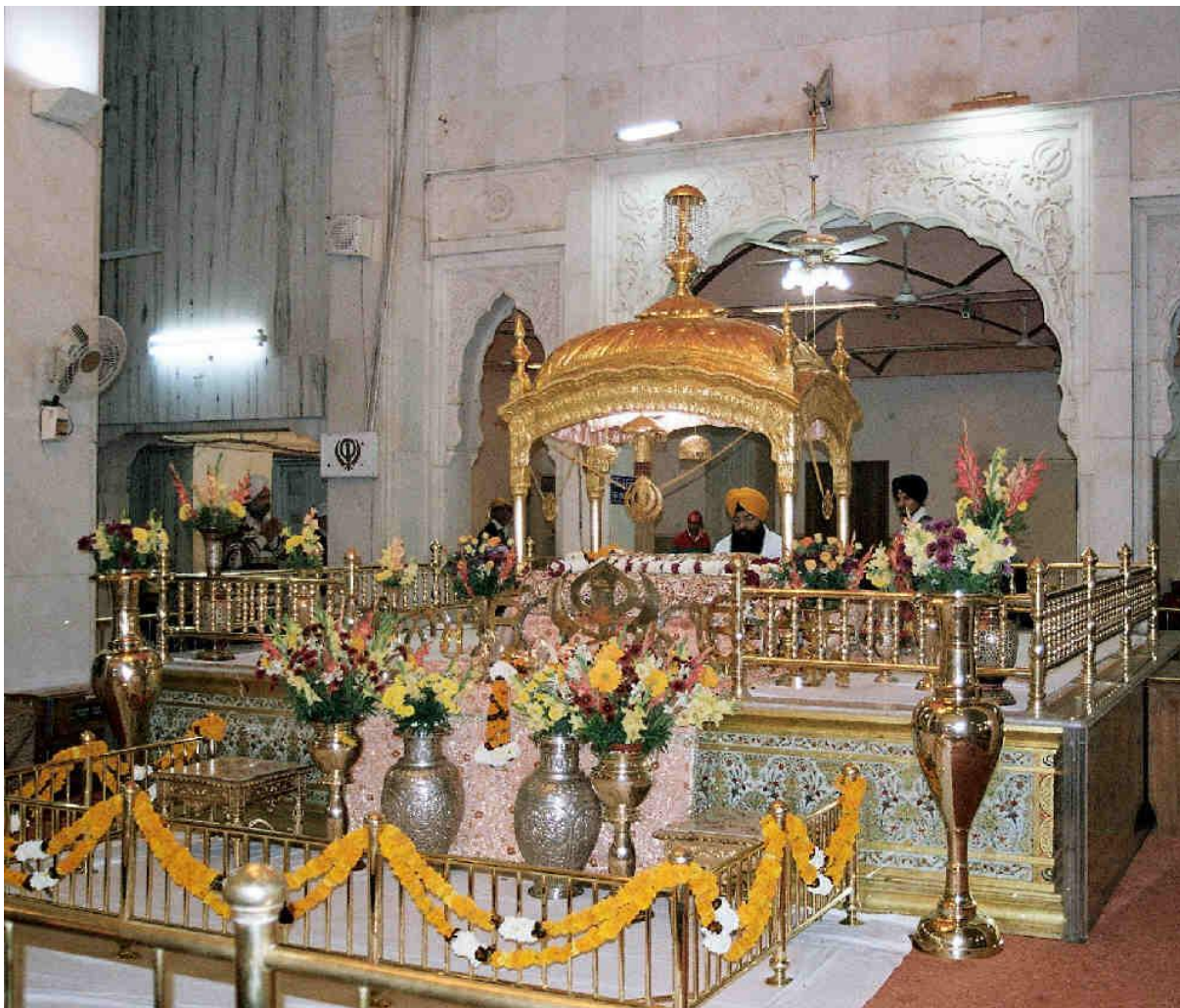
Złote karasie wielkości karpi w jeziorze na terenie Złotej Świątyni. Fot. Krzysztof Łoziński.

Złota kaplica lśniąca przez poranną mgłę, jej odbicie w toni jeziora, złote karasie i posadzki z białego marmuru pod nogami, białe marmurowe kolumny, muzyka, skupienie, ciche szepty... jakiś niesamowity nastrój uniesienia, któremu trudno nie ulec. I do tego niepowtarzalne piękno niemal doskonałej architektury. Warto było tłuc się z Kathmandu 1,5 tysiąca kilometrów.

Jesteśmy już mocno zmęczeni podróżą. Od trzech tygodni obijamy się w riksach, pociągach, autobusach, wstajemy rano lub wychodzimy w środku nocy, by gdzieś zdążyć. Ten Amritsar ze swą złotą świątynią to była taka cudowne perełka na koniec.

Miasto Amritsar zostało założone ponad 400 lat temu. Założycielem był czwarty guru Sikhów, Ram Dasa. Zbudował on świątynię na wyspie pośrodku Jeziora Nieśmiertelności, świątynię zwaną przez Sikhów Hari Mandir (Świątynia Boga) lub Darbar Sahib (Dwór Pana). Jezioro Nieśmiertelności stało się święte i nazywane jest Amrit Sar (Jezioro Nektaru) i to do niego wywodzi się nazwa Amritsar (amrit - nektar, sar - jezioro, zbiornik, staw). Złoto i marmurowe budynki dołożył w 1803 roku maharadża Randjit Singh i od tej pory pojawiła się nazwa Złota Świątynia (Golden Temple).

W 1984 roku o Złotej Świątyni było głośno na cały świat z powodu krwawego konfliktu między Sikhami a rządem. Indira Gandhi, ówczesna premier z partii Indyjski Kongres Narodowy obiecała Sikhom autonomię, a później się z tej obietnicy wycofała. W rezultacie kilkuset separatystów sikhijskich, którzy chcieli oderwać Penjab od Indii i utworzyć państwo Sikhów, zabarykadowało się w Złotej Świątyni. Po fiasku negocjacji, wojsko przypuściło szturm zabijając kilkuset obrońców. Paradoksem sytuacji było to, że Sikhowie stanowią najbardziej wykształconą grupę religijną Indii. Wielu z nich jest wysokimi dowódcami wojska i policji, wielu sprawuje wysokie urzędy w państwie. Podobno dowódcami szturm na Sikhów byli inni Sikhowie. Odpowiedzią separatystów sikhijskich było zamordowanie Indiry Gandhi (przez jej własną ochronę złożoną z Sikhów).



Czytanie Świętej Księgi. Złota Świątynia w Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Tu mała dygresja historyczna, bo jest tu spory nazwiskowy galimatias, czyli kto jest kto. Przywódcą ideowym indyjskiej niepodległości po latach brytyjskiego panowania był Mahatma (to znaczy Wielki) Gandhi, ale premierem niepodległego państwa został Jawaharlal Nehru i to jego, a nie Gandhiego, córką była Indira. Indira wyszła za mąż i przejęła po mężu nazwisko Ghandi (podobnie jak Gandhi, ale nie tak samo). Bardzo sprytnie, szybko zmieniła to nazwisko na Gandhi, co mało kto zauważył (w końcu to tylko przestawienie liter). Do dziś bardzo wielu Hindusów myśli, że jest ona córką Gandhiego, co bardzo jej pomogło w karierze politycznej. Pomagało jej też imię Indira, bardzo podobne w brzmieniu do angielskiej nazwy kraju - India (w języku hindi Indie nazywają się Bharat, ale angielski jest tu w powszechnym użyciu i chyba częściej używa się tu obcej nazwy India niż rodzimej Bharat). Po śmierci Indiry, władzę objął jej syn Rajiv, który też zginął w zamachu. Została po nim wdowa Sonia. Sonia Gandhi jest Włoszką i w dodatku blondynką. Niemniej jednak zyskała sobie w Indiach duży autorytet i jest dziś jedną z najważniejszych postaci Partii Kongresowej. Nauczyła się hindi, nosi sari, ufarbowała włosy na czarno. Uznała Indie za swój kraj, a Indie uznały ją za swoją. Jeszcze dwadzieścia kilka lat temu czytałem w Inidan Times nieprzychylny komentarz dotyczący Rajiva („toyota, włoska żona i konto w szwajcarskim banku - i to ma być premier Indii?”). Dziś nie widzi się wrogich komentarzy wobec Soni.

Guru Nanak i jego dzieło

W Indiach żyje 20-milionowa społeczność sikhijka (większość w stanie Penjab i okolicach Delhi). Sikhów poznaje się po turbanach, sumiastych wąsach i brodach (najczęściej przykrytych siateczką lub chustą). Hindusi turbanów nie noszą, więc rozpowszechniony w Polsce stereotyp „Hindus w turbanie” jest fałszywy. Jak w turbanie, to Sikha, nie Hindus. Sikha musi mieć pięć *kakkar* (atrybutów): *keś* - nie strzyże włosów; *kangha* - nosi grzebień; *kaśha* - nosi szorty; *kara* - ma stalowa bransoletę i *kirpan* - jest uzbrojony (najczęściej w szablę lub włócznię, czasem w kindżał lub choćby scyzoryk). Sikha mężczyzna nosi tytuł *sigh* - czyli lew, który staje się jakby częścią jego nazwiska, np. Babu Sigh, Arjun Sigh itp.



Pielgrzymi czekają na wspólny posiłek. Złota Świątynia w Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Za twórcę sikhizmu uważany jest Guru Nanak (1469-1539), ale jego inspiracją były dzieła Kabira, ucznia świętego męża hinduizmu Ramananda a jednocześnie wychowanka przybranych rodziców, którzy wyznawali islam. Guru Nanak połączył elementy islamu z tradycją hinduistyczną. Sikhizm jest religią monoteistyczną, nie uznaje systemu kastowego (wszyscy Sikhowie, czy to kobiety, czy mężczyźni, są równi), nie uznaje religijnej hipokryzji (przynajmniej w teorii). Uważa na przykład, że o małżeństwie nie decydują ceremonie i dokumenty, tylko to, co jest między ludźmi, czyli uczucia. Jak mi to tłumaczył pewien Sikha, małżeństwo jest wówczas, gdy jest miłość małżeńska, a nie wtedy, gdy wzięto ślub. Ślub jest ważny, ale dopiero na drugim miejscu.

Dla Sikhów niezwykle ważna jest prawda i Sikha (przynajmniej teoretycznie) nie kłamie. Czym jest Bóg? Bóg jest *sat* - prawdą. Bóg przejawia się przez *guru* - nauczycieli a słowo *sikh* znaczy uczeń (dokładnie pochodzi od sanskryckiego słowa *śiszja* - uczeń). Sikhizm nie uznaje dyskryminacji kobiet i ludzi o innych przekonaniach lub zwyczajach. W

świątyni sikhijskiej każdy może zostać nakarmiony (wszyscy jedzą razem w wielkiej sali, co symbolizuje, że wszyscy są równi). Każdy może też przenocować i otrzymać pomoc lekarską, a wszystko to całkowicie za darmo. Można dać datek na świątynię, ale nie jest to konieczne i nikt się tego nie domaga. Majątek świątyń i całej społeczności pochodzi z darowizn i ochotniczej pracy wyznawców. Posiłki dla pielgrzymów gotują wspólnie wolontariusze, w świątynnym szpitalu pracują za darmo Sikhowie-lekarze, którzy, poza tym mają swoje praktyki na mieście.



Wolontariusze smażą ciapaty dla pielgrzymów. Złota Świątynia w Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Sikhowie cenią wykształcenie i tu mocno odbili od islamu, który w XII wieku uznał, że cała wiedza zawarta jest w Koranie i wszelkie inne dążenie do wiedzy jest grzechem. Społeczność pomaga w kształceniu dzieci i dzięki temu zdolne dziecko może uzyskać wysokie wykształcenie, nawet gdy pochodzi z bardzo biednej rodziny. To dlatego Sikhowie, choć nieliczni, stanowią elitę Indii i nikt im tu nie ubliża od „łże -elit” i „wykształciuchów”. No, ale cóż? Polskiej demokracji daleko jeszcze do indyjskiej. U nas rządzi narodowy miernotyzm.

Powrót do początku

Idziemy dłuższy czas wąskimi, zatłoczonymi ulicami Amritsar, wchodzimy do sklepów. Kupuje głównie Agnieszka - piękne jedwabne penjabi, egzotycznego kształtu buty (które później okazały się tak niezwykle wygodne, iż żałowała, że nie kupiła ich więcej). Dopiero po dłuższym czasie znajdujemy restaurację, w której możemy zjeść obiad. Tu prawie wszystkie knajpy są wyłącznie wegetariańskie, a karty dań napisane są wyłącznie w hindi. Oczywiście można i w nich coś zamówić, tylko nigdy nie wie się co, bo nic nie można przeczytać, a kelner nic nie rozumie, choć jak każdy Hindus zna angielski (w Indiach wszystkie dzieci uczą się angielskiego w szkole, analfabetyzm w tym kraju to już dawno historia). Wieczorem kolejny etap podróży, tym razem ostatni - pociąg od Delhi.

W tej restauracji Agnieszka przez roztargnienie zostawiła torebkę z paszportem, pieniędzmi i aparatem fotograficznym. Orientujemy się dopiero po pół godzinie. W panice łapiemy riksę i wracamy do restauracji. Nie mamy wielkich nadziei, ale tu niespodzianka. Torebka jest! Czeka na nas u kelnera. Klienci restauracji zauważyli zgubę i zabezpieczyli. A to nie była knajpa dla bogaczy. Dla każdego z tych ludzi zawartość tej torebki to był istny majątek.

Rano jesteśmy na New Delhi Station i jak zwykle udajemy się riksą na Main Bazaar. Tym razem znajdujemy pokój, całkiem przyzwoity w Hotelu Vivek. Viwek był pierwszym hotelem, w jakim 26 lat wcześniej mieszkalem w Indiach i bardzo się zmienił. Jak bardzo w tym czasie w ogóle zmieniły się Indie widzimy dopiero, gdy trafiamy w te same miejsca. Mamy 3 dni w Delhi przed odlotem do Polski. Do zwiedzania zostało nam niewiele, bo i w Delhi obiektów do zwiedzania nie ma zbyt dużo. Najważniejszy niezaliczony obiekt to Czerwony Fort (Lal Kila, Red Fort), czyli pałac cesarski w starej dzielnicy Szahdżahanbad.

Tym razem Red Fort mocno mnie rozczarowuje. Większość obiektów, po których kilkanaście lat temu swobodnie spacerowałem, jest zamkniętych i mocno zapuszczonych. Widać wyraźne ślady dewastacji, brak prac konserwatorskich. W porównaniu z pałacem w Agrze, Red Fort w Delhi to niemal ruina. Zamknięty jest na głucho maleńki marmurowy meczet, perełka architektury Wielkich Mogołów. Przykre wrażenie.

Największą atrakcją tych ostatnich trzech dni w Delhi były rozmowy Agnieszki z Sikhami. Wsiadamy do rikszy a kierowca jest Sikhem. Agnieszka zaczyna mu opowiadać, że przyjechaliliśmy właśnie z Amritsar, gdzie byliśmy w Złotej Świątyni. Facet autentycznie się wzrusza i koniecznie musi nas zawieźć do Złotej Świątyni w Delhi, nie chce za to żadnych dodatkowych pieniędzy, pół dnia nas wozi po Delhi za te same 100 rupii (7 złotych). Złota Świątynia w Delhi jest znacznie skromniejsza od tej w Amritsarze, ale za to wolno tu fotografować czytanie Świętej Księgi i kuchnię przygotowującą posiłki dla pielgrzymów. Nasz Sikha opowiada, że tutejsza społeczność sikhijska buduje przy świątyni podziemny parking i stację metra i wszyscy przy tym pracują za darmo. A później mówi, że zawiezie nas do wspaniałego sklepu z rzemiosłem artystycznym, gdzie oczywiście nie musimy nic kupować (i tak nie mamy tyle pieniędzy), tylko „only looking” i oczywiście on znowu od nas nie chce żadnych pieniędzy extra. Musimy tylko przesiąść się do „jego samochodu”, bo to daleko. Jak to, to riksarz ma własny samochód? A owszem, ma i to nie żadna ruina, tylko całkiem niestara toyotę corollę. No to, tu już mnie facet zdumiał. Można być w Indiach 12 razy i ciągle dowiadywać się o tym kraju czegoś nowego. Facet zarabia wożeniem turystów z Pahargnju badjadjem (riksą motocyklową) a ma własną toyotę! Musi tu być jakaś większa

kombinacja, bo nic z tego nie rozumiem. Toć on tym badjadjem przez rok na jedną felgę do toyoty nie zarobi! Indie bywają naprawdę zagadkowe.



Duty Free Shop na odlotach w Delhi przystrojony na święta. Fot. Krzysztof Łoziński.

Jest Boże Narodzenie, Wigilia, 24 grudnia. Idziemy na wigilijną kolację do Metropolitan Restaurant, najlepszej restauracji na Pahargajnczu. Kelnerzy w czapeczkach Świętego Mikołaja, bombki pod sufitem. Potrawy wigilijne dość egzotyczne i nietypowe: kurczak z tandoori, ryba w garam masala, jakiś dalbat i piwo. Przypominam sobie samotną wigilię w Singapurze sprzed lat. Na Orchard Road, przed supremarketami w których jest więcej elektroniki niż człowiek może wymyślić, palmy, 50 stopni w cieniu i dekoracja ze sztucznym śniegiem, reniferem i Świętym Mikołajem (który tu nazywa się Santa Claus). Ale coś się tym Chińczykom singapurskim od dobrobytu w głowie porąbało, bo obok tego w sztucznym śniegu z waty krasnoludki i Kaczor Donald a nad tym wszystkim bez przerwy odtwarzana kaseta Binga Crosby „White Chistmes”. A innym razem na tranzycie w Dubaiu (Emiraty Arabskie), Murzyn w czerwonych butach i Święty Mikołaj rozdaje turystom prezenty, bo islam islamem, hinduizm hinduizmem, państwo konfucjańskie też nie szkodzi, ale święta to biznes, czy to Emiraty, czy Singapur, czy Delhi. I dlatego w Polsce jest halowin (nie ma jeszcze Święta Dziękczynienia, ale spokojnie - też będzie) a w Delhi i Singapurze jest Boże Narodzenie, choć większość Hindusów nie słyszało o Papieżu a jeden z singapurskich inżynierów myślał, że Papież to „chrześcijański Bóg, co ma w Polsce świątynię”. Wszyscy natomiast wiedzą, że na tym można zarobić, a czy wigilia, czy halowin to już im obojętne - tylko zmiana dekoracji. I dlatego za jakiś czas w Pekinie będzie Święty Mikołaj a w Polsce Święto Dziękczynienia (boć to okazja, by sprzedawać indyki).

Ostatni dzień naszego pobytu w Indiach (tym razem). Agnieszka samodzielnie gania po sklepach w Starym Delhi nie oglądając się na mnie, jest już całkowicie zadomowiona w tym kraju. Trzy tygodnie temu przywiozłem ciężko przestraszoną nowicjuszkę, a wyjeżdżam z wytrawną azjatycką podróżniczką. Bardzo mnie to cieszy.

10 godzin lotu do Mediolanu i 2 godziny do Warszawy. W Warszawie topniejący śnieg i chlapa, przenikliwe zimno...

I to by było na tyle. Koniec na ten raz. Kończę opowieść, ale nie kończę podróży. Wróciliśmy już z następnych - do Tajlandii, Kambodży, Peru, Amazonii i Andyjskich szczytów, i tak dalej, i tak dalej.... W końcu czymś muszę dalej czytelników zadreć. Na razie koniec (podróży, ale nie książki).

Dodatki:

Dodatek pierwszy: Himalaje

Nie byłbym sobą, gdybym nie napisał o tym, co było dla mnie w Indiach i Nepalu najważniejsze – o Himalajach. W końcu to właśnie z powodu Himalajów byłem w tych krajach tyle razy.

Nie będę opisywał z detalami swoich wypraw. Zrobiłem to już w innej książce („Ślady na śniegu”), a i tam opisałem tylko wybrane wyprawy. Opisywanie wszystkich nie ma sensu. Książek opisujących z detalami wyprawy, na których wszystko szło gładko i nic się dramatycznego nie działo, jest mnóstwo. Na ogół są nudne i nikt ich nie czyta. Warto pisać tylko o tych, których przebieg był z jakiegoś powodu ciekawy.

Himalaje są wyjątkowe nie tylko dlatego, że są najwyższe. Prawie tak samo wysokie są góry Karakorum i Hindukuszu, ale są inne. Himalaje są niezwykle zróżnicowane. Są w nich szczyty ośmiotysięczne, gdzie głównym problemem dla alpinisty jest wysokość, rozrzedzone powietrze i niskie temperatury. Są rejony zdominowane przez szczyty 6-7 tysięczne, ale niezwykle trudne technicznie. Nawet ściany takich gór są ogromne, wznoszą się o 2, 3 lub 4 kilometry ponad doliny. W tych mniejszych Himalajach nadal jest masa niezdobytych szczytów, niezdobytych potężnych ścian skalnych lub lodowych.



Nad dolinami zapadła już noc, a himalajskie olbrzymy, Sagarmatha (czyli Mount Everest, 8850 m, pierwszy od lewej) i Lhotse (8511 m, dalej w prawo, ze szczytem w chmurze) świecą wciąż oświetlone słońcem. Dalej w prawo Cholatse (6440 m) i Tawetse (6542 m), już w cieniu. Zdjęcie zrobione ze ściany Machermo Kang, z wysokości ok. 5600 m. Warstwa chmur wypełniająca dolinę znajduje się na wysokości ok. 5000 m. Fot. Krzysztof Łoziński.

Nie jest prawdą, że wszystkie wielkie góry są już zdobyte. Niezdobytých szczytów i potężnych ścian jest ciągle więcej, niż potencjalnych zdobywców. To fakt, że zdobyte są już wszystkie ośmiotysięczniki i większość siedmiotysięczników, ale niezdobytých gór o wysokościach 5-6 tysięcy metrów jest mrowie. Poza tym ogromna większość szczytów nie została jeszcze zdobyta zimą, a tym bardziej nie ma wejść solowych (a to moja specjalność).

W czasie wyprawy na Machermo Kang, naprzeciw naszej bazy stała sobie góra. Nie miała nawet nazwy. Nazywaliśmy ją „Bambułą nad Bazą”. „Bambuła” to takie coś niepoważnego, czego się serio nie traktuje. Właściwie to jeszcze nie góra. Pewnego dnia uświadomiłem sobie, że to „coś” ma 5593 metry wysokości, jest dużo wyższe (o 800 metrów) od Mont Blanc (4808 m), jest tylko o niecałe 50 metrów niższe od Elbrusa (5642 m), najwyższego szczytu Kaukazu. W dodatku to „coś” ma liczącą 1100 metrów wysokości trudną skalną ścianę, a więc wyższą od wszystkich ścian tatrzańskich, ścianę, która w Alpach byłaby uważana za potężny problem do zdobycia. A tu cóż? „Bambuła”, nawet nazwy nie ma. Takich i nawet znacznie większych alpinistycznych „problemów” do zdobycia jest w Himalajach, Karakorum, Hindukuszu, Pamirze, Andach... jeszcze tak dużo, że alpinistom zabraknie pokoleń. A przecież są jeszcze, poza tym do pokonania poważne ściany ośmiotysięczników. Są ciągle do rozwiązania problemy alpinistyczne nawet na Evereście, na Lhotse, na Makalu...



Kantenga (lub Kang Tenga, 6779 m), czyli Góra Wysoka (nepali), bywa też nazywana „Ogre”, czyli „Ludożerca”. Widoczna na zdjęciu ściana ma blisko 3 kilometry wysokości. Fot Krzysztof Łoziński.

No właśnie, jak to jest z tym „himalaizmem”?

Sport polegający na wspinaniu się po górach nazywa się alpinizm lub tradycyjnie po polsku taternictwo. Niedawno pojawiła się nazwa himalaizm. Powiem otwarcie: ja tej nazwy nie lubię. Po pierwsze, jest w tym jakaś megalomania, sugestia, że człowiek wspinający się w Himalajach jest jakby lepszym alpinistą, niż ten wspinający się na przykład w Yosemite, czy w Patagonii. W dodatku często himalaistami nazywają się zwykli turyści, chodzący na trekkingi lub wciągani za uszy przez Szerpów na Everest. Po drugie, w alpinizmie jest tak naprawdę kilka dyscyplin, czy też rodzajów alpinizmu. Są ludzie wspinający się sportowo tylko na sztucznych ściankach lub w skałkach. Są tacy, którzy ograniczają się do gór typu alpejskiego (Tatry, Alpy, Kaukaz itp.). Są zdobywcy ośmiotysięczników, Korony Himalajów, Korony Ziemi... Są wreszcie tacy jak ja, których interesowało zdobywanie trudnych dużych ścian, najlepiej solo i zimą.

Koncepcji alpinizmu jest tyle, co alpinistów. Są ludzie, którzy koniecznie muszą wejść na szczyt i są tacy, których po przebyciu trudnej ściany nie interesuje już przechodzenie ostatniego, na ogół łatwego odcinka, by koniecznie stanąć na szczycie. Są ludzie, których interesuje zdobywanie, prowadzenie nowych dróg i są tacy, którzy chodzą tylko na powtórzenia, starając się ich dokonać w jak najlepszym stylu.



Krzysztof Łoziński wspina się w lodzie na wysokości ok. 6 tys. metrów. Fot. Elżbieta Fałtynowicz.

Mnie kompletnie nie pasjonują powtórzenia, chyba że można zrobić pierwsze przejście solowe lub zimowe. Dla mnie samą śmietanką alpinizmu jest zrobienie nowej trudnej drogi w dużej ścianie, najlepiej solo i od razu w zimie. Ale robiłem i nowe drogi w zespołach. Zawsze musi być jednak jakiś element nowości. Uważam, że w robieniu czegoś, co ktoś już zrobił wcześniej w ten sam sposób, nic twórczego nie wnosi. Wyrównywanie starych rekordów nie jest rekordem. Nigdy nie będzie się indywidualnością robiąc to samo, co wszyscy. Ale to kwestia wyboru roli w życiu. Są chórzyści i są soliści.

To kwestia, która nazywam horyzontem marzeń. W skrajnym ujęciu, jest to różnica między człowiekiem, który marzy o odkryciu Ameryki lub locie na Marsa, a tym, któremu marzy się urlop w Ciechocinku. Gdy niedawno pewna kobieta wygrała telewizyjny konkurs kulinarny i powiedziała, że spełniły się jej marzenia, to właśnie pomyślałem, iż ma bardzo skromny horyzont marzeń, a gdy jeszcze dodała z zachwytem: „już całe życie będę gotować”, to ja pomyślałem: „ale wyrok!”.

Co jest tak fascynującego w Himalajach? Po pierwsze wysokość. Nawet ktoś taki jak ja, kogo nie interesuje wchodzenie koniecznie na ośmiotysięczniki, tylko trudności techniczne i tak wchodzi na bardzo duże wysokości, bo w tych górach inaczej się nie da. A tu pojawiają się zupełnie nowe zjawiska. Od strony fizycznej zupełnie inna skala wysiłku. Wspinaczka w stromym lodzie, ale jeszcze nie pionowym, która w Alpach byłaby łatwizną, już na sześciu tysiącach zmusza do ekstremalnego wysiłku. Trudności V+, które w Tatrach uważa się za takie sobie, dostępne właściwie dla każdego, na filarze Kongderi, w okolicach 6200 metrów, mogą być dla wielu nie do przebycia, choć ten sam kawałek skały, postawiany w skałkach Jury, większość kolegów przebiegłaby „na żywca” i z papierosem w ustach.



Od lewej Cho Aui (7352 m), Cho Oyu (8153 m), trzy wierzchołki Ngozungma Kang (7806, 7646, 7601 m) i z prawej Gyachung Kang (7922 m). Poniżej kłębią się różne pięcioletnie pagóry, wyższe od Elbrusa, na które nikt tu nie zwraca uwagi. Widok ze szczytu Machermo Kang (6073 m), z odległości ok. 18-20 km. Fot. Krzysztof Łoziński.

Druga rzecz to wrażenia. Rozległość widoku ze szczytu zapiera dech. Przy bardzo dobrej pogodzie, gdy powietrze jest całkowicie przejrzyste, już na siedmiu tysiącach niebo jest niemal czarne i bywa, że w dzień widać gwiazdy. Czasami wręcz widzi się pod sobą lekko niebieską warstwę powietrza, a nad głową tak ciemny granat nieba, jak by patrzyło się w kosmos. No i niesamowita ekspozycja. Wspinając się w stromej ścianie, możemy mieć pod nogami 2 lub 3 kilometry pustki. Takiego „luftu” po nogami nie zobaczymy nigdzie w Tatrach czy Alpach. W Himalajach niektóre ściany mają po 4 kilometry wysokości.

I jeszcze jedna sprawa: odległości. W Alpach przyjeżdża się spokojnie do Chamonix, Cermat, czy Grindenwaldu, pod wiele ścian można jeszcze podjechać jakąś kolejką, linową lub zębatą, jak by co, to przyleci helikopter i zabierze do domu. Aby dostać się do Solo Khumbu, czyli w rejon Everestu, Lhotse, Cho Oyu... trzeba dojechać autobusem do Jiri, a stamtąd dygać na nogach przez tydzień do Namche Bazar i dalej. Po drodze są takie przygody jak podejście pod Lamjura Pass (3600 m), czyli cały dzień pod górę, 2 tysiące metrów różnicy wysokości. Namche Bazar leży na wysokości 3800 metrów i stamtąd idzie się jeszcze w górę dwa lub 3 dni do bazy wyprawy, na wysokości, 4,5 tysiąca lub więcej. Baza pod Everestem i Lhotse znajduje się na wysokości 5300 metrów. A, przy okazji, Everest (8850 m) po nepalsku nazywa się Sagarmatha (Czoło Nieba – w nepali), o czym w szkole nie uczą, choć uczą nazwy tybetańskiej – Chomolungma (Bogini Matka Śniegu – po tybetańsku).



Idąc przez tydzień z Jiri do Namche Bazar (ścieżką widoczną nieco poniżej połowy najbliższego zbocza), mamy cały czas niesamowite widoki na Himalaje. Na zdjęciu Rolwaling Himal. Najwyższy szczyt mniej więcej pośrodku zdjęcia to Gaurishankar (7145 m). Po prawej biały szczyt to Manlungdse (7181 m) po stronie tybetańskiej. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ale można też inaczej, gdy ma się nadmiar pieniędzy. Można polecieć samolotem do Lukli, jeden dzień drogi od Namche Bazar. Kłopot jednak w tym, że jest to najniebezpieczniejsze lotnisko świata. Pas startowy w Lukli ma zaledwie 400 metrów

długości i jest pochyły. Ląduje się na nim pod górę, a startuje w dół. Ale to nie wszystko. Małe samoloty, bo tylko takie mogą tu lądować, lecą z Kathmandu między górami, które są wyższe, niż ich osiągalny pułap lotu. Wszystko OK., gdy nie ma chmur. Następnie samolot schodzi w dół w dolinę rzeki Dudh Kosi znacznie poniżej poziomu lotniska, które znajduje się na czymś w rodzaju wielkiej półki w zboczu góry Kusum Kang (6369 m), i przed samym lotniskiem wznosi się świecą w górę wzdłuż zbocza, by wytracić prędkość przed początkiem pasa. Przeskakuje nad płotkiem i będąc na granicy przeciągnięcia (utruty siły nośnej) siada na pasie, po którym toczy się pod górę przez sto metrów, by wyhamować. Tam jest natychmiast łapany, by nie stoczył się z powrotem. Gdyby nie wyhamował, to walnie w zbocze. Przy starcie procedura jest odwrotna. Najpierw silniki na maksymalne obroty, sto metrów rozpędu w dół i spadamy w dolinę, by набrać prędkości niezbędnej do lotu. Na dnie doliny i po bokach pasa leżą wraki tych, co mieli pecha. W tej chwili pas jest asfaltowy, ale pamiętam jeszcze trawiasty, na którym pasły się jaki odganiające na bok przed startem lub lądowaniem.



Podejście do lądowania w Lukli (w chmurach). Lotnisko znajduje się pod ścianą Kusum Kang (6369 m, z prawej) tuż nad chmurami. Z lewej i dalej Tamserku (6608 m). Fot. Krzysztof Łoziński.

Himalaje są nie tylko w Nepalu. Znaczna część tych gór znajduje się w Indiach, Bhutanie i Sikkimie, a sam zachodni koniec, w tym ośmiotysięcznik Nanga Parbat (8126 m), w Pakistanie. Kontynuacją łańcucha Himalajów na zachodzie jest pasmo Karakorum, z drugim szczytem świata K2 (czyli po miejscowemu Czogori, 8611 m), a dalej Hindukusz. Ten potężny mur największych gór zaczyna się na wschodzie przy granicy Indii z Birmą i Chinami, a kończy na wschodzie w Afganistanie. Północno zachodnie zbocze Nanga Parbat wznosi się o ponad 7 kilometrów nad płynącą pod nim rzekę Indus i jest największym górskim zboczem na ziemi.

Na terenie Indii trzeba wyróżnić dwa popularne wśród alpinistów rejony Himalajów. Są to Garhwal i Kaszmir.

Najwyższym szczytem Himalajów Garhwalu jest Nanda Devi (7816 m). Mało kto pamięta, że wschodni szczyt tej góry (7434 m) zdobyli Polacy, Jakub Bujak i Janusz Klarner, 2 lipca 1939 roku. Był to wówczas szósty najwyższy zdobyty szczyt na ziemi. W wyprawie brali jeszcze udział Stefan Bernardzikiewicz i Adam Karpiński. Niestety obaj oni zginęli 16 dni później podczas próby zdobycia szczytu Trisuli (7127 m). Aż do lat 70. XX wieku był to największy sukces polskiego alpinizmu.

Drugim popularnym rejonem Himalajów w Indiach są Himalaje Kaszmiru. Są nieco niższe, dominują szczyty sześciotysięczne, ale znacznie bardziej dzikie i znacznie mniej eksplorowane. W czasie mojej wyprawy do doliny Kijai, obserwowałem z jednego z wyższych obozów całe morze gór na wschód od doliny Baroom, które wówczas, w 1979 roku nie były jeszcze wcale zbadane. Nie było nawet mapy, nikt nie wiedział, jak te góry się nazywają i jakie mają wysokości. Oczywiście teraz są już mapy satelitarne, ale przecież to było nie tak dawno, gdy całe rejony gór rozleglejsze niż Tatry i znacznie wyższe nie były jeszcze wcale opisane, nie mówiąc już o ich zdobyciu. Zresztą wówczas, w 1979 roku, byliśmy pierwszą wyprawą, której udało się wejść do sporej himalajskiej doliny. I w tej dolinie przed nami sto procent szczytów nie było jeszcze zdobytych. Mogę powiedzieć, że jako pierwszy człowiek robiłem pierwsze zdjęcia sporej grupy sześciotysięczników.



Stanisław Pelcarski (na zdjęciu), i ja, jako pierwsi alpinści świata oglądamy szczyty w otoczeniu górnej części doliny Kijai w Kaszmirze (rok 1979). Góra za Staszkiem to Arjuna (6225 m), zdobyta później przez polską wyprawę. W tym momencie jednak sto procent widocznych szczytów nie było zdobyte. Jediną mapę, jaką posiadaliśmy, narysował mi na kartce z zeszytu Chris Bonnigton. Wcześniej sporządził szkic na podstawie relacji kaszmirskich górali. W rzeczywistości wszystko było inaczej. Fot. Krzysztof Łoziński.

W Himalajach są jeszcze rejony bardzo słabo zbadane i prawie nie odwiedzane przez alpinistów i turystów (tym bardziej). Najciekawsze według mnie to Mustang, buddyjskie królestwo na północ od Annapurny (8091 m) i Dhaulagiri (8167 m). Jest to właściwie już część Wyżyny Tybetańskiej z autentycznymi klasztorami buddyzmu tybetańskiego nietkniętego przez chińskie represje nie „ucywilizowanego” przez wpływy Zachodu. W Mustangu, ma się wrażenie, że czas się zatrzymał przed wiekami.

Innym niezwykle ciekawym rejonem jest, leżąca na północ od łańcucha Himalajów Kaszmiru, dolina Ladakh, indyjska część Tybetu. Nazwa w języku urdu oznacza „Kraina Wysokich Przełęczy”. Ladakh nie jest tłumnie odwiedzany, bo nie jest łatwo dostępny. Podczas ciężkiej zimy, jest praktycznie odcięty od świata i jedyną komunikację może zapewnić helikopter. Ale jest tam obszar chyba najbardziej dziki, to Zaskar. Jest to fragment Himalajów na końcu doliny Ladakh, prawie przy granicy z Tybetem zajętym przez Chiny. Praktycznie nie ma tam żadnej drogi, a jedyna komunikacja na piechotę istnieje w zimie, gdy można iść po zamrożniętych rzekach. Przez większość roku Zaskar jest całkowicie odcięty. Nawet helikopter tam nie wylądować z powodu braku występowania płaskiego terenu.



Fragment drogi z Jammu do Ladakhu przez szczybę samochodu. Z archiwum autora.

Od niedawna telewizja epatuje nas programami, w których zachodni turyści jeżdżą drogami w Himalajach i Karakorum ciężarówkami. Przedstawiane jest to w dość histerycznym tonie jako istny drogowy koszmar. A ja powiem (a jeździłem tymi drogami), że prawdziwego drogowego horroru to twórcy tych filmów nie widzieli. To, co pokazują jako horror, to jeszcze kaszaka z mleczkiem. Proponowałbym im przejazd na przykład wzdłuż przełomu rzeki Hunzy w Karakorum lub spacer drogą z Kishwar do Kargil w Kaszmirze. Najgorszymi drogami w Himalajach już się nie jeździ. Tymi jeszcze trochę przyzwoitymi chodzą karawany z ładunkami na jakach lub mułach, troszkę gorszymi chodzą tragarze. Najgorszymi nawet tragarze z większym ładunkiem nie przejdą. Są takie trasy w górach, które wymagają wręcz wspinaczki, kolejek linowych przez rzeki i zjazdów lub podchodzenia po linie.



Przeprawa prymitywną kolejką linową przez rzekę Chenab w Himalajach Kaszmiru. Fot. Krzysztof Łoziński.



Droga z Kisthwar w Himalajach Kaszmiru do Kargil w Ladakhu. Tu chodzą jeszcze muły. Fot. Krzysztof Łoziński.



Najkrótsza droga ze wsi Lai do doliny Sung Lai w Kaszmirze. Od lewej prowadzi seria galeryjek w bardzo stromej skale, a dalej w prawo trawers mniej więcej w połowie zdjęcia. Ten trawers to luźne kamienie ułożone na wetkniętych w skalę żerdziach. Szerokość tej „drogi” to miejscami zaledwie ok. 50 cm. Gruby nie przejdzie. Fot. Krzysztof Łoziński.

Na koniec chciałbym wrócić do tego, co dzieje się wokół Everestu. Zdobyć tej najwyższej góry na ziemi było kiedyś nie lada wyczynem. Powszechnie uważa się, że zdobyli ją Nowozelandczyk Edmund Hillary i Sierpa Tenzing Norgay 29 maja 1953 roku, i zapewne jest to prawda. Wcześniej jednak, w 1924 roku, George Mallory i Andrew Irvine dotarli prawdopodobnie do wysokości 8600 m (na tej wysokości ostatni raz ich widziano). Ponieważ wówczas alpinści nie mieli jeszcze żadnych środków łączności, nie wiadomo o ile wyżej mogli dotrzeć. Nie jest do końca jasne i chyba nigdy nie będzie, czy mogli dotrzeć na szczyt i zginąć w zejściu. W 1999 roku, na wysokości 8230 m (poniżej grani) znaleziono dobrze zachowane ciało Mallorego, który z całą pewnością zginął wskutek upadku z dużej wysokości. Nie ma jednak w dalszym ciągu dowodów na żadną z wersji, czy spadł w drodze na szczyt, czy w zejściu. Znamy kierunek, z którego prawdopodobnie spadł, ale nie wiemy, czy spadł z grani, czy też z jakiegoś trawersu poniżej grani. Gdyby upadek nastąpił z grani, to by znaczyło, że Mallory był znacznie wyżej niż owe 8600 m i że pokonał ostatni trudny uskok w drodze na szczyt. Ale tego nie wiemy. Mallory i Irvin mogli próbować ten uskok obejść trawersem pod granią i spaść stamtąd. Zagadka nadal jest nie rozwiązana.

Gdyby jednak kiedyś okazało się, Mallory i Irvin byli na szczycie, byłaby to ogromna sensacja, zważywszy na sprzęt, którym dysponowali. Alpinści wspinali się w marynarkach i pumpach. Mieli ciężkie aparaty tlenowe, futrzane śpiwory i płyty gumy, jako materacyki. Namioty były bez podłogi, a latarki na świeczkę. Szerpowie nie mieli śpiworów tylko koce.

Jak napisałem, przez długie lata wejście na Everest było wyczynem najwyższej klasy. Szczyt zdobyła dopiero czternasta wyprawa, która go atakowała. Później „problemami” do rozwiązania było pierwsze wejście kobiece (Junko Tabei, Japonka, w 1975 roku), zimowe (Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy w 1980 roku), solowe i solowe bez tlenu (oba Reinhold Messner w latach 70.)

Aż do końca lat 80. XX wieku na szczycie Everestu stanęło nie całe 300 osób. W Polowie lat 90. zaczęły się wyprawy komercyjne i do dziś na Everest weszło już kilka tysięcy osób. Wejście na Everest jedną z dwóch stosunkowo łatwych technicznie dróg (granią od strony tybetańskiej lub drogą zdobywców przez lodowiec Khumbu i ścianę Lhotse) jest dziś całkowicie zaporęczowane (zabezpieczone stałymi linami, a nawet drabinami). Te sztuczne ułatwienia sprowadziły trudności techniczne do zera. Doszło do tego, że można niemal wcale nie umieć się wspinać i wejść na Everest. Klient cały czas jest holowany przez przewodników i obsługiwany przez tragarzy wysokościowych. O jego sukcesie decyduje w pierwszej kolejności zawartość portfela. Dla mnie to smutne zjawisko.

W polskich kinach wyświetlano niedawno film „Everest”, będący rekonstrukcją (dość rzetelną) tragedii, jaka rozegrała się w 1996 roku, w czasie jednej z pierwszych wypraw komercyjnych. Warto trochę szerzej omówić te wydarzenia, bo błędy, czy też świadome łamanie zasad bezpieczeństwa, do których wówczas doszło, właściwie nieustannie popełniane są nadal, w kolejnych wyprawach komercyjnych, z tą tylko różnicą, że nikt już się tym nie przejmuje. Kolejna podobna tragedia jest tylko kwestią czasu.

Z jednej strony patrzyłem na to z zazdrością. Ja wszystko w górach musiałem wnosić na własnych plecach, nigdy nie korzystałem z tragarzy wysokościowych, aparatów tlenowych i innych luksusów. Na moich wyprawach nie miałem też żadnych środków łączności (nie było mnie na nie stać). Klienci tej wyprawy mieli wszystko, telefony satelitarne, wyniesione wysoko (przez kogo innego) butle z tlenem. W ich obozach brakowało już chyba tylko kominka i akwarium ze złotymi rybkami. A z drugiej strony organizatorzy i przewodnicy

popelnili niemal wszystkie możliwe błędy i złamali niemal wszystkie zasady bezpieczeństwa w górach. Efektem była śmierć kilku ludzi.

Zacznijmy od tego, że wprowadza się na duże wysokości ludzi, który nigdy nie powinni się tam znaleźć. Ci ludzie nie mają ani umiejętności, ani warunków fizycznych. Wychodzi się z błędnego założenia, że teren jest łatwy technicznie. Łatwy technicznie byłby, gdyby przenieść go 3 kilometry niżej. Twierdzę, że na 7-8 tysiącach nie ma łatwego terenu i nie ma bezpiecznego terenu. Na tych wysokościach można umrzeć nawet na równym. Silne niedotlenienie powoduje, że człowiek jest znacznie mniej sprawny i, co gorsza, znacznie mniej sprawny umysłowo, z czego nie zdaje sobie sprawy, bo sprawność mózgu ocenia ten sam mniej sprawny mózg.

W takich warunkach ogromne znaczenie ma doświadczenie górskie. Jeśli mam mocno ukształtowane nawyki, to nie muszę, w warunkach ograniczonej świadomości, rozwiązywać wielu problemów. Przykładowo, jeśli ktoś dziesiątki razy rozbijał namiot na silnym wietrze, to nie musi główkować jak to zrobić. To są dziesiątki różnych drobiazgów, które trzeba robić odruchowo. Turysta, nawet z najlepszym sprzętem i przewodnikiem, tych odruchów nie ma. Na dużych wysokościach ludzie nie raz już ginęli z powodu źle zawiązanego węzła, zgubienia sprzętu, niedbale przypiętych raków, itp. Jeśli na nizinach zgubisz rękawice, to najwyżej włożysz ręce do kieszeni. Na ośmiu tysiącach z powodu zgubienia rękawic możesz nie przeżyć. Jeśli na Mazurach stracisz namiot to złapiesz katar, jeśli stracisz go w Himalajach, to nie żyjesz.

Turyści uczestniczący w owej tragicznej wyprawie (ściślej były to dwie wyprawy, które połączyły się w jedną) przeważnie tych nawyków nie mieli. Istnieje przypuszczenie, że jeden z nich zginął z powodu złego przypięcia się do poręczówki. Tylko tak można wytłumaczyć upadek z półki poniżej stopnia Hillarego.

Błędem organizatorów było niesprawdzenie czy butle z tlenem wyniesione ponad Przełęcz Południową są pełne. Zespoły schodzące ze szczytu z kończącym się tlenem miały tam wymienić butle na nowe. Zostały butle puste.

I tu mamy kolejny poważny błąd. Jeśli ktoś począwszy od wysokości niecałych 7 tysięcy wspina się cały czas z tlenem, znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, gdy tlenu nagle zabraknie. To jest taki szok, jakby ktoś człowiekowi nagle zatkał usta i nos. To jest szok, który może nawet spowodować zatrzymanie akcji serca. Jeśli idę bez tlenu, dostosowuję tempo i wysiłek do warunków rozrzedzonej atmosfery. Jeśli idzie się z tlenem z butli, bez problemu robi się znacznie większy wysiłek. I teraz nagle organizm musi dostać z oddechem odpowiednio dużą porcję tlenu, a jej nie ma. Następuje wówczas niedotlenienie większe niż w przypadku oddychania cały czas rozrzedzonym powietrzem.

Dlaczego? Dlatego, że rozgrzane mięśnie natychmiast spalają cały tlen zgromadzony we krwi, a nie dostają go już tyle, ile potrzebują. W takiej sytuacji znaleźli się już dużo dawniej Eugeniusz Chrobak i Wojciech Wróż na wysokości 8400 metrów na K2. To były jednak stare himalajskie wygi, alpiniści o wielkim doświadczeniu i ogromnej sile fizycznej, a i oni mieli w tej sytuacji potężny problem. Dziś alpiniści dawno już zarzucili metodę wspinania się cały czas z tlenem. Jeśli w ogóle używa się tlenu z butli to tylko w obozach w nocy lub w sytuacjach gwałtownego pogorszenia się czyjś zdrowia. Mówi się wręcz, że jest to tlen „lekarski”.

Na wyprawach komercyjnych, zakłada się z góry stosowanie tlenu z butli i przy tym założeniu łatwo rezygnuje się z prawidłowego okresu aklimatyzacji. Człowiek, który nie jest alpinistą jeżdżącym z wyprawy na wyprawę, potrzebuje średnio 6 tygodni na aklimatyzację. Organizm musi wytworzyć odpowiednią ilość krwinek czerwonych, by lepiej przyswajać tlen. W tym celu kilkakrotnie wchodzi się do kolejnych obozów, nocuje się w nich i schodzi niżej. Rezygnacja z tego procesu i zastąpienie go tlenem z butli, pozwala organizatorom obniżyć koszty, ale naraża ich klientów na większe niebezpieczeństwo. Niektórzy ludzie mają dolar w oczach i ryzykują życiem, ale nie swoim.

Według tradycyjnych zasad bezpieczeństwa górskiego, nie powinno przebywać na tej samej drodze więcej zespołów niż jeden. Dwa zespoły na tej samej drodze, nie tylko sobie przeszkadzają, ale mogą też zrzucić na drugi zespół kamienie, lawiny śnieżne, bryły lodu. Szczególnie niebezpieczne są mijanki, gdy drugi zespół wspina się szybciej i dochodzi do wyprzedzania, lub gdy zespół schodzący już ze szczytu spotyka ludzi idących jeszcze w górę. Często wtedy płaczą się liny, ktoś komuś coś zrzuci (lub kogoś zrzuci), ktoś komuś przez pomyłkę powypina linę z przelotów.

Tymczasem na wyprawach komercyjnych na jednej drodze znajduje się nieraz kilkadziesiąt osób z różnych wypraw. Każdą z tych wypraw kto inny kieruje i nie ma między nimi żadnej współpracy. Notorycznie zdarzają się takie sytuacje, że jakiś słabszy uczestnik wycieczki zatka się w nieco trudniejszym miejscu, a poniżej tworzy się kolejka oczekujących, aż droga się odetka. Skutek jest taki, że ludzie bez odpowiedniej aklimatyzacji stoją i czekają na dużej wysokości, zużywając przez ten czas tlen, którego później może im zabraknąć. Na zdjęciach z takich wypraw nie raz widzimy kilkanaście osób przypiętych do starej, nieco już zużytej, poręczówki, która zwyczajnie może się pod ich ciężarem urwać. Na niektórych odcinkach widzimy nawet kilka starych lin poręczowych, o nieznanym wieku i stanie technicznym, bo kolejne wyprawy ochoczo swoje liny wieszają, a mało kto je później zdejmuje. Znamy też, niestety, przypadki śmierci w górach z powodu zerwania się jakiejś starej liny, bo ktoś się pomylił albo chciał zaoszczędzić.

Kończąc temat – to, co się obecnie dzieje wokół Everestu, dawno nie ma prawie nic wspólnego ani z alpinizmem, ani z urokiem gór. To po prostu smutne zjawisko. Skutek jest taki, że dziś szalenie trudno zrobić w rejonie Everestu jakieś sportowe wejście bez tragarzy wysokościowych, bo w okolicach bazy stale przebywa tłum ludzi i tłum Szerpów, którzy zwietrzyli spore pieniądze i nie odpuszczają. Były nawet przypadki bójk z alpinistami, którzy nie chcieli płacić za niepotrzebne im usługi.

Przykre, ale na naszych oczach powoli umiera etos himalajskich wypraw, a zastępuje go komercja i kicz. Na początku napisałem, że nie lubię terminu „himalaizm”. Między innymi dlatego, że człowiek wciągnięty za uszy i za pieniądze na Everest, często niemal wcale nie umiejący się wspinać, tytułuje się dumnie „himalaistą”, a w rzeczywistości nie jest nawet taternikiem. Obawiam się, że za jakiś czas ktoś wybuduje na Everest kolejkę linową, a na szczycie taras widokowy z kawiarnią. Na szczęście jestem już dość stary, więc może do tego nie dożyję. Na razie cieszy mnie to, że do Namche Bazar nie ma jeszcze asfaltowej drogi, a po drodze pięciogwiazdkowych hoteli. I oby nie było jak najdłużej.

Dodatek drugi

W tej części zamieszczam dla poszerzenia obrazu kilka moich artykułów dotyczących Indii i Nepalu. Najpierw moja korespondencja dla „Kontratekstów” napisana podczas opisanych wcześniej wydarzeń w Nepalu.

Mao wygląda zza Himalajów

Kontrateksty, 17 grudnia 2005.

Stolica Nepalu Kathmandu była wczoraj, 16 grudnia, widownią wielkich demonstracji politycznych. Zamknięte były wszystkie sklepy w ramach strajku generalnego ogłoszonego przez 7 głównych partii politycznych.

Przyczyną było zabójstwo cywilów w Nagarkot dokonane dwa dni wcześniej przez żołnierza. Demonstracje przebiegały na ogół spokojnie, policja uzbrojona w pałki i tarcze nie interweniowała. Tylko z samego rana doszło do drobnych starć na pałki i kamienie. Nad miastem unosił się dym palonych na skrzyżowaniach opon.

Nepal jest obecnie ponad wszelką wątpliwość krajem na krawędzi poważnego kryzysu i widać to na każdym kroku. Zbyt dużo tu napięć i zbyt dużo ludzi nosi tu karabiny. Gdy jedzie się autobusem od granicy indyjskiej w Sonauli, co kilka kilometrów spotyka się posterunki wojskowe. Ktoś powie, że te posterunki były w tym kraju zawsze, ale nie było ich tyle i nie tak wyglądały. Niektóre z nich to prawie małe fortece. Bunkry, worki z piaskiem, walce Browna z drutu kolczastego i ciężkie karabiny maszynowe. Na każdym z tych punktów nepalscy mężczyźni muszą wysiąść, są legitymowani a wojsko sprawdza wnętrze autobusu. Nam, cudzoziemcom wolno zostać w środku.

Od kilku lat w Nepalu operuje maoistowska partyzantka, która toczy coraz cięższe walki z wojskiem. Trudno powiedzieć, by miała szersze poparcie ludności, bo morduje, rabuje i gwałci, ale za to ma poparcie Wielkiego Brata zza północnej granicy. Oczywiście poparcie niejawne, realizowane rękami pośredników, głównie indyjskich partii komunistycznych. Chińska Republika Ludowa oficjalnie się od tej partyzantki odcina, a nawet twierdzi, że „uszczelnia granice” ale w polityce trzeba zawsze myśleć kategoriami, kto ma w tym największy interes. A największy interes niewątpliwie mają Chiny, które właśnie gigantycznym kosztem zbudowały linię kolejową do graniczącego z Nepalem, a podbitego przed pół wiekiem, Tybetu. Należy zapytać: po co? Czyżby inwestowano tak wiele w tworzenie drogi dla turystów lub cherlawej gospodarki Tybetu?

Tu raczej chodzi o co innego. Chiny powoli tworzą sobie drogi do ewentualnej inwazji na kontynent. Ponad 50 lat temu zyskały przejście do Indyjskiej doliny Ladakh, dzięki krótkotrwałej wojnie z Indiami. Później zbudowały Szosę Karakorumską z prowincji Xinjiang do Pakistanu, teraz kolej do Tybetu, skąd już tylko krok do przełęczy Kodari Pass (2500 m. nad poziomem morza), jednego z najniższych przejść przez Himalaje. Bo Himalaje i Karakorum stanowiły od wieków geograficzny problem dla ewentualnej chińskiej inwazji. Przez te najwyższe góry świata przedostać się można tylko przez kilka w miarę niskich przełęczy. Obecnie ChRL ma już przyczółki komunikacyjne przy każdej z nich. W dodatku sytuacja wewnętrzna Nepalu, który byłby dla Chin idealnym przyczółkiem za Himalajami, daleka jest od spokoju. Kilkanaście lat temu Nepal podjął nieudany eksperyment z demokracją. Partie polityczne były wówczas jeszcze słabiutkie, składały się najczęściej z kilkunastu studentów o niezbyt wyszukany wykształceniu. Kathmandu liczyło jakieś 200

tys. mieszkańców i było małym miastem. Z 20 milionowej ludności kraju ogromna większość żyła na wsi, tak biednej, że ledwo żyła. Dziś eksperymentów demokratycznych już nie ma, powróciła twarda monarchia, a za to partie są już silne (co pokazały dobitnie 16 grudnia). Inna też jest teraz stolica. Niby to samo Kathmandu, ale to dziś ogromne, ponad milionowe miasto. Nepalczycy twierdzą, że nawet 5-milionowe, ale to już przesada (dokładnej liczby ludności nikt nie zna, nawet rząd).

Inna jest też rzeczywistość XXI wieku. Telefony komórkowe, telewizja satelitarna, na każdym kroku Internet, masa turystów z całego świata. Nepalczycy nie są już tymi niepiśmiennymi góralami, którzy tylko nosili plecaki alpinistom i ledwie dukali po angielsku. W centrum Kathmandu angielski znają już prawie wszyscy. Ci ludzie widzą anachronizm ustroju swego kraju i chcą zmian. Taki nastrój społeczeństwa i maoistowska partyzantka w terenach wiejskich to mieszanek wybuchowa. Jeśli wygrają maoiści, to świat będzie musiał rozważyć przez nikogo niechcianą perspektywę - perspektywę wojny z Chinami. Nie łudźmy się. Nepalski chłop sam nie kupił sobie kałasznikowa, munduru, radiostacji. Jego nie stać na buty. Ktoś w tę partyzantkę sporo inwestuje i nie robi tego z dobroci serca.

Kolejny artykuł o sytuacji politycznej w regionie napisany miesiąc później.

Rewolucja czy zarzewie nowej wojny?

Kontrteksty, 23.01.2006

Od kilku lat Nepal pogrąża się w wojnie domowej. Od miesiąca napięcie zaczęło gwałtownie rosnąć. Może się to skończyć rewolucją w Nepalu albo ogromną wojną między, największymi państwami Azji - Chinami i Indiami. Świat Zachodni zajęty własnymi sprawami nie zwraca uwagi na pozornie tylko lokalny konflikt, który bardzo łatwo może przekształcić się w wojnę na taką skalę, że trzeba będzie ją nazwać światową. Jeszcze można temu zapobiec, ale trzeba przerwać obojętne milczenie.

Król ma dwa kłopoty

Kłopot pierwszy to maoiści. Ich partyzantka działa od 1996 roku i już raz zdołała odciąć stolicę, Kathmandu, od reszty kraju. W walkach zginęło dotąd co najmniej 12,5 tysięcy ludzi. Partyzanci atakują wojsko i policję, ale także zabijają opornych chłopów, choć głoszą, że tego nie robią. Z kolei wojsko potrafi palić i bombardować z helikopterów wsie podejrzane o sprzyjanie partyzantom. Cały kraj jest pokryty siecią posterunków wojskowych przy drogach. Dosłownie co kilka kilometrów pasażerowie każdego pojazdu są sprawdzani a pojazd rewidowany. Od godziny 22 do 4 rano obowiązuje zakaz ruchu na drogach poza miastami. Posterunki są silnie umocnione (bunkry i worki z piaskiem, ciężkie karabiny maszynowe, zasieki). Patrole wojskowe poruszają się w grupach po 20-30 żołnierzy w odstępach co 5 metrów, z bronią gotową do strzału. Mimo to partyzanci potrafią zatrzymywać autobusy z turystami zbierać „składkę na rewolucję” pod lufą pistoletu maszynowego. Rząd też doi turystów na każdym kroku, bo wojna kosztuje. Wiza zdrożała z 10 do 30 dolarów a za wstęp do niektórych miast trzeba płacić dodatkowo (np. w Baghdapur 10 dolarów).

Kłopot drugi to opozycja demokratyczna. Poprzedni król, Birendra, rozpoczął kilkanaście lat temu eksperymenty z demokracją. Birendra był dość popularny wśród Nepalczyków i mógł sobie na to pozwolić (obecny król, Gyanendra, jest raczej znienawidzony).



Demonstracja uliczna w Kathmandu, 16 grudnia 2005. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kathmandu było wówczas małym miasteczkiem, które całe można było przejść piechotą. Partie polityczne okazały się bardzo słabe i przypominały kluby dyskusyjne garstek pięknoduchów. Demokracja kulała, a król rządził. Stopniowo jednak sytuacja zaczęła się zmieniać. Do miast zaczęła napływać ludność uciekająca przed partyzantami i wojskiem (nie wiadomo, kto gorszy). Kathmandu jest dziś milionowym miastem, a partie polityczne stanowią rzeczywistą siłę. Zmieniły się też aspiracje ludności, która w miastach zaczęła stykać się z prasą, telewizją satelitarną, zachodnimi turystami, Internetem. Ci ludzie chcą już inaczej żyć. Jak mi to powiedział jeden z nepalskich hotelarzy, „marzeniem przestały być buty, a zaczął być samochód”. Marzeniem zaczęła być także wolność, a tego żaden król (i jego rodzina) nie lubi.



Policja na Thametu (Kathmandu). Fot. Krzysztof Łoziński.

1 czerwca 2001 roku król Birendra (wraz z królową Aishwarą i 7 innymi osobami) został zastrzelony przez swego syna Dipendrę, ponoć w czasie rodzinnej sprzeczki. Niby to nic dziwnego, w Nepalu od dawna zmiany władzy odbywały się metodą uśmiercenia tatusia. Gdy jeden z poprzednich królów przejmował władzę za pomocą mieczy kukri, po Darbar Square płynęły spod bramy pałacu strumienie krwi. Czasy się jednak zmieniły, Dipendra królem nie został, tylko więźniem, a następnie popełnił samobójstwo (być może z czyjąś pomocą). Królem został jego wuj Gyanendra.

1 lutego 2005 roku, zaraz po objęciu władzy, Guayendra wprowadził stan wyjątkowy, zawiesił prawa obywatelskie, uwięził czołowych przywódców opozycji. Tłumaczył to koniecznością rozprawienia się z maoistami, którzy, prawdę mówiąc aniołami nie są - planują gigantyczną zbrodnię na wzór Czerwonych Khmerów z Kambodży (wszyscy mają być „równi”, pracować na roli, miasta mają być zniszczone itp.). Tym pociągnięciem król popularności nie zyskał, ataki maoistów się nasiliły, partie polityczne zaczęły konspirować. Stan wyjątkowy został odwołany w kwietniu 2005, ale niewiele się zmieniło. We wrześniu 2005 roku, po serii klęsk w bitwach, maoiści ogłosili jednostronny rozejm (by leczyć rany). Wojsko rozejm odrzuciło, ale panował względny spokój. 2 stycznia tego roku maoiści zerwali rozejm i przystąpili do ataków. Ich przywódca Amal „Prachandra” zapowiedział „zniszczenie armii”. Według doniesień, przez 2 tygodnie zginęło w walkach już co najmniej 59 osób po obu stronach, a zapewne dużo więcej.

Co się stało w Nagarkot?

14 grudnia w himalajskim kurorcie Nagarkot (40 km na wschód od Kathmandu) odbywał się religijny festyn. Uzbrojony żołnierz wszedł między tańczących ludzi i został przez nich otoczony. Trzeba pamiętać, że ci żołnierze od 10 lat żyją w ciągłym oczekiwaniu na strzały w ich kierunku. Otoczony przez ludzi żołnierz wpadł w panikę i zaczął strzelać. Zabił 12 osób i ranił 19, zanim został zaszytyetowany przez mnichów buddyjskich.

W kraju zawrzało. 7 głównych partii politycznych wezwało do strajku powszechnego w dniu 16 grudnia. Zamknięte były niemal wszystkie sklepy. W Kathmandu odbywały się wielkie demonstracje uliczne. Rano doszło do starć z policją na pałki i kamienie. Demonstranci spalili kilka otwartych sklepów. Później jednak, aż do wieczora protesty przebiegały spokojnie. Policja w hełmach, z pałkami i tarczami, raczej ustępowała pola.

Po 2 dniach spokoju, 19 grudnia, wobec beczynności rządu doszło do ponownych demonstracji na Thamelu (dzielnica Kathmandu) i w kampusie uniwersyteckim. Emocje rozpały się coraz bardziej. Rząd ścigał do miasta wojsko.

Kolejne demonstracje i starcia z policją miały miejsce 1 stycznia w Kathmandu.

2 stycznia maoiści odwołali jednostronny rozejm, twierdząc, że wojsko zaczyna ich otaczać. Myślę, że raczej na tle niepokojów społecznych poczuli koniunkturę. Wkrótce, 12 stycznia, doszło do bitwy, w której zginęło 10 maoistów. 14 stycznia w okolicach Kathmandu eksplodowało 5 bomb. Partyzanci zaatakowali posterunek wojskowy w Thankot, przy głównej drodze ze stolicy do przejścia granicznego z Indiami w Sonauli, a jednocześnie na odcinku wspólnym z drogą do Pokhary (drugiego miasta Nepalu). Thankot leży 15 km na południowy zachód od Kathmandu. W walce zginęło 11 żołnierzy. Kolejnych trzech poległo w ataku na Bakhdapur, miasteczko położone 20 km na wschód od stolicy. Tego samego dnia

doszło do bitwy w okręgu Syangdża na zachodzie kraju. Poległo w niej 16 maoistów i jeden żołnierz.



Demonstranci w Kathmandu. Fot. Agnieszka Glinkowska (Łozińska).

Następnego dnia, w eksplozji bomby w Dadikot, 8 km od Kathmandu, zginął jeden żołnierz a 6 zostało rannych. 10 osób „uznano za zaginione”. W ten sposób wojsko określa zabitych przez siebie cywilów.

15 stycznia 150 tysięcy ludzi wyszło na ulice miasta Janakpur, na południowym wschodzie kraju, domagając się demokracji i abdykacji króla.

Po tych incydentach, 16 stycznia, rząd ogłosił w Kathmandu godzinę policyjną od 22 do 4 rano, w ramach obwodnicy Ring Road otaczającej całe miasto.

17 stycznia, w Nepalgunj, 500 km na zachód od Kathmandu, maoiści zabili 4 policjantów i zbiegli ze zdobytą bronią i amunicją.

19 stycznia zarządzono w Kathmandu kolejną godzinę policyjną od 8 rano do 18-tej. Tak więc ludność miasta może się poruszać tylko przez 4 godziny rano i 4 godziny wieczorem.

Już następnego dnia, 19 stycznia, doszło w Kathmandu do regularnych rozruchów antyrządowych. Demonstranci domagali się demokracji i końca autorytarnej władzy króla. W starciach z policją co najmniej 50 osób zostało rannych a około 200 aresztowano. Nieco wcześniej policja aresztowała około 100 działaczy politycznych, co tylko rozsierdziło demonstrantów. W protestach uczestniczy zgodnie 7 głównych partii politycznych od komunistów do prawicy. Przeciw są tylko rojaliści.

20 stycznia, w Makawanpur, 100 km na wschód od Kathmandu doszło do starcia, w czasie którego poległo 10 maoistów. Tyle na dzisiaj.

Sytuacja jest tym bardziej skomplikowana, że grę prowadzą też dwa ogromne państwa ościenne - Indie i Chiny. Jeden z Nepalczyków powiedział mi jeszcze w grudniu, że maleńki Nepal jest między tymi olbrzymami „jak pestka w kleszczach”. Rząd lawiruje jak może. Niedawne wydanie Chinom tybetańskiego uchodźcy, które tak zbulwersowało świat Zachodu, nie było podyktowane nagłą miłością do Wielkiego Brata z Pekinu, lecz strachem, by go nie drażnić.

Zaniepokojenie sytuacją w Nepalu wyraziły już UE, ONZ, Wielka Brytania, USA, Japonia i Indie.

Kto ma w tym największy interes?

Oczywiście w zamieszaniu, a nie w demokratyzacji Nepalu. Odpowiedź jest prosta - Chiny.

Od wieków imperialne zapędy Chin były tamowane przez warunki geograficzne. Inwazja na wschód była niemożliwa ze względu na ogromne bezludne obszary Syberii i Azji Centralnej. Drogę na południe zagrażały Himalaje, Karakorum i Wyżyna Tybetańska. Strategicznym problemem Chin komunistycznych było od lat uzyskanie przejścia przez tę naturalną zaporę, ale problem ten jest stopniowo rozwiązywany. Już wiele lat temu Chiny wybudowały Szosę Karakorumską, szeroką autostradę do Pakistanu przez pasmo Karakorum - jednych z największych gór świata. Ta droga, choć jest używana w znikomym stopniu, jest ogromnym kosztem stale utrzymywana w dobrym stanie. Po co? Dla znikomego ruchu granicznego z północnego Pakistanu do pustynnego Xinjiangu?

Drugie podejście drogowe do granic Indii wybudowano na wschodzie, w rejonie granicy z Darjelingiem. Trzecie istnieje od lat i łączy Nepal z Lhasą w Tybecie przez przełęcz Kodari Pass. Do niedawna była to droga do nikąd, bo Chiny Centralne nie miały dobrego połączenia drogowego z Tybetem. Niedawno jednak wybudowano koszmarnie drogą kolej do Lhasy. I znów pytanie: po co? Dla cherlawego handlu i turystów wydano miliardy dolarów? Różne złe rzeczy można mówić o władcach Chin, ale na pewno nie są to idioci.

Chińska doktryna wojenna zakłada wieloletnie powolne przygotowania do podjęcia działań zbrojnych. Takie przygotowania mogą trwać nawet dziesięciolecia, co zresztą usypia czujność przeciwnika. Te szlaki komunikacyjne nie są tworzone przypadkowo, co nie znaczy, że władcy Chin już zdecydowali się na inwazję. Oni raczej chcą zapewnić sobie taką możliwość, by ją mieć, gdy stanie się potrzebna. Do pełni gotowości potrzeba im jeszcze

jednego - dużego przyczółka po drugiej stronie Himalajów. Nepal idealnie nadaje się do tej roli.

Od 10 lat działa w Nepalu maoistowska partyzantka i trzeba być bardzo naiwnym, by myśleć, że powstała ona samorzutnie i nie jest z zewnątrz finansowana. Obywatele Nepalu są zbyt biedni, by mogli samodzielnie uzbroić i umundurować partyzantów. W dodatku broń tych partyzantów nie pochodzi z kraju. Armia rządowa nie ma chińskich kałasznikowów, tylko amerykańskie colty M-16 i winchestery. Oczywiście Chiny nie wspierają partyzantów jawnie. Pośrednikami są skrajnie lewicowe ugrupowania w Indiach i to przez indyjską granicę płynie do Nepalu broń. Skąd ją biorą indyjscy lewacy? Na pewno nie od rządu. I na pewno nie kupują jej za własne pieniądze. Partyzanci od lat wymuszają haracze od turystów, które ostatnio wzrosły z 5 do 20 dolarów, ale to ciągle znacznie za mało na uzbrojenie partyzanckiej armii. Jedynym krajem, który ma w tym interes, są Chiny. Gdyby odrzucić teorię o uzbrajaniu partyzantów przez Chiny, trzeba by uznać, że wspierają ich kosmici.

Dogodny moment czy przypadek?

Od kilku lat ChRL zwiększyła znacznie nakłady na zbrojenia, choć większość analityków skłania się do poglądu, że są to przygotowania do inwazji na Tajwan. Trudno jednak uznać za takie zajmowanie bezludnych wysepek należących do Indonezji lub Filipin oraz na Oceanie Indyjskim. Od lat taktyka jest ta sama. Najpierw chińscy rybacy zakładają osadę. Później pojawia się chiński posterunek „dla ich ochrony”, następnie powstaje niewielki port. Stopniowo posterunek zamienia się w niewielki garnizon, a Indonezja, kraj 17 tysięcy wysp, nie reaguje, bo ma ważniejsze problemy wewnętrzne. To jest po prostu pełzające zakładanie baz morskich na Oceanie Indyjskim i Południowym Pacyfiku. Wątpliwe, by te działania miały cokolwiek wspólnego z Tajwanem.

Czy mają jednak coś wspólnego z Indiami? Trudno powiedzieć. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że Chiny nie planują inwazji na Indie już teraz, choć nie wykluczają jej w przyszłości. Te dwa wielkie azjatyckie kraje różni wszystko. Chiny to totalitarny reżim, agresywny, stawiający na wrogi światu nacjonalizm jako wiodącą ideologię. Indie to demokracja, otwarta, przyjazna, tolerancyjna. To skrajne przeciwieństwa. Zarazem oba kraje bardzo szybko się rozwijają i mają ogromne zasoby ludzkie - Chiny 1.300 mln., Indie 1.100 mln. Ich szybko rosnące gospodarki i szybko rosnące pozycje polityczne w świecie są jak dwa pojazdy potencjalnie pędzące do czołowego zderzenia. Zwłaszcza, że Chiny zaczynają się czuć zagrożone. Gospodarka indyjska zaczyna ich gospodarkę doganiać, a ludność Indii przyrasta już szybciej niż ludność Chin. Za 20 lat Indie prześcigną Chiny pod względem liczby ludności. Ekonomiści prognozują też, że gospodarka indyjska przyspieszy, a chińska zwolni. Chiny, od lat przyzwyczajone do myśli, że będą pierwszą potęgą Azji, zaczynają dostrzegać konkurenta.

Myślę jednak, że Chiny nie chcą starcia już teraz. Zresztą nie są do niego ostatecznie przygotowane. Co jednak będzie, gdy w Nepalu maoistowska partyzantka zacznie zdobywać przewagę i zyska szansę na zawładnięcie państwem tak bardzo Chinom potrzebnym w roli przyczółka za Himalajami? Czy Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza nie zechce przyjść im „z bratnia pomocą”? Albo odwrotnie, gdy tej partyzantce zacznie grozić całkowite unicestwienie, komuś w Pekinie mogą puścić nerwy i może wydać rozkaz interwencji. Czy z kolei Indie mogą na to patrzeć spokojnie? Każdy polityk indyjski wie, że ustanowienie chińskiego przyczółka w Nepalu stanowi śmiertelne zagrożenie dla ich kraju. Jeśli gigantyczna armia chińska przekroczy Himalaje, nikt nie będzie w stanie jej zatrzymać.

Co gorsza, oba kraje mogą planować jedynie konflikt lokalny, na niewielką skalę, ale taki konflikt łatwo może przerodzić się w dużo większy. Lokalna wojna o Nepal może przerodzić się w wojnę chińsko-indyjską, nawet jeśli nikt świadomie nie będzie do tego dążył. To dlatego obecna sytuacja jest tak niebezpieczna.

Czym to może grozić?

Oba kraje mają ogromne armie i broń atomową. W dodatku nie wiadomo, jak się wówczas zachowa od dziesięcioleci skonfliktowany z Indiami, 160 milionowy, Pakistan (też posiada broń atomową). Gdy 2 lata temu groził konflikt atomowy między Pakistanem a Indiami, analitycy wojskowi przewidywali następujący scenariusz: Może zginąć od 20 do 200 milionów ludzi. Gospodarki obu krajów załamią się. Żaden kraj świata nie będzie w stanie udzielić skutecznej pomocy ofiarom takiego kataklizmu. Śmierć głodowa może zebrać kolejne miliony ofiar. Straty gospodarcze mogą spowodować kryzys globalny (już same Indie mają spory udział w obrocie gospodarczym świata).

A co by było, gdyby doszło do wymiany atomowych ciosów między Indiami, Chinami i Pakistanem? Te trzy kraje to 2.560 milionów ludzi. Wojna z udziałem 400 milionów żołnierzy i bomb atomowych? Strach się bać.

Może więc lepiej już teraz zająć się rozwiązaniem konfliktu w Nepalu i zapobiec rozlaniu się go na całą Azję? Społeczność międzynarodowa, ONZ i USA jako jedyna obecnie potęga, powinny przerwać bierne milczenie.

Kolejny artykuł dotyczy Indii

Slumsy nie rosną razem z PKB

Kontrataksty, 8.10.2010



Slumsy. Varanasi. Fot. K. Łoziński

Z zainteresowaniem przeczytałem reportaż korespondentki Gazety Wyborczej z Bombaju pt. „Slumsy rosną razem z PKB” w weekendowym wydaniu Gazety z dnia 18 września. Nie kwestionuję jego prawdziwości, ale uważam, iż wytwarza on nie do końca prawdziwe wrażenie na temat Indii. Chodzi mi zwłaszcza o wrażenie, że w Indiach bogacą się klasy wyższe, a bieda pozostaje, jak była. To, co piszę, nie jest jednak polemiką, a raczej uzupełnieniem obrazu.



Bezdomna rodzina. Varanasi. Fot. Krzysztof Łoziński

Mam długą perspektywę obserwacji Indii, bo byłem w tym kraju 13 razy na przestrzeni 31 lat. W tym czasie zaszły tam kolosalne zmiany na plus i nie można ich lekceważyć, choć przy jednorazowej obserwacji się tego nie widzi. W 1979 roku widziałem na ulicach Delhi, Amritsaru, Agry i Jammu ludzi umierających z głodu, także ciała zmarłych. Nie była to już jednak systemowa klęska głodu, jak dawniej, lecz permanentne niedożywienie części biedoty. Ci ludzie jedli raz na 3 dni i wystarczyło, by coś im się nie powiodło, wypadły dwa kolejne posiłki... Nie było to zjawisko masowe, ale widoczne. Ostatni raz widziałem

biedaka umierającego z głodu w 1976 roku na dworcu w Lucknow. Dziś można powiedzieć, że Indie są wolne od głodu i jest to chyba najważniejszy sukces tego kraju.

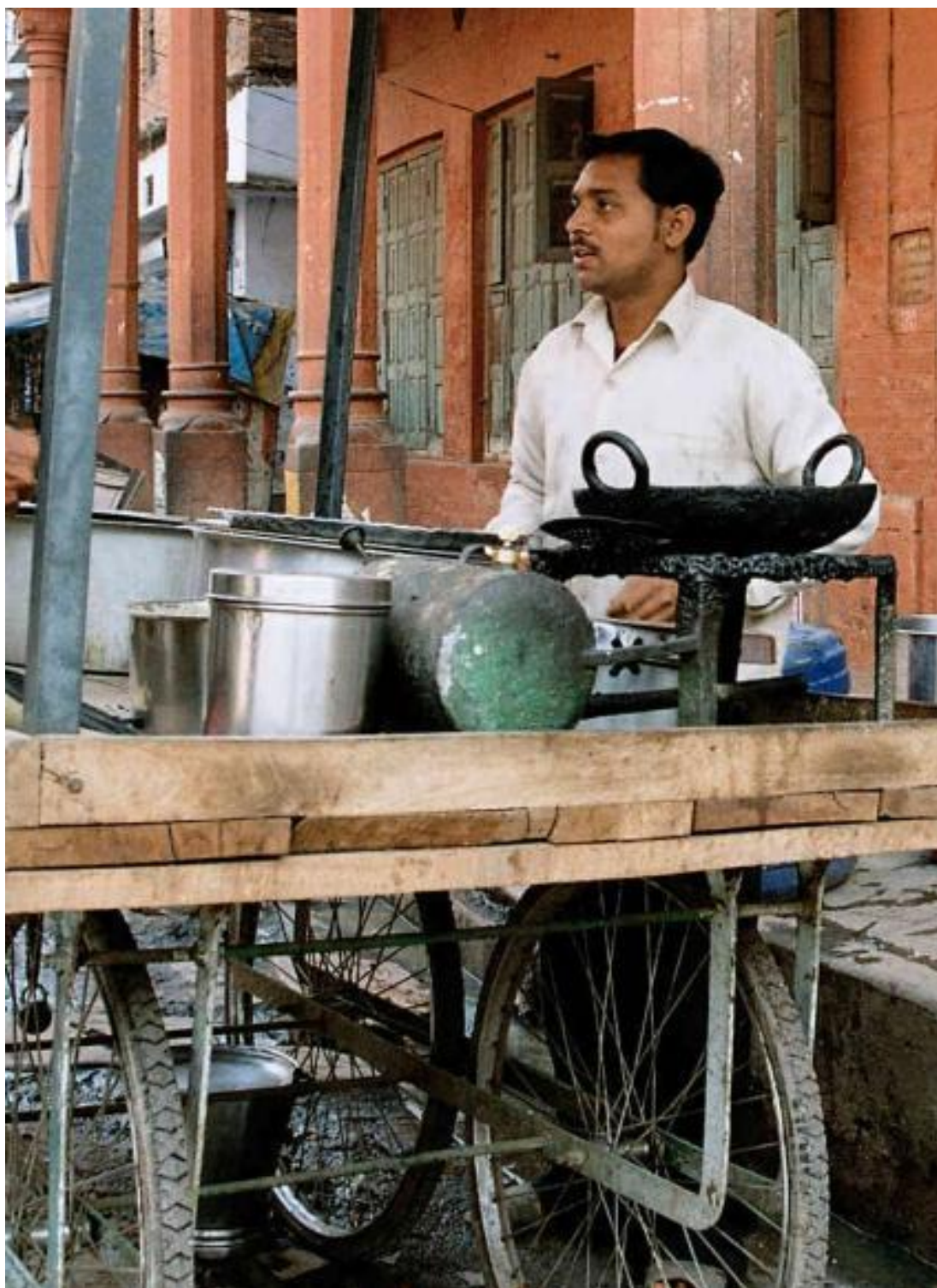
Bieda owszem istnieje, ale nie można jej porównywać z biedą sprzed 30 lat. Dziś nie widzi się żebraków trzymających na kolanach martwe noworodki wypożyczone do żebrania od rodziców. Znacznie mniej jest celowo okaleczanych do żebrania dzieci i można powiedzieć, że to zjawisko zanika. Bardzo zmalało też bezrobocie, choć w wielu miejscach nadal kwitnie tradycyjny system zatrudniania: codziennie na jeden dzień, bez żadnej stałej umowy. Np. przedsiębiorca taksówkowy spotyka się codziennie rano z chętnymi do pracy kierowcami i palcem pokazuje, kto dziś jeździ. Często, zwłaszcza w budownictwie i pracach na roli, pokutuje jeszcze inny element złej tradycji - zatrudnianie z całą rodziną. Płaci się jednemu, a cała rodzina pracuje. Szansa na pracę zależy od liczby dzieci i jest to jeden z powodów ogromnego przeludnienia.



Farbowanie nici. Gorakhpur. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ale w dzisiejszych Indiach jest coraz mniej miejsc, w których można ludzi w taki sposób zatrudniać, bo rozwój kraju wymusza kwalifikacje zawodowe. Poza tym zmieniły się, i to znacznie, zarobki nawet tych najbiedniejszych. Pamiętam sytuację z 1979 roku, gdy cała rodzina indyjska strzygła nożyczkami trawnik w polskiej ambasadzie i wypłacono im za to 4 rupie (wówczas 50 centów). Dziś coś takiego jest niemożliwe, choć nadal widać ludzi szukających pracy z jednym narzędziem. Człowiek z siekierą może coś nią przerąbać, ten z miotłą może coś zamieść, a kobieta z miską może coś w tej misce przenieść. Owszem, są

ludzie mieszkający na placu budowy w namiotach z folii i śpiący na ziemi, ale w tym kraju cały rok jest ciepło. Nie można mechanicznie przeliczać indyjskich zarobków na nasze. Jeśli czytam w reportażu, że kobieta sprzątajaca mieszkania otrzymuje za jedno mieszkanie 300 rupii (ok. 6 dolarów), to nie jest to równowartość 18 złotych, bo za 300 - 400 rupii wynajmowałem na Main Bazar w Delhi dwuosobowy pokój hotelowy z łazienką, ciepłą wodą i klimatyzacją. Oczywiście był to niski standard, ale w Polsce za 18 złotych nie wynajmę nic. Za 100 rupii można w Delhi zjeść całkiem porządny posiłek, choć w przeliczeniu na nasze jest to 6 złotych.



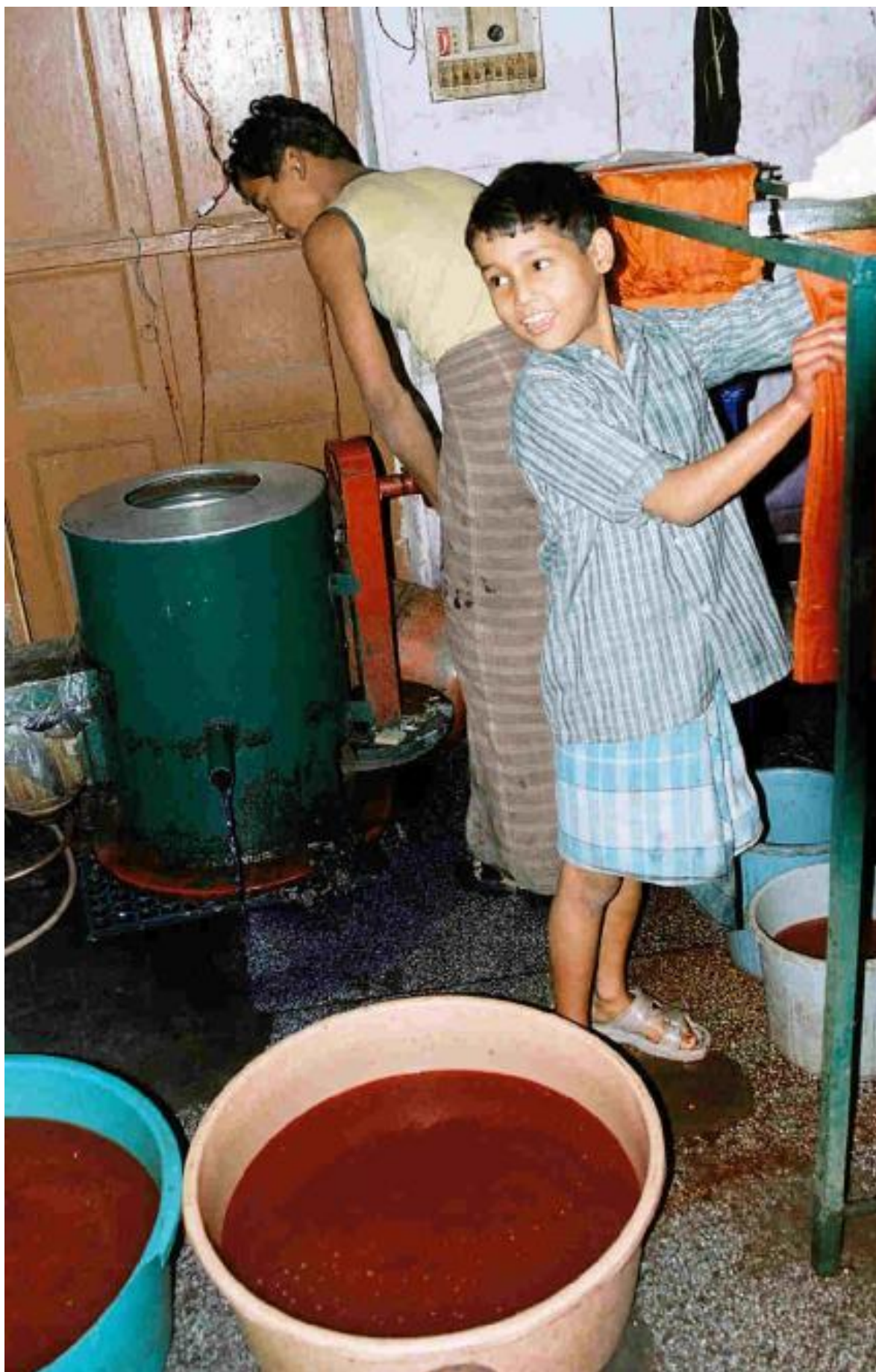
„Ciapati buisnes”. Agra. Fot. Krzysztof Łoziński.

W indyjskiej gospodarce dominuje tzw. „ciapati buisnes”. Ciapaty to naleśniki z samej mąki i wody. Jeśli na dworcowym peronie dwaj faceci smażą ciapaty na palniku naftowym pod szyldem „Ashoka & Sons”, lub kobieta siedząc na ziemi maluje henną wzory na dłoniach turystek, a uliczny fryzjer strzyże przed lustrem przybitym do drzewa, to jest to „ciapati buisnes”, czyli „kiepski interes”, bo takie jest przenośne znaczenie tego zwrotu. Ale wszechobecny „ciapati buisnes”, który aż się kłębi na ulicach miast, jest jednym z głównych motorów rozwoju tego kraju. To dzięki milionom takich „przedsiębiorstw” kraj idzie w górę, nie tylko dzięki koncernowi TATA i dolinie krzemowej w Bangalore. Przenoszenie europejskich pojęć na azjatyckie realia może być bardzo zawodne. Nasi rodacy użalają się nad indyjskimi dziećmi pracującymi w tkalni, lub farbującymi pędzlem nici rozciągnięte między dwoma słupami, a ja myślę, że lepiej, jeśli te dzieci pracują, niż żebrzą i głodują.



Dzieci pracujące w tkali. Waranasi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Jednorazowa obserwacja Indii, zwłaszcza z jednego miejsca, może być bardzo zawodna, bo ten kraj to ogromna różnorodność: 8 głównych religii, wiele narodowości, języków. Niebezpieczne jest uogólnianie takich obserwacji, bo kraj ma obszar porównywalny z całą Europą i liczbę ludności większą niż dwie Unie Europejskie (ponad 1,2 miliarda). Widziałem w Indiach wieś między Sonauli a Gorakhpur, w której nie mogłem kupić bananów, bo nikt nie mógł wydać reszty z 50 rupii (wtedy były to 2 dolary), a tydzień później hotel w Kalkucie, w którym nie było mnie stać nawet na wodę sodową w barze.



... i w farbiarni tkanin. Waranasi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Mieliśmy w Indiach taką przygodę: Moja przyjaciółka (obecnie już żona) powiedziała Sikhowi kierującemu rykszą motorową, że byliśmy w Złotej Świątyni w Amritsarze, a ten tak się wzruszył, iż musiał nas zawieźć do analogicznej świątyni w Delhi (za darmo). Musieliśmy w tym celu podjechać do „jego samochodu”. Wielkie było nasze zdziwienie, gdy tym „jego samochodem” okazała się kilkuletnia toyota corolla, której bym się w Polsce nie powstydził. Indie potrafią zaskakiwać.



Szycie kolder na ulicy przez jednodniowych pracowników. Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Martwi mnie, że Polacy tak mało o Indiach wiedzą, że tak mało jest w naszych mediach kraju stanowiącego 20 procent ludzkości. Ciągłe pokutuje stereotyp leniwego Hindusa w turbanie i Indii jako wyłącznie synonimu nędzy (turbany noszą Sikhowie, a gdyby Polak miał tak ciężko pracować, jak Hindus, to by umarł). Największa azjatycka nędza to nie Indie, to Kambodża, Laos, Birma, Nepal. Te kraje są tak biedne, że nie mają za co zacząć się rozwijać, a Indie mają ponad 7 procent wzrostu PKB. 30 lat temu na ulicach królowały stare ambasadory w tragicznym stanie technicznym, a dziś dominują toyoty, mercedesy, fordys i to nie koniecznie stare.



Thum. Delhi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Podstawowy problem dzisiejszych Indii to przeludnienie. Kraj ma obecnie około 7 procent wzrostu PKB rocznie, ale jednocześnie w ciągu ostatnich 30 lat liczba ludności wzrosła o prawie 500 milionów. Dlatego wzrost PKB per capita jest znacznie mniejszy niż samego PKB. Po prostu nowi ludzie zjadają nowy dochód. Nie jest to jednak ta sama proporcja. PKB per capita też rośnie, ale wolniej. Rosną też, choć wolno, realne dochody najbiedniejszych. Nie jest więc prawdą, że „slumsy rosną razem z PKB”.

Polska niewiedza na temat Indii objawia się nieraz w sposób komiczny. Po zamachu w Bombaju, prezydent Lech Kaczyński składał kondolencje „panu prezydentowi Indii” - kobiecie, zaś wicepremier Andrzej Lepper ironizował: „co Hindus może wiedzieć o hutnictwie”, mówiąc tak o jednym z największych koncernów hutniczych świata. Polscy prezenterzy telewizyjni notorycznie źle wymawiają nazwy indyjskich miast i mylą jogina z fakirem (fakiryzm to zjawisko islamu). Warto by w polskich mediach poświęcać Indiom znacznie więcej uwagi, bo to dziś jeden z najważniejszych krajów świata.

W kolejnym tekście wracamy do Nepalu, ale już z innego powodu: gigantycznego trzęsienia ziemi w 2015 roku.

Co się stało w Nepalu i co z tego wynika

Studio Opinii, 27.04.2015.

Nie ukrywam, że jestem dość mocno związany emocjonalnie z Nepalem i temat nie jest mi obojętny. Byłem w tym kraju dziewięć razy, przeważnie jako uczestnik i kierownik himalajskich wypraw (alpinistycznych, nie turystycznych trekkingów). Ostatnio byłem w 2008 roku, z żoną, już tylko turystycznie. Pamiętam Kathmandu jako jeszcze małe miasteczko, które całe można było przejść piechotą, a które później, z powodu uciekania ludzi ze wsi przed wojną domową, urosło do ponad miliona mieszkańców.



Kathmandu, stupa w Świątyni Malp. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kathmandu było jednym z najciekawszych pod względem ilości i jakości zabytków miast świata, podobnie jak pobliski Patan (dziś dzielnica Kathmandu) i Bhakdapur (inaczej Bhadgaon), razem trzy królewskie miasta historycznego Nepalu. Niestety dziś znaczna część tych zabytków leży w gruzach. Z nadchodzących doniesień i zdjęć trudno dokładnie się zorientować w skali zniszczeń, ale z całą pewnością są one ogromne. Potężnie zniszczone zostały najważniejsze obiekty historycznego centrum miasta, Durbar Square. Na zdjęciach widać, że zawaliły się całkowicie co najmniej dwie świątynie na Durbar Square, ucierpiała częściowo świątynia Kumari i stary pałac królewski. Częściowo ucierpiał też nowy pałac, zawaliła się biała wieża z początku XIX wieku położona nieco dalej na południe od centrum. Nie była może tak cennym zabytkiem, jak otoczenie Durbar Square, ale niestety pogrzebała pod gruzami co najmniej 50 osób.

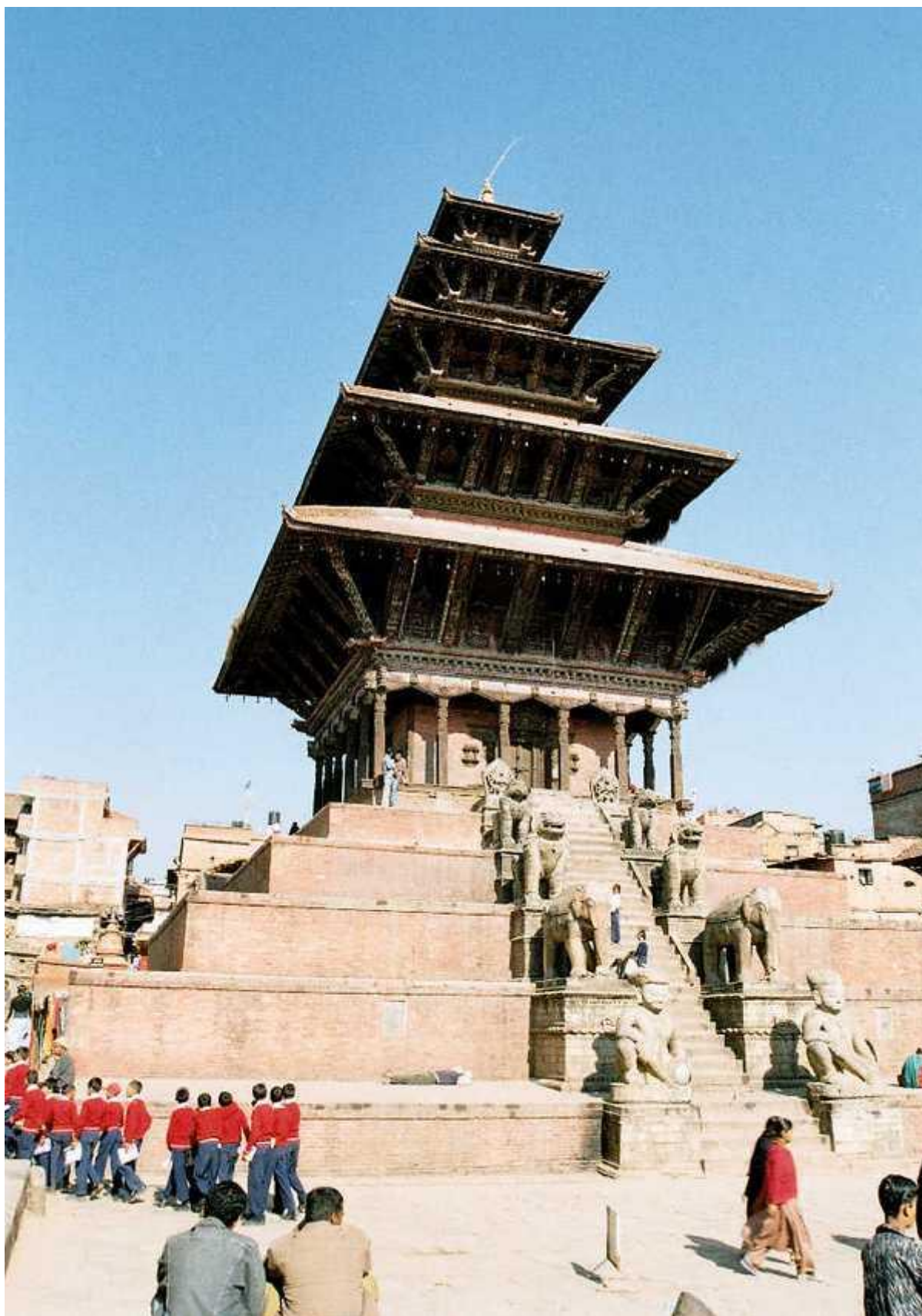


Kathmandu, Durbar Square. Wszystkie widoczne obiekty są dziś zniszczone. Fot. Krzysztof Łoziński.

Nie wiemy, co z innymi zabytkami, Świątynią Małą, Pasupatinth, starówkami Patanu i Bhakdapur. Nie ma dokładnych wieści z innych miast, np. z Pokhary. Kto nie był w Nepalu, nie czuje skali strat dla kultury i historii. To były cuda architektury, niektóre bardzo stare. Najstarszy obiekt w Pasupatinath ma prawdopodobnie ok. 3,5 tysiąca lat.

Podkreślam wyraźnie, to nie są jakieś tam zabytki, to jedne z najbardziej wartościowych zabytków świata, których w dolinie Kathmandu jest mnóstwo, jak mało gdzie.

Ogromne zniszczenia dotyczą też zwykłych, nie zabytkowych części miasta, np. Thamelu, gdzie rutynowo zatrzymywali się uczestnicy polskich i nie tylko polskich wypraw. Przerażająca jest liczba ofiar, i myślę, że ostatecznie będzie ona dużo większa. Nie docierają jeszcze wieści z odległych górskich wiosek, w których nie ma ani drogi, ani telefonu, do których całe zaopatrzenie dociera na plecach kulisów lub grzbietach jaków. A przecież tam może być najgorzej, bo tam nawet nie ma kto ratować.



Bhaktapur, jedna ze świątyń. Całkowicie zawaliła się podczas trzęsienia ziemi. Fot. Krzysztof Łoziński.



Patan, Durbar Square (Plac Koronacyjny, czyli Główny Rynek). Został w znacznej części zniszczony. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ogromna liczba ofiar wynika z paru przyczyn. Domy w miastach najczęściej budowane są z cegły, często bez żadnych elementów betonowych, które by to wszystko wiązały. Ściany ceglane są cienkie, bo kraj jest biedny i oszczędza się na materiałach. Takie domy są zupełnie nieodporne na wstrząsy. Jeszcze gorzej jest na wsiach. Tam ściany domów są po prostu układane z płaskich kamieni, jeden na drugim, bez żadnej zaprawy, jak z klocków. Taki dom, nawet przy słabym wstrząsie po prostu się rozsypuje, zamienia się w kupę piargu. W dodatku cały kraj, poza równiną Teraju, to wielkie góry, Sivalik i Himalaje. Tak potężne trzęsienie ziemi powoduje zawsze osuwiska zboczy, lawiny nie tylko śnieżne, ale także skał i seraków (ogromnych bloków lodu o wymiarach od kilku do kilkudziesięciu metrów, czasem nawet ponad stu metrów), powoduje powstawanie nowych szczelin na lodowcach i spiętrzanie wód w górskich rzekach. Nie ma chyba nic groźniejszego niż trzęsienie ziemi w górach.

Ogromne problemy mogą być z dotarciem do ofiar. Zazwyczaj w takich wydarzeniach zawalają się prawie wszystkie mosty, a bez nich przekroczenie górskich rzek to potężny problem. W wielu wsiach nie ma telefonów, nawet komórkowych, bo nepalskich chłopów na to nie stać. Zresztą, często nie ma i prądu, a nawet jak był, to linie zostały zerwane. Oczywiście zawsze dotrze helikopter, ale to jest kraj, w którym helikoptera trzeba by używać niemal wszędzie, a skąd ich tyle wziąć? Aby dopełnić obrazu, dodam, że poza głównymi miastami służba zdrowia praktycznie nie istnieje, nie ma pogotowia, lekarzy, niczego.

A teraz wniosek pierwszy. Potrzebna jest natychmiast poważna pomoc międzynarodowa, bo Nepal sam nie da sobie rady. Tak potężne trzęsienie ziemi byłoby strasznym szokiem nawet dla Szwajcarii, a Nepal to jeden z najbiedniejszych krajów świata. W dalszej perspektywie warto by pomyśleć o jakiejś stałej międzynarodowej strukturze, np. pod egidą ONZ, do ratowania ludzi w przypadku takich kataklizmów. Obecnie wszelkie akcje ratunkowe to kompletna improwizacja i kończą się gdy tylko mija zainteresowanie mediów,

a ludzie w biednych krajach zostają po prostu porzuceni swoim nieszczęściem i nikogo to nie obchodzi.

I sprawa kolejna. Trzeba będzie pomóc Nepalowi odbudować nie tylko zabytki, ale i mosty, drogi, domy, telefony...



Nepal, most wiszący. Szansa, by takie mosty przetrwały jest znikoma. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kolejnym problemem dla nas, westmanów – ludzi gór, jest sytuacja wokół Everestu, a zapewne nie tylko tam, tylko o tym, jeszcze nie wiemy. Z tego co wiadomo w informacyjnym chaosie, na bazę wypraw pod Everestem, na wysokości 5300 m, zeszła spora lawina ze ściany szczytu Pumori (7145 m), zasypując część obozowiska zajmowanego przez setki turystów i przewodników. Zginęło, wedle różnych źródeł od 15 do 25 osób, ok. 80 odniosło rany. Ale nie to chyba jest najgorsze. Pierwszym etapem drogi na Everest jest Icefall (lodospad Khumbu). Jest to obszar o długości ok. 2 kilometrów i różnicy wysokości 700 metrów będący właściwie rumowiskiem seraków, bloków lodu wielkości wieżowca. Dla pierwszych wypraw na Everest wielkim problemem było wytyczenie drogi przez Icefall, którą zabezpiecza się linami poręczowymi i aluminiowymi drabinami. Co roku, a czasem częściej, wytycza się ją do nowa, bo tam wszystko się rusza i ciągle się zmienia. W tej chwili wszystko się tam poprzesuwało, przewracało, popękało, a powyżej Icefallu, na wysokości 6000 – 6100 m, podobno znajduje się ponad stu ludzi, którzy niemają jak zejść, bo innej drogi nie ma. Co gorsza, ci ludzie to w większości nie alpinści, lecz turyści, których umiejętności wspinania się w lodzie są nader mizerne. Poza tym, podczas kataklizmu nieznana liczba osób znajdowała się w drodze przez Icefall i praktycznie nic o nich nie wiadomo. Z docierających informacji wynika, że kolejne lawiny zeszły z południowej ściany Everestu na Icefall oraz Western Cown (ogromną kotlinę ponad Icefallem, otoczoną ścianami Everestu, Lhotse i Nuptse – taki kocioł do którego wszystko z trzech stron spada) niszcząc obozy II i III. Ludzie, którzy tam przebywają wcale nie są bezpieczni, choć pozornie są na płaskim.



Himalaje. Tacy maleńcy w skali tych gór są ludzie. Od lewej Everest, Nuptse, Lhotse (z odległości ok. 20 kilometrów) i Cholatse (znacznie bliżej). Zdjęcie z wyprawy na Mahermo Kang, podchodzą Krzysztof Łoziński i Irena Dębowska. Fot. Elżbieta Fałtynowicz.

I tu czas na poważniejszą refleksję, nad tym, co dzieje się z ruchem turystycznym w Himalajach, nie tylko wokół Everestu (przypomnijmy niedawną rzeźnię na całkowicie turystycznym szlaku wokół Annapurny, szlaku tak łatwym, że większość jego można przejechać samochodem terenowym). Na Everest pchają się dziś tysiące ludzi, których Szerpowie i inni przewodnicy, oczywiście na szczyt za pieniądze wciągną. Tym ludziom wydaje się, że wystarczy trochę pobiegać, trochę popakować na siłowni, kupić sobie sprzęt i zapłacić Szerpom, by wejść na Everest. Ogromna większość tych ludzi, nie była wcześniej na wyprawach na inne duże góry, nie mówiąc o niższych ośmiotysięcznikach. Trochę się poszajali po Alpach czy innych górach i hop na Everest. A ten cały przemysł turystyczny z tego żyje. I to się udaje, dokąd wszystko dobrze idzie. To tak, jakby z biegania po parku zrobić hop na maraton. Tylko w maratonie, gdy nie da się rady, można zejść z trasy, iść do autobusu i wrócić do domu. W górach tak się nie da. Nawet gdy chcę się wycofać, to mam ciągle przed sobą wiele godzin, a nawet dni, ciężkiego wysiłku. W górach nawet pomoc ratowników może nadejść za wiele godzin lub dni. Można mieć problem z dożyciem do pomocy. I dlatego to nie jest takie „hop”. Powtarzam wyraźnie, większości tych ludzi to nie są alpiniści, to są turyści, którzy w skutek megalomanii tytułują się „himalaistami”.

Przypomnijmy sobie zeszłoroczne wydarzenia pod Annapurną. Turyści umierali w miejscu i okolicznościach, w których nawet przeciętny alpinista nie widziałby jeszcze żadnego zagrożenia dla swojego życia. Ot popsła się pogoda, spadło trochę śniegu, zrobiło się zimno. Powiedziałbym: no to co? Ale ci ludzie byli nie przygotowani kondycyjnie, nie mieli umiejętności postępowania w takiej sytuacji, byli źle ubrani i ogólnie przerażeni. I to wystarczyło. Ci ludzie zginęli, bo tak zwani przewodnicy (przeważnie nepalscy chłopcy bez żadnych kwalifikacji) bardzo chcieli zarobić, a oni bardzo chcieli zostać „himalaistami” nie mając pojęcia o górach. Podobne zderzenie interesów istnieje wokół Everestu. Oczywiście są rzetelni przewodnicy, jak Rysiek Pawłowski, czy Krzysztof Wielicki, ale takich jest niewielu. Większość to Szerpowie, górale którzy chcą zarobić, dużo zarobić. I potrafią nawet pobić się z alpinistą, który uważa, że nie jest mu potrzebny przewodnik umiejący mniej od niego i nie ma zamiaru płacić.

Coś z tym owczym pędem w Himalaje, a zwłaszcza na Everest, trzeba zrobić, bo skończy się to tragedią znacznie większą niż obecnie. Wyobraźmy sobie, że kilkuset ludzi znajduje się powyżej 7 tysięcy, załamuje się pogoda, wiatr zmienia się w huragan, temperatura spada na przykład do – 50 stopni (rzecz całkiem w Himalajach możliwa). Nawet dobry alpinista miałby poważne kłopoty. A turysta?

Nie jestem zwolennikiem koncesjonowania dostępu do gór, ale powinno się wpłynąć na władze Nepalu by były przestrzegane choćby podstawowe normy bezpieczeństwa. W znacznie mniejszych górach uważa się za niebezpieczne, gdy dwa zespoły wybierają się na tę samą drogę wspinaczkową, bo jest oczywiste, że będą sobie przeszkadzać. A co się dzieje na Evereście? Tłumy ludzi na tych samych drogach, setki ludzi jednocześnie biwakują w zasięgu lawin z Pumori, Lingreneten, Nuptse... I tylko kasiora równo płynie.

Nikt nie sprawdza kwalifikacji tych ludzi. Mogą zakładać raki tył na przód, baza pod Everestem (5300 m) może być najwyższym punktem, jaki dotąd osiągnęli życia. Liczy się właściwie jedno – zasobność portfela.

Obawiam się jednak, że możemy sobie pogadać. Za kilka dni telewizja zajmie się czym innym i wszystko wróci do normy. Tylko czy to jest norma?



Nepal. Mostek nad górską rzeką w rejonie Solo Khumbu (tam gdzie Everest). Fot. Krzysztof Łoziński.

I na koniec jeszcze uwaga ogólniejsza, trochę na inny temat. Za mojego życia, czyli od zakończenia drugiej światowej wojny, zostały na świecie zniszczone ogromne ilości zabytków, nieraz bezcennych dzieł z głębokiej starożytności. Większość wcale nie przez kataklizmy, ale przez ludzi, przez ideologicznych lub religijnych oszołomów. W czasie „rewolucji kulturalnej” w Chinach zniszczono gigantyczne ilości zabytków i dzieł sztuki Chin i Tybetu. Czerwoni Khmerzy w Kambodży próbowali zburzyć Angkor, zabytkowe miasto, które przetrwało w dżungli nie ruszone przez 700 lat. Nie udało się, bo im zabrakło dynamitu. Talibowie w Afganistanie wysadzili posągi Buddy w Bhamianie. Obecnie islamscy wariaci niszczą zabytki Asyrii, Babilonu i Sumeru. Zawsze, gdy dowiaduję się o czymś takim, pierwszą myślą jest: czy zdążyłem to sfotografować. Najczęściej nie. Uważam, że organizacje międzynarodowe, takie jak UNESCO, powinny tworzyć jakąś światową bazę danych zawierającą dokładną dokumentację takich obiektów. Może chociaż dałoby się to odbudować. Nie ważne, czy po trzęsieniu ziemi, czy po wariatach.

Tekst pozwoliłem sobie zilustrować paroma zdjęciami zabytków Kathmanu, Patanu i Bhakdapur. Części z nich już nie ma.

Dodatek trzeci (do nowego wydania książki w 2023 roku).

Trzeba na koniec podać kilka informacji aktualnych.

Zaczynając od końca: prawie wszystkie zniszczenia po trzęsieniu ziemi w Nepalu, które opisałem, zostały już odbudowane.

Rewolucja w Nepalu skończyła się ostatecznie obaleniem monarchii i ustanowieniem demokracji. Jej jakość to inna sprawa. W prawdzie pierwsze wybory wygrali maoiści, ale kraj jednak nie stał się maoistowską dyktaturą.

Indie stały się najludniejszym krajem świata i wyprzedziły Chiny. Liczba ludności Indii na kwiecień 2023 roku wyniosła 1.428,6 mln ludzi a Chin 1.425,7 mln. Wydaje się, że to niewielka różnica, 3,1 miliona, ale ta różnica cały czas rośnie.